

GUY N. SMITH

MANIA

Przełożyła Edyta Żurawska

**PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
GDAŃSK 1991**

Przed wami wędrówka w najciemniejsze zakamarki ludzkiego umysłu, odkrywanie nieznanego. Wasz spokój będzie zagrożony, dlatego podróż tę podejmujecie na własne

*ryzyko. Dla niektórych z was może już nie być
powrotu.*

Tytuł oryginału
Mania

Redaktor Piotr
Borys

Projekt okładki
Radosław Dylis

Copyright © 1988 by Guy N. Smith
© Copyright for the Polish edition by
PHANTOM PRESS
INTERNATIONAL 1991

Skład i łamanie

fotokład PRINT, Warszawa, ul. Kinowa 25 m 251

Wydanie I

ISBN 83-85276-56-4

Zakłady Graficzne Spółka z o.o.
64-920 Piła, ul. Okrzei 5 Zam.
458/91

Dla Mikea i Di Wathena

PROLOG

Od dwudziestu czterech godzin Walter

leżał w mokrej pościeli. W ponurej, brudnej i zaciemnionej zasłonami norze, nic nie odmierzało czasu. Światło dnia było szare i nieprzeniknione, niczym jesienna mgła za oknami. Świat cienia skrywał obolałe i wychudłe ciało, spoczywające pod brudnym prześcieradłem, a unosząc się, mroczną ciszę mącił jedynie odgłos chrapliwego kaszlu.

Poruszył się z wysiłkiem, uniósł głowę z poplamionej poduszki i rozejrzał się. Chwilami nie bardzo rozumiał gdzie się znajduje. Wiedział tylko, że był więźniem tego miejsca.

Usiłował oderwać piżamę, przyległą do kościstych pośladków. Zapocony materiał wydzieliał ostrą, przyprowadzającą o mdłości woń. Znów zaczął kaszleć. Leżał w brei, być może nawet krwawił, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

Zabrano mu ręczny dzwonek ze stolika przy łóżku, więc nie mógł ich już wzywać. Nie miał również naczyń na wodę - stracił je na podłogę, gdy próbował sięgnąć po nie drżącą ręką. Spieczonymi ustami wycharczał przekleństwo, opadł z powrotem na łóżko i zamknął oczy. Nie było mowy o śnie, mało ostatnio sypiał. Było to raczej czuwanie, nadsluchiwał kroków za drzwiami, chciał aby weszli, lecz równocześnie bał się ich obecności. „Na miłość boską, dlaczego wreszcie z tym nie skończycie i nie zabijecie mnie? Przecież tego chcecie” - myślał.

Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi, drżał ze strachu. Najgorzej było, gdy przychodziła sama pani Clements - stara wiedźma i sadystka. George, jej mąż mający jeszcze na nią wpływ, starał się powstrzymać jej sadystyczne praktyki.

~ Wystarczy! - krzyczał George, chwytając ją za dłoń, w której trzymała strzykawkę.

Kiedyś przez niego zламаła igłę i musiał potem trzymać Waltera, podczas gdy pani Clements wyluskiwała odłamek pincetą, grzebiąc w pośladku. Pacjentowi serwowała przy tym mocne raży, jakby to on zawinił.

Codziennie pastwili się nad Gullem, znajdując w tym szczególnie perwersyjną przyjemność. Brenda podawała mu odurzające leki i pozostawiała na długie godziny w chłodzie, przy otwartym oknie.

Kiedy zbliżała się wizyta lekarza, Waltera myto i przebierano. Doktor Gidman był wprawdzie grubiański, jednak podczas badania nigdy nie zadawał

pacjentowi bólu, w każdym razie nie umyślnie.

- Jak się pan dzisiaj czuje, panie Gull? - Powitanie było zawsze takie same. Gęste włosy doktora przydawały żołnierskich cech jego twarzy. Zachowywał się zresztą jak lekarz wojskowy, który ma do czynienia jedynie z oszustami symulującymi chorobę.

- Dzisiaj nie wygląda pan najgorzej.

Postaci Clementsów majaczyły w tle niczym upiorne stwory, czuwając nad tym, aby pacjent przypadkiem nie powiedział prawdy.

- Halucynacje chorego stają się coraz częstsze, doktorze. Czasami bywa gwałtowny. Wczoraj musieliśmy go uspokajać aż dwa razy.

niemożliwe było ustalenie czy doktor Gidman wierzył im, czy nie, nigdy się z tym nie zdradzał. Sprawdzał puls, wkładał choremu termometr pod pachę. Bez komentarza zaznaczał coś w notesie, po czym wkładał go z powrotem do kieszeni.

- Chcą mnie zabić! - próbował wykrzyknąć Walter Gull. Wydał jednak tylko z siebie piskliwy wrzask obłąkanego starca. Brenda Clements, zbliżyła się do niego i pchnęła z powrotem na poduszkę.

- Widzi pan, doktorze Gidman?

- Hm.

Twarz doktora nawet nie drgnęła.

- Wypiszę receptę na lek nieco mocniejszy, bardziej odprężający. Nagryzmolił coś, wyrwał kartkę z bloczka i wziął ją w dwa palce.

- Weźcie to, no już! - Kobieta chwyciła receptę.
 - Dziękuję, doktorze. George kupi ten lek dziś
- po

południu. Musimy o niego dbać. Ostatnio był bardzo męczący.

- Za to wam płacą! - odparł ostro Gidman.

Porwał zamasyście torbę i odwrócił się do drzwi, jakby pragnął uciec stamtąd jak najszybciej.

Drzwi zamknęły się. Wsluchiwał się w milknące kroki, po czym znów poddał się koszmarnemu działaniu leków. Przestał nawet zważać na piekący ból odleżyn i ropiejących ran, powstałych w wyniku tortur.

Mijały godziny, zmierzch zlewał się z szarością dnia i powoli zapadała ciemność. Walter snuł odezwane myśli, jak przez mgłę, łatwiej przywołując zdarzenia sprzed dziesięciu lat niż te z ostatnich miesięcy. Nieustannie czekał na moment, w którym wreszcie krew dotrze do mózgu i przywróci mu jasność umysłu.

Chwilami odzyskiwał przytomność, wyzwalamą nagromadzony w nim gniew. Dawalo mu to tyle siły, że siadał prosto i wpatrywał się w zamknięte drzwi lub okratowane okno za zasłoną. Trzeba było jednak zachować ostrożność, gdyż wzmożone działanie ad-renaliny znów mogło zaćmić umysł, każąc mu na powrót błądzić w niepewności.

Świadomość wracała nagłym przyplywem, z siłą uderzenia lodowatej fali i wtedy nie miał wątpliwości, że własnej córce zawdzięczał to, iż znalazł się w klinice w Donnington. Prawdopodobnie jego zięć, Ronald, uknuł ten plan.

**Wiedział, że Walter jest niesprawny umysłowo, że
nie będzie mógł zmienić**

testamentu i wkrótce umrze. Clementsowie mieli dopilnować wszystkiego.

Nieźle opłacani za „opiekę” nad obłąkanym, umierającym starcem realizowali perfidny plan powolnego wyniszczenia jego organizmu. Prawdziwą przyczyną choroby były prochy, na których trzymali Waltera, wszystkie odurzające środki, które w niego wypompowywali. Miał być chory, lecz żywy tak długo, jak to możliwe. Najważniejsze było przeciągnięcie sprawy.

Był to istny dom wariatów. Walter wydał bezzębne usta w przyplywie wściekłości. Wszyscy byli tu obłąkani, może i bez stosownych orzeczeń, ale w stosownym miejscu. Niewykluczone, że połowa pacjentów spisała testamenty na korzyść Clementsów, któż mógł to wiedzieć? Walter miał szansę cholernie na mieszać, spowodować by Margaret i Ron nie dostali ani pensa. Mógłby ...

Nie było to łatwe, gdyż wszystko sprzysięgło się przeciw niemu. Lecz zanim mgła ponownie spowije mu myśli, zanim ugrzeźnie na dobre w świecie poklutek pośladek i brudów pod sobą, chciał się stąd wydostać, chciał uciekać, właśnie teraz.

Był silniejszy niż przypuszczał lub raczej nie aż tak słaby jak sobie wyobrażał. Usiadł, odrzucił cuchnące prześcieradło. Poczul lekki zawrót głowy, który zaraz minął. Spuścił nogi na podłogę, przytrzymał się stołu i wstał. Chwiejąc się Walter zaczął iść krok po kroku. Skierował się ku drzwiom.

**Towarzyszył mu ciągle strach, że umęczony,
starzejący się mózg odmówi posłuszeństwa.**

Dotarł do drzwi. Były otwarte. Nie zamknięto ich, gdyż nikt w klinice nie przewidywał takiego obrotu zdarzeń.

Wydostał się na korytarz. Stojąc w mroku próbował zorientować się w sytuacji. Mógł pójść w prawo lub w lewo. Po obu stronach miał ciągnący się bez końca korytarz, lecz wszędzie panowała cisza. Skierował się w lewo, przytrzymując się ściany. Wyszedł na klatkę schodową.

Zejście ze schodów stanowiło przerażającą perspektywę, przyprawilo go o zawrót głowy. Chwycił się kurczowo poręczy. Powstrzymywał się od myśli o szaleńczym skoku w dół. Walter kucnął i zaczął przemieszczać swoje ciało po stopniach schodów, zapominając o bólu okaleczonych pośladków.

Zza zamkniętych drzwi jadalni dochodziły odgłosy nic nie znaczącej rozmowy. Trafił na czas posiłku tych pacjentów, którzy nie byli przykuci do łóżek. Nie wiedział czy była to pora śniadania, lunchu, czy kolacji, ostatnio czas przestał dla niego istnieć. W samotności odmierzał go szarością dnia i ciemnością nocy. Żył osadzony samotnie w celi, zmuszony leżeć we własnych nieczystościach.

Spieszył się. Gdy brakowało mu zaledwie kilku kroków do osiągnięcia celu ześlizgnął się jak kłoda. Podniósł się ostatkiem sił.

W jadalni ktoś wybuchnął niekontrolowanym śmiechem, któremu towarzyszył brzęk sztućców.

Bywało, że pacjentami zawiadnął szal lub niezwykle podniecenie, a wówczas George Clements wpadał

wściekły i uspokajał ich. Kiedyś nawet uderzył starego Freda Anisłowa tak mocno, że rozciął mu wargę.

Waltera ogarnął strach, że zaraz z prywatnego mieszkania wyłoni się właściciel kliniki i odkryje jego próbę ucieczki. Na samą myśl o tym wzdrygał się. Wiedział, że nie mają prawa traktować ich w ten sposób i że trzeba o tym donieść. Zastanawiał się kogo powiadomić, czy doktora Gidmana, a może wielebnego pastora Hurrella, który odwiedzał chorych w klinice „dla dobra ich dusz”, jak zwykł usprawiedliwiać swoją wyniosłą obecność w takim miejscu. Mógłby w ten sposób pomóc wszystkim, lecz i tak Clementsowie mieli na wszystko gotową odpowiedź. A poza tym, nikt nie uwierzyłby słowom zbiega z tego domu.

Radość w jadalni osiągnęła szczyt, wszyscy walili w stół widelcami (noży im nie podawano). Prawdopodobnie to Vera Brown wywołała cały ten rumor. Prosta, młoda dziewczyna nie mogła sobie odmówić tego, czego żądało od niej ciało, nie bacząc na współmieszkańców. Zdawała się wcale nie zauważać ich obecności w chwili, kiedy wpadała w jeden ze swych dziwacznych nastrojów.

Walter tymczasem dowlókl się do drzwi i po sprawdzeniu, że są otwarte, odetchnął z ulgą. „Żegnaj Donnington, mam nadzieję nie ujrzeć cię więcej” - pomyślał w duchu.

Na zewnątrz silna mżawka spotęgowała posępny nastrój jesiennego popołudnia. Słychać

**było szmer samochodów, jadących po oddzielonej
polami, od-**

dalonej stąd około ćwierć mili szosie. Żywopłot i pozbawione liści drzewa wyglądały przygnębiająco. Zieleń pozostała jedynie na laurowych krzewach, skąpo porastających ożwirowaną drogę dojazdową, która w oddali w szerokim zakręcie zniknęła z pola widzenia Waltera. Był to szlak jego ucieczki, droga do wolności.

Szedł przed siebie kolysząc się, nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Zachwiał się i omal nie upadł. W przemoczonej i przyklejonej do chudych nóg piżamie wyglądał upiornie. Zrobiło mu się zimno, koszula w paski trzepotała na wietrze ciągle rozpinając się.

Starał się obmyślić jakiś plan. Zdawał sobie sprawę z tego, że zaczną go szukać natychmiast gdy odkryją jego zniknięcie. George Clements zdolny był zemścić się na zbiegu. Walter już widział jak otyły, ciężko dyszący, z wypiekami na twarzy Clements siarczyście przeklina, a swoje wzniesione do bicia wielkie pięści zaciska z tak wielką siłą, że aż bieleją na nich kostki. Jak dotąd jednak niespodziewana ucieczka Waltera pozostała chyba niezauważona.

Idąc drogą, raz jeszcze spojrzął na ponury dom z czerwonej cegły, który naraz jakby ożył, groźnie spoglądając na niego.

W zasadzie nawet Ron i Margaret, jego córka, działali wobec niego bezprawnie. Nie miał lekarskiego orzeczenia. W klinice umieścili go w nadziei, że wkrótce umrze, aby potem bez przeszkód położyć

rękę na upragnionej schedzie. Chciał koniecznie zobaczyć się z adwokatem i zmienić testament tak, aby

nie dostał się im ani jeden pens. Postanowił przekazać wszystkie pieniądze na opiekę nad zwierzętami. Szedł teraz wąską, wiejską drogą, o poboczach z rozmokłej trawy i wysokich żywopłotach po obu stronach, wystarczająco szerokiej, by zmieściły się dwa wozy. Samochody prawdopodobnie spotkać mógł dopiero na głównej drodze. Musiał więc iść albo dać się złapać.

Dojście do szosy było jedynym wyjściem z opresji. Zatrzymał się, przymknął oczy, chwając się lekko.

Mgła znowu spowila mu pamięć. Bezskutecznie walczył o sprawność umysłu. Wiedział jedynie to, że jakoś porzucił tamto straszne miejsce, gdzie trzymano go w zamknięciu i torturowano, wbijając mu igły w pośladki. Stojąc na opuszczonej drodze poczuł przejmującą niemoc i strach przed tym, co się z nim stanie, jeśli go złapią? Zaczął szlochać.

Z oddali wciąż dochodził go uliczny szum - wiedział, że tylko stamtąd mogła nadejść pomoc. Cały drżał, kaszląc wypluwał ślinę i ciężko chwytal powietrze. Ogarnęło go wielkie pragnienie, aby poddać się, lecz gdzieś w odrzuconym umyśle tliła się wątła iskierka, która dodawała mu sił. „Nie pozwól im znaleźć mnie, nie pozwól im zabrać mnie stąd. Chcę już umrzeć, w jakikolwiek sposób” - myślał w panicznym strachu.

Zapadł zmierzch; z pobliskiej drogi dochodził szum samochodów, migaly światła.

Walter Gull próbował zatrzymać jakikolwiek z pędzących pojazdów.

- Weźcie mnie, proszę, dokądkolwiek, tylko weźcie mnie z miejsca mojej niewoli i męczarni - krzyczał histerycznie.

Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Być może jadący nie dostrzegali wychylonej nieśmiało z pobocza sylwetki człowieka, który próbował coś wykrzyknąć chrapliwym i niezrozumiałym głosem.

Twarz wykrzywiona cierpieniem przybrała błagalny wyraz. Wołanie i gesty rozplywały się na wietrze, który zdierał resztki koszuli pozostalej na jego wychudłym ciele. Jeżeli widzieli Waltera, to pozostawiali go samemu sobie. Uważali za zbyt niebezpieczne zatrzymanie wozu w dżdżystą noc, groziło to wypadkiem, a życie jednego starca nie było tego warte.

Waltera oszołomił nieustający potok pojazdów, z których żaden nie zamierzał przystanąć. Instynktownie, jak ktoś nieświadomy zagrożenia na drodze, wystąpił naprzód, potknął się na wygładzonym asfalcie i podniósł ręce.

- Stop, rozkazuję! - krzyknął.

Duża ciężarówka zahamowała gwałtownie, lecz było już za późno.

Kierowca silnie odbił w prawo, aż poczul wstrząs uderzenia. Przez chwilę nie był pewien, co się stało. Choć miał przed oczami obraz upiornej postaci czy widma, które rzuciło się pod koła jego wozu.

Kierowca zawył z przerażenia błagając niebiosa, żeby było to tylko złudzenie, a nie rzeczywistość.

**Usłyszał jedynie stukot pod dnem wozu, jakby kru-
cha gałąź, wciągnięta została pod koła.**

Przyhamował powtórnie. Spoglądając w boczne lusterko dostrzegł szczątki zmasakrowanego ciała, zdał sobie wreszcie sprawę, że to wszystko zdarzyło się naprawdę, zginął człowiek.

Rozdział pierwszy

- Nie mogę! - Suzannah Mitchell z wściekłością wymachiwała skrawkiem papieru.

- Rose, po prostu nie mogę tego zrobić. To nie fair prosić mnie o to.

- Ależ musisz, mamó. ~ Na ładnej twarzy czternastoletniej dziewczyny malował się ból i rozpacz. Jej ciemne oczy napelniły się łzami, zacisnęła pięści i tupnęła nogą.

- Pani Blower zabije mnie, jeśli nie będę na wszystkich próbach!

- Gwiżdżę na panią Blower. - Suzannah spróbowała zażartować z instruktorki kółka teatralnego, mimo iż wiedziała, że w przypadku Rose na nic to się nie zda. Jej córka brała życie nadzwyczaj serio. Miała talent i drugie miejsce jej nie satysfakcjonowało, dawała z siebie wszystko.

- Spójrz, Rose - Suzannah zniżyła głos, starając się podać racjonalne argumenty.

- Dziś mamy dwudziestego czwartego listopada. Miesiąc temu pani Blower podała daty wszystkich prób, a ja wychodziłam z siebie, żebyś na nich była. A teraz wpadła w panikę, ponieważ nie radzi sobie ze... zwykłą pantomimą, w związku z czym chce się ratować i urządza trzy następne próby. To nie ma sensu. Dwadzieścia mil jazdy w każdą stronę, co razem ze wszystkim już daje sto dwadzieścia mil, nie licząc *samych kosztów benzyny, zużycia samochodu,, i moich nerwów. I wszystko dla pani Blower.* Gdyby tylko tu był twój ojciec...

Boże, znowu wdepnęłam, przecież Charles odszedł z inną kobietą. No cóż, już wyczerpałam wszystkie argumenty.

- Tatuś zawiózłby mnie - odrzekła nadąsana Rose, nie dając za wygraną. Widać było, że powstrzymuje łzy. - Wiem, że zawiózłby. Jeżeli nie będę na próbach, stracę rolę. Czy nie rozumiesz tego, mamó?

- Owszem, rozumiem. ~ Suzannah usiadła na krześle przy kuchennym stole, marząc o zapaleniu papierosa. Ale byłby to kolejny powód do narzekań

Rose. Jestem biernym palaczem - mówiła - czy chcesz, żebym zachorowała na raka płuc, mamó?

- Rozumiem cię bardzo dobrze, Rose, choć Bóg jeden wie, jak dam sobie radę sobie radę. Oczywiście, zawiozę cię nawet jeśli zażądałaś tego ode mnie na pół godziny przed faktem i mimo tego, że śnieg sypie już od dobrych dwóch godzin. Przypomnij sobie jakie były kłopoty, kiedy odbierałam cię ze szkolnego autobusu.

- Dzięki, mammo.

Milczały: matka w poczuciu klęski, córka w poczuciu winy. Suzannah spojrziała w okno, za którym cicho tańczące płatki śniegu tworzyły w ciemności białą zasłonę. Dopiero co myślała o spokojnym wieczorze, drzemce przed telewizorem.

- Kochanie, skończ herbatę i przygotuj się do wyjścia.

Wyruszymy o piątej trzydzieści, nawet jeśli warunki są trudne.

Miała nadzieję, że kiedy zjadą w dół osiedla, droga okaże się tak nieprzejezdna, że Rose przyzna, iż trzeba wracać. Zatem jakaś szansa istniała.

Suzannah Mitchel miała trzydzieści pięć lat. Była wysoka i szczupła. Ciemne, długie włosy opadały jej poniżej ramion. Mężczyźni na ulicy wciąż jeszcze rzucali jej spojrzenia, czasem zadzwieczał klakson. Odkąd Charles odszedł miała już propozycje ponownego małżeństwa, ale musiała najpierw uporządkować swoje życie. Może kiedyś... Obecnie toczyło się wyłącznie wokół Rose. To dlatego miała pokonać dziś wieczorem drogę do Ryton.

Mimo wszystko była zła na Rosalind Blower. W jej mniemaniu balet, taniec i teatr były ważniejsze niż szkolne nauczanie, i można było to wyczytać z jej twarzy. Ostatnią rzeczą, której Suzannah życzyłaby córce, było jej cierpienie spowodowane przez miłość do sceny. Na razie jednak pozwoliła jej zagrać rolę w sztuce „Gdzie kończy się tęcza”.

**Zastanawiała się kim będzie pani Blower? „Chyba
którymś ze smo-**

ków" - pomyślała. Złośliwy uśmiezek wykrzywił twarz Suzannah.

Ale smutek powrócił. Przecież los sprzyjał jej i Charlesowi. Byli doskonałym małżeństwem przez piętnaście lat, aż tu nieoczekiwanie została zdana na siebie. Odszedł do dwudziestodwuletniej dziewczyny, choć nie reprezentowała sobą niczego specjalnego. Czekala długo, przyjęłaby go z powrotem w każdej chwili, lecz w końcu zrozumiała, że Charles do niej nigdy nie wróci. Najgorsze były niedzielne popołudnia, kiedy zwykł zabierać Rose. Gdy Charles zajeżdżał przed dom, Suzannah często zamykała się na górze. Wciąż nie mogła znaleźć odpowiedzi, dlaczego jej to zrobił.

- Jestem gotowa, mam - Rose stała w korytarzu, ściskając w ręku plastikową torbę.

- W porządku - Sutannami zdjęła wiszący na drzwiach stary bajowy płaszcz. - Spróbujemy, ale ostrzegam - maleńki poślizg i natychmiast wracamy do domu.

- Będzie dobrze - odparła z nadzieją Rose.

Tymczasem sypało jeszcze mocniej, zaczął wiać wiatr i śnieg zaczął, tworząc niewielki wznórek u wejścia. Rose wślizgnęła się na tylne siedzenie wozu, a kiedy zatrzasnęła drzwi, góra śniegu zsunęła się z dachu. Suzannah zaczęła czyścić przednią szybę łopatką z gumy.

„Jakaż jestem głupia! Wystarczyło podnieść głos, postawić na swoim i zostać w ciepłym domu. To znów wina Charlesa" - pomyślała. Rose miała zbyt

wiele z niego i hołdowała tej samej zasadzie: nigdy się nie poddawać, bez względu na konsekwencje.

. Wóz sunął z prędkością około dwudziestu mil na godzinę, co chwilę zbaczając z prostej drogi.

Suzannah wjechała wolno na główną szosę. Przyspieszyła, koła zaczęły się ślizgać, lecz szybko opanowała samochód. Spojrzała w lusterko. Rose z przejęciem obserwowała jazdę, niespokojna raczej o próbę pani Blower niż o niebezpieczną drogę, która je czekała. Nawet główna szosa była pusta, widniało na niej zaledwie kilka śladów opon. Wycieraczki zaklinowały się na zalepionej śniegiem szybie. Nie śmiała przekraczać dwudziestu pięciu mil na godzinę, nie potrafiła rozróżnić, gdzie kończy się jezdnia, a zaczyna pobocze.

Przejechawszy kilka mil skręciła na pobocze.

- Co jest, mamó? - w głosie Rose zabrzmiał niepokój - chyba nie wracamy?

- Muszę oczyścić szybę - Suzannah otworzyła drzwi. - Boże, ile tego jest! Z pół nawiewa tyle samo śniegu ile spada z nieba, zaraz nas całkiem przysypie.

Śnieg, nawiewany przez szpary w żywopłocie, tworzył przedziwne wzory o wklęsłych i wypukłych kształtach, co dawało przepiękny choć złowieszczy widok.

- Chyba nie musimy wracać?

- Nie wiem.

- Mamó, przecież powiedziałaś ...

- Powiedziałam, że jeśli choć raz wpadniemy w poślizg, to wracamy do domu.

- Ale jeszcze nie było poślizgu.
- Jeszcze nie. Ale w każdej chwili mogło to się zdarzyć.

Asfalt przykryty był zdradliwym, sypkim śniegiem. Rose kątem oka zauważyła zasypany znak drogowy, który znała na pamięć: Ryton, dwanaście mil. „Jezu, nie ma za nami nawet połowy drogi!” ~ pomyślała.

Naraz silnik przestał pracować. Suzannah nacisnęła gaz, wrzuciła drugi bieg, bezskutecznie. Sytuacja była poważna, do gaźnika mógł dostać się brud.

- Co się stało, mamó?

~ Skąd do cholery mam wiedzieć? - Zdaje się, że silnik nie chce zapalić. Może paliwo było niezbyt czyste lub zerwał się przewód. Najlepiej będzie, jak zajrzę do środka. - Suzannah wyczuła u dziecka zdenerwowanie wywołane nie tyle trudnym położeniem w jakim się znalazły, co reakcją pani Blower na to, że Rose się spóźni lub wcale nie pojawi na próbie.

Suzannah wysiadła i podniosła maskę wozu, chowając się za nią przed silnym wiatrem. W końcu zapaliła latarkę, zajrzała do silnika i sprawdziła przewody. Były w porządku. Spróbowała jeszcze raz włączyć silnik - bezskutecznie. Pozostały obie w świecie ciszy, gdzie jedynym odgłosem był szelest spadających płatków śniegu.

- A niech to szlag trafi! - zakląła Suzannah.

Tym razem Rose nie odezwała się. Siedziała blada na tylnym siedzeniu.

- Och, mammo! - Rose była bliska lez.

Suzannah włączyła przednie światła samochodu. Starala się zwalczyć ogarniające ją uczucie paniki. Miała nadzieję, że może za minutę lub dwie silnik znów zapali, wówczas zawróci łagodnym łukiem i pojedzie z powrotem do domu. Bez względu na to, co powie Rose.

- Spóźnimy się, mamo.

- Nie sądzę, abyśmy tam w ogóle dojechały. Będziemy mieć cholerne szczęście, jeśli uda się nam dzisiaj dotrzeć do domu.

Przypomniały się jej pokazywane w telewizji zdjęcia z ostatniej zimy. Kierowcy w Derbyshire zakopani w śniegu; jeden z nich zmarł na śmierć. Nie była to przyjemna perspektywa.

- Spróbuję jeszcze raz - powiedziała, lecz bała się przekręcić kluczyk w stacyjce. Wstrzymywała oddech czując jak pulsuje jej prawa skroń.

Silnik zaterkotał leniwie, zawył i w końcu ucichł. Mimo panującego chłodu Suzannah zlała się potem. Wyrzała przez zanikającą szczelinę na zaśnieżonej szybie w nadziei, że coś nadjedzie.

Lecz wokół rozciągała się jedynie ciemność, ruch na drodze zamarł. Nie było to dziwne w taką noc jak ta. Szosa, na której utknęły, nie należała do tras przewozowych ani dróg prowadzących do ośrodków przemysłowych, lecz była połączeniem prowincjonalnych miasteczek. Ci, którzy skończyli pracę w okolicy, już dawno dojechali do domów. Szczególnie w taką zamieć jak dziś, było całkiem prawdopodobne, że nie nadjedzie żaden pojazd aż do świtu.

Rozdział drugi

Owain Pugh zaczął właśnie żalować, że nie został na noc w hotelu w Kerry. Jednak o trzeciej po południu, kiedy opuszczał go, spadały dopiero pierwsze płatki śniegu. Nad drogą pośród wrzosowisk, którą wyjeżdżał, wisiało co prawda ołowiane niebo, lecz miał wówczas do przebycia jedynie dwadzieścia mil, i zresztą, czuł się pewnie w swoim solidnym Subaru, napędzanym na cztery koła.

Zdażył, oczywiście, wyjechać z opustoszałych wrzosowisk jeszcze przed zmierzchem, lecz wiejskie drogi były również śliskie i niebezpieczne. Jechał na niskim biegu, zmniejszając prędkość do dwudziestu mil, i wpatrywał się prosto przed siebie w niekończącą się biel szosy.

Owain skończył niedawno trzydziestkę. Był szczupły, smoliste włosy opadały mu na czoło. Szczęśliwym trafem udało mu się dotychczas uniknąć małżeństwa. Kiedy miał dwadzieścia pięć lat zaręczył się. Myśleli o małżeństwie lub raczej Sylwia myślała, lecz gdy doszły ją słuchy, że Owain widuje się z inną kobietą, zerwała narzeczeństwo.

W ten sposób, zaledwie w ciągu tygodnia, Owain został sam. A w dwa miesiące później zrezygnował z pracy.

Po tym, jak porzucił małżeńskie plany, mógł myśleć wyłącznie o sobie.

Robił, co chciał, a żył właściwie z hobby, z którego i wcześniej czerpał niewielkie dochody.

Owain zajął się zbieraniem książek. Do początków kolekcji z dzieciństwa, pełnej wydań popularnych komiksów i literatury chłopięcej, dodał książki detektywistyczne, science fiction, fantastykę i horror.

O wartości kolekcji zorientował się dopiero wówczas, gdy kolega kolekcjoner zaoferował mu po dwadzieścia pięć pensów za każdą pozycję (naturalnie odmówił), które kiedyś kupił po cztery stare pensy. Zaczął więc penetrować miejsca wyprzedaży, Oxfam

i sklepiki różnych księgarzy. Po pewnym jednak czasie Owain postanowił oczyścić kolekcję. Całe dwa weekendy spędził na spisywaniu katalogu i ustaleniu warunków sprzedaży, które następnie zamieścił w ogłoszeniu. Już w pierwszym dniu nadeszło ponad dwadzieścia odpowiedzi, z załączonymi kopertami zwrotnymi dla wykazów pozycji. niewątpliwie taka reakcja zachęcała, chociaż najprawdopodobniej i tak nikt by ich nie kupił; była to po prostu ciekawość gromady kolekcjonerów. Niemniej w tydzień później Owain faktycznie sprzedał część kolekcji, inkasując dużo więcej niż zarabiał w biurze. Zaczął zatem ponownie polować na książki i komiksy, a jego własne katalogi ukazywały się co miesiąc. Sylwia wyświadczyła mu więc przysługę, otwarły się przed nim nowe możliwości i nowe, nieznanne życie. Był niezależny, nie musiał myśleć nawet o własnym sklepie, gdyż

**jego klientela była rozrzucona wzdłuż i wszerz całej
Brytanii. Po dwóch latach dochody**

Owaina osiągnęły sumkę dziesięciu tysięcy funtów.

Czas trawił na wydawaniu broszur i katalogów, przewozach i wysyłkach. Jeżdżąc po okolicach swoim Subaru przyjemnie spędzał dni, odwiedzał napotymane księgarnie i magazyny. Prowadził spokojny tryb życia.

Wiał silny wiatr. Grubość śniegu na szosie sięgała kilku cali, i w niektórych miejscach Owain był zmuszony przebijać się przez niewielkie zaspę. Sytuacja zaczęła go niepokoić.

Nagle wyrosła przed nim kolejna zaspę; przyspieszył i uderzył w nią z prędkością trzydziestu mil na godzinę, tonąc w śniegowej chmurze.

Gdy zjechał nieco na bok, dla ominięcia następnej potężnej góry białego puchu, stracił panowanie nad kierownicą i ugrzązł w hałdzie śniegu.

Poczuł ostre szarpnięcie zapiętych pasów. Ze wsząd otaczała go ciemność. Usłyszał głośny zgrzyt i silnik stanął. Owain oszołomiony wpatrywał się w ostrzegawcze światelko zapłonu, złowieszczy punkcik, błyszczący jak klejnot zła.

Wpadł niemal w panikę. Drżącą ręką wrzucił wsteczny bieg silnie dociskając pedał gazu, koła zawirowały, Subaru zakolysało się, po czym zaraz zablokowały się. Spróbował ruszyć znowu, lecz tym razem poczuł swąd palonej gumy.

Owain zaczął gorączkowo szukać latarki; w końcu znalazł ją i zapalił. Chciał otworzyć drzwi, ale napotkał na opór śnieżnej ściany. Nie zdołał uchylić ich bardziej niż na szerokość kilku centymetrów, co

wystarczyło, by z dachu zsunęła się mokra i zimna skiba śniegu. Zatrzasnął drzwi. Bał się.

„Spokojnie. Jak się stąd wydostać? Może z przeciwnej będzie łatwiej” pomyślał. Przeczolgał się przez siedzenie i otworzył drzwi. Przecisnął się przez niewielką szparę, brnąc po kolana w miękkim śniegu i opierając się o maskę samochodu.

- Powinienem mieć trochę rozsądku i zabrać parę gumowych butów i łopatę - szepnął do siebie.

To, co ujrzał w świetle latarki, utwierdziło go w najgorszym, czego mógł oczekiwać. Zaspą była naprawdę pokaźnych rozmiarów, głęboka ze cztery metry i szeroka na kilkadziesiąt centymetrów.

Wjechał prosto w śnieżną haldę, zakopując cały przód. Żeby ruszyć musiałby odkopać koła i całe podwozie samochodu.

Tymczasem rozpadało się na dobre, kożuszek Owaina był już zupełnie oblepiony śniegiem. Mógł powrócić do wozu, uruchomić silnik i czekać, aż w końcu zjawi się pług albo ruszyć w drogę piechotą. Zdawał sobie sprawę z faktu, iż ludzie niekiedy umierali uwięzieni nocą w swoich samochodach. W telewizji nawet ostrzegano przed tym, doradzając kierowcom na wszelki wypadek zaopatrzenie się w koce i żywność. Ale Owain Pugh nie zrobił tego. Nie był również odpowiednio ubrany na drogę, w którą się wybrał. Na nogach miał lekkie buty, które zdążyły już całkiem przemoknąć. Poza tym mógł się przecież zgubić, paść z wyczerpania albo zamarznąć. Czyhały na niego dwa rodzaje śmierci:

w samochodzie lub na zewnątrz, w prawdziwie arktycznych warunkach. Dygotał z zimna. Wreszcie podjął decyzję i zaczął posuwać się do przodu, zapadając się po uda w zaspach. Nie wiedział w jakim kierunku ma iść. Zdecydował o tym żywioł - Owain musiał ustawić się plecami do zacinającego śniegu, gdyż jedynie tak był w stanie oddychać.

Wydostał się z zasy na równą powierzchnię. W miejscach, w których wiatr zmiótł sypki śnieg, widniały nawet czarne plamy. Ciekaw był, jaka odległość dzieli go od zamieszkałej okolicy lub jakiegokolwiek schronienia, chociażby wiejskiej stodoły.

Jednakże niczego podobnego nie spotkał na drodze, jeśli nie liczyć opuszczonej budki z cienkiej karbowanej blachy, należącej do sprzedawców owoców. Szczeliny nierównych ścian wypełniał śnieg. Owain poczuł, że ma skostniałe stopy. Kryjąc ogień w połach płaszcza udało mu się zapalić papierosa. Tytoń żarzył się jaskrawo na wietrze, rzucając drobne iskierki. Smakował jednak gorzko.

Odnosił wrażenie, że znalazł się na bezkresnej, białej pustyni, która ciągnie się bez końca ku ciemnościom zimowej nocy. Dotychczasowy świat odszedł, nastąpiła era lodu i upadku cywilizacji. Był już pewien, że wszystko przepadło, że czeka go niechybna śmierć. Chciał od razu poddać się, położyć i umrzeć. Czytał gdzieś, że umieranie w takich warunkach może być nawet przyjemne; człowieka ogarnia ciepło, przychodzi senność i zapomnienie. Ta myśl była nawet kusząca.

Wtedy właśnie ujrzał wylaniającą się szeroką aleję, z obu stron porośniętą żywopłotem, który przykryty był teraz śniegiem. Jeśli nie myliły go przypuszczenia, miał szansę natknąć się na jakąś odosobnioną farmę, gdzie mógłby znaleźć schronienie.

Pod osłoną krzewów wiatr nie był już tak dokuczliwy. Owain oświetlał latarką pobocze, żeby nie zgubić żywopłotu, który musiał przecież dokądś prowadzić.

Stracił poczucie czasu, od dawna już nie spoglądał na zegarek. Nad aleją szalała zamieć, lecz on nadal, ugięty pod siłą wiatru, brnął z nadzieją przed siebie.

Natrafil na przerwę w żywopłocie. Mogła się tam mieścić brama wjazdowa do farmy lub podjazd. Tuż obok ujrzał podłużny kształt tablicy. Świecąc latarką, zaczął zeskrobywać śnieg, spod którego stopniowo wylaniały się duże niebieskie litery.

Cofnął się nieco i rozjaśnił snopem światła tablicę. Odczytał napis kilkakrotnie: „HOTEL W DONNINGTON”.

Nie mógł w to uwierzyć. Postukał w kruche drewno palcami, aby się upewnić, że nie jest to okrutny figiel, spleatany mu przez wyobraźnię. Napis nie zniknął, przeczytał go więc jeszcze raz. Wiedział, że jest uratowany i że za chwilę będzie mógł wypić drinka w restauracji i zjeść gorący posiłek. Poczul, że jest głodny i spragniony. Pomyślał o łóżku w hotelowej sypialni, może nawet z elektrycznym kocem, o łazience i prysznicu.

Rozdział trzeci

~ Fred znowu palił! - wykrzyknęła Brenda Clements na widok męża, stawiającego na kuchennym stole tacę z brudnymi talerzami. - Czuć było od niego. Ciekawa jestem, skąd bierze papierosy?

George Clemens westchnął. Niewątpliwie żona była w jednym ze swoich humorów. Zawsze miewała humory, ale te najgorsze nachodziły ją podczas pełni księżyca. Prowadził nawet ich rejestr w swoim pamiętniku.

- Podejrzewam, że je sam sobie kupił w mieście.

- W takim razie trzeba ukrócić te wypadki. A to należy do ciebie, mamó. Zwracał się do niej w ten sposób od chwili narodzin Elspeth, ich jedynej córki, która zmarła na zapalenie opon mózgowych w wieku siedmiu lat.

- To już nie jest klinika. Nie sprawujemy nad nimi żadnej kontroli. Czyżbyś o tym zapomniała?

Brenda Clements odwróciła się od frytkownicy i spojrzała na niego uważnie; jej oczy zaszyły mgłą na moment, po czym znów odzyskały przejrzystość.

- Ale miejsce jest to samo i ludzie są ci sami, a ich już się nie zmieni.

- Nie zapominaj, że są teraz stałymi gośćmi, a nie pacjentami. Poza tym płacą nam za to, że tu mieszkają.

- Niemniej to my odpowiadamy za nich, ponieważ oni są niepoczytalni.

– Spróbuj to powiedzieć władzom z urzędu zdrowia, a zamkną natychmiast to miejsce. Przecież chce- li tak zrobić po tym, jak stary Walter ucie... wy- wędrował i nieszczęśliwie wpadł pod samochód. Powinnaś dziękować Mansellowi, że wypłatał nas z tego. Lecz wierz mi, obserwują nas. Szukają jedynie pretekstu. Dlatego lepiej wysprzątaj tę kuchnię. Inspektorzy sanitarni będą tu lada dzień i zobaczysz, że skończą z nami. Uwzięli się na nas.

- Niech pilnują własnego nosa. To jest mój hotel i będę go prowadzić tak, jak mnie się podoba. Żaden z gości nie narzeka, a to mówi za siebie. I nie mam zamiaru trzymać tu Freda Ainslowa, kurzącego w ukryciu swoje śmierdzące pety. Jeśli chce tu mieszkać, niech nie pali. I nie pije. W ostatnią środę w koszu wałały się puszki po piwie i nietrudno zgadnąć, kto je tam wrzucił. Trzeba z nim porozmawiać zaraz po obiedzie.

- Zostaw to mnie. - George zaczął ustawiać talerze z pasztecikami i frytkami na tacy, spoglądając na żonę. „Boże Wszechmogący, gdyby w tej chwili zawitał tu inspektor i ujrzał ją w kuchni przy pracy w wysokich gumowych butach, już od jutra zamknąłby ten cały interes na cztery spusty” - pomyślał z niepokojem.

Na szczęście w taką noc jak dzisiaj nikt nie mógł tu przybyć; po prostu nie sposób było przedrzeć się przez zablokowane śniegiem drogi. To uspokoiło George'a. Spojrzał na Brendę. Z pewnością coś działo się z nią przy pełni księżyca. Wystarczyło

widzieć jej długie, lepkie od brudu, siwe włosy i własnoręcznie uszytą suknię, która była krótsza z jednej strony, przez co odkrywała nieco kolano nad wysokim gumiakiem prawej nogi. Sprawiało to wrażenie kompletnego bezładu.

- Coś za bardzo hałasują - gwałtownie wskazała głową w kierunku drzwi jadalni. - Czyżby znowu Vera Brown?

- Tak. - Nie chciał zaprzeczać, Brenda mogła przecież w każdej chwili otworzyć drzwi i przekonać się o tym sama.

- Już kiedyś jej mówiłem, że to niezdrowo, i jeśli musi to robić, to tylko w swoim pokoju. A wszystko przez Barbarę Withernshaw, która przywiozła ją do nas. Nie powinnam była przyjąć tej dziewczyny. Ma zły wpływ na innych, zanim się obejrzymy, a już niektórzy z mężczyzn złapią się na jej sztuczki. - Odwróciła się i wbiła groźny wzrok w męża. - Nie pozwolę, żebyś to był ty.

George poruszył się niespokojnie.

- Vera jest całkiem nieszkodliwa.

- Jest małą, wstrętną dziwką. Czyż Barbara nie znalazła jej śpiącej w metrze? Tak samo jak Freda.

- Pani Withernshaw płaci na ich utrzymanie, więc nie masz na co narzekać.

- Nie mam na co narzekać? Nie życzę sobie, żeby ten hotel zyskał złą reputację. Znasz zasady, George, równie dobrze jak oni. W Donnington nie pali się, nie pije, nie...

„Co i mnie dotyczy” - pomyślał George, zacis-

kając grube wargi. „Nie pieprzyłem się już z dziesięć lat, chociaż z drugiej strony kto by chciał rznąć tę starą kwokę w gumiakach, która cuchnie jak stary Fred Ainslow?”

Wziąwszy tacę z zadowoleniem opuścił kuchnię, przez chwilę chwiejnie balansował w drzwiach, aż wreszcie wkroczył do jadalni. Bał się spojrzeć na stolik stojący w rogu pomieszczenia, przy którym zwykle siedziała Vera Brown, zawsze sama. Odetchnął z ulgą; teraz zachowywała się spokojnie. Jej ręce leżały na stole obok przewróconego naczynia; wylana woda powoli wsiąkała w nieświeży obrus. Przymknęła oczy i trwała tak bez sił, jak gdyby właśnie zakończyła bieg przez śnieżne zaspę. Niewątpliwie i tym razem osiągnęła cel, lecz trzeba było wreszcie położyć temu kres. Mogłaby w tym pomóc Barbara, gdyby nie traktowała tych spraw tak pobłażliwie. Zdawała się aprobować zasadę spełniania własnych zachcianek.

Vera zamrugła i otworzyła oczy. Z uchylonymi ustami patrzyła nieprzytomnie przez szkła w metalowej oprawie. Miała długie, jasne włosy i wyglądała na zwyczajną dziewczynę, niczym nie różniącą się od innych.

- Ach, frytki! - Vera niespodziewanie ożywiła się. Wyskakując zza stołu, potknęła się i upadła.

- Vero!

Rozkazujący, głęboki ton podziałął na dziewczynę jak pociągnięcie za cugle. Odwróciła się wolno i spojrzała na dobrze zbudowaną kobietę o siwych

włosach, siedzącą dwa stoły dalej. Respekt, jaki wobec niej odczuwała, graniczył z lękiem. Przeprosiwszy ją bez słów usiadła zmieszana.

- Uspokój się. Vero - powiedziała uprzejmie lecz stanowczo Barbara Withernshaw, nieznacznie się uśmiechając.

Kiedyś mogła być atrakcyjną kobieta, chociaż nie było co do tego pewności. Przez ponad pół wieku rysy twarzy miały czas zgrubieć i nabrznieć, a talia rozrosnąć się na tyle, że nawet bardzo obszerna suknia nie była w stanie ukryć jej otyłości. Warstwy źle nałożonych kosmetyków ukrywały zmarszczki. Z pewnością była kobietą wykształconą i mogącą zaimponować.

- Vero, już od niepamiętnych czasów usiłuję narzucić ci dietę. Wiem, że tym razem to nie twoja wina, pani Clements powinna wiedzieć lepiej. Tymczasem już po raz trzeci w tym tygodniu podaje nam frytki, a mamy dopiero środę. A do tego pasztety przyrządzone z gotowych mrożonek i mączne ciasto ze szkodliwymi dodatkami. Nie wspominam już o nadzieniu. Wzdrygam się na myśl o tym, co w nim jest. Mięso pośledniego gatunku, najprawdopodobniej naszpikowane Bóg wie czym i pełne adrenaliny, wydzielonej przez wystraszone, nieszczęsne zwierzę podczas uboju w rzeźni. Chorobę wieńcową serwuje się nam na talerzu. Trzeba przyznać, że metoda jest szybka i skuteczna. Bylibyśmy dzisiaj gdzie indziej, gdyby tutejsze towarzystwo nie było zainteresowane powolnym truciem nas. O nie. Vero, nie dostaniesz tych pasztetów i frytek.

- Och, proszę, ciociu Barb. - Dolna warga Very Brown zadrżała. -- Błagam, tylko dzisiaj, i...

- W żadnym wypadku. - Starsza pani zwróciła wzrok na Georga Clementsa i uderzyła w stół ręką, przez co woda w kubku zafalowała i omal nie wylała się na obrus.

- Może pan odnieść porcję Very do kuchni. Freda też. I moją. Ja jestem za nich odpowiedzialna. Z tą papką niech pan zrobi, co zechce, tylko proszę nie wyrzucać jej świniom, jak to robicie z resztkami. Naprawdę uwielbiam świnie i nie życzę im wyrządzonej z rozmysłem krzywdy. Natomiast co do pozostałych... gości - no cóż, są na tyle dojrzały, że sami mogą zdecydować. Staralam się ich oświecić, lecz zdaje się bezskutecznie. Niechże pan idzie i zabierze talerz z tym łajnem.

-- Ależ... - Fura naczyń przesunęła się na pochylonej tacy i tylko szybka reakcja Georga uratowała je przed upadkiem na ziemię. - Ale, ale... pani Clements będzie... niepocieszona.

- Szczerze mówiąc, mam gdzieś nastroje pani Clements - Barbara zamachała lekceważąco dłońmi.

- Wracaj człowieku tam skąd przyszedłeś i zamknij za sobą drzwi.

Clements cofnął się kilka kroków. Szykowała się kolejna burda.

- No, Barb, bądź równiachą, zrób nam ucztę i daj zjeść kilka frytek - rozległ się pomruk siedzącego obok siwego mężczyzny, ubranego w wytarty, granatowy płaszcz. Gładził przy tym z namaszcze-

niem swój policzek, którego zarost nie skrywał zagnieżdżonych na nim wągrów. - Nie zaszkodzi nam...

~ Nie wtrącaj się, Fred! - Barbara z nieukrywaną złością pogroziła mu palcem. - Robię to dla twojego i Very dobra. I nie zapominaj, mój drogi, że gdyby nie ja, to wciąż włóczyłbyś się po opuszczonych budach w Lampeter.

~ I lepiej by mi się wiodło - wymamrotał pod nosem Ainslow. - Mogłem przynajmniej sztachać się i pociągać z flaszki, kiedy tylko chciałem.

- A ja właśnie zjem paszteciki i frytki - powiedział z agresją w głosie brodaty mężczyzna po trzydziestce. Jego bladoniebieskie oczy pałały żądzą głodu.

Był wysoki i szczupły, ubrany w byle jaki, przetarty na łokciach sweter oraz ciemnobrązowe, zbyt obszerne spodnie, które zapewne kiedyś stanowiły dolną część zupełnie dobrze skrojonego garnituru.

- Powinniśmy okazywać wdzięczność za żywność, którą nam zsyła Pan. Nie obdarowywałby nas przecież zatrutą strawą. Straciłaś rozum, kobieto, lecz modlę się o to, aby Jezus, gdy tu zstąpi, przywrócił ci rozsądek. On...

- Trzeba przyznać, że jesteś pod jego opieką, Jacku Christopherze. Mówisz jakbyś zapomniał o tym, że trzykrotnie obnażyłeś się publicznie. Jakież z ciebie będzie Chrystus odrodzony?

- Nie ma powodu wstydzić się ludzkiego ciała, które Bóg stworzył na obraz własny - na policzkach

Christophera wystąpiły dwie czerwone plamy.

- Pani chyba zapomina o tym, co o n a robi.

- Z jadowitą satysfakcją pokazał na Verę Brown.

- Ach, ona... wyrośnie z tego któregoś dnia, tak samo jak i pan- odparła bynajmniej nie zbity z tropu Barbara Withernshaw. - Tyle że ja za pana, dzięki Bogu, odpowiedzialności nie ponoszę.

- A może, pozwoli pani... zabrać porcje wtedy, gdy będą sprzątać? - George wystąpił nieco do przodu, spoglądając nerwowo za siebie, w stronę kuchennych drzwi.

- Nigdy! - wrzasnęła Barbara Withernshaw.

- Nie zamierzam brać udziału w oszustwie. Ta kobieta musi sobie wreszcie uświadomić, że nie może już dłużej podawać nam szkodliwego i niesmacznego jedzenia. Powinnam panu przypomnieć, iż jesteśmy tu gośćmi, którzy płacą za swój pobyt.

Zapadła cisza. Wymiana zdań utknęła w martwym punkcie, jakby aktorzy z szaleńczej sztuki zapomnieli swoich ról i trwali w oczekiwaniu na pod- powiedź suflera. Wówczas drzwi kuchni otwarły się z hukiem i stanęła w nich siwowłosa kobieta o dzikich oczach, ubrana w nierówną u dołu suknię, płaczącą się wokół długich gumowych butów.

- Co tu się dzieje? - zaskrzeczała Brenda Clements, wymachując butelką częściowo napelnioną bladożółtą cieczą. - Czy ktoś mi powie, co tu się dzieje?

George Clements usunął się na bok i położył tacę na pustym stole. Nie tak dawno temu w sytuacjach

takich jak ta zdołałby jeszcze powstrzymać żonę. Lecz obecnie nie był już w stanie, i dlatego starał się trzymać z daleka od wszelkich awantur. Postać Brendy zastawiła drzwi, odcinając mu drogę do kuchni.

- Owszem, ja powiem - odparła bezbarwnym głosem Barbara Withernshaw, jakby recytowała wyuczony na pamięć tekst. - Wielokrotnie panią pouczałam

O O potrzebie spożywania żywności o niskiej zawartości tłuszczów zwierzęcych oraz wolnej od szkodliwych, sztucznych substancji. Mimo tego, po raz trzeci w tym tygodniu, podaje nam pani frytki; w poniedziałek z bekonem i kielbasą, chociaż tego samego dnia jedliśmy już bekon z kielbasą; we wtorek do wołowiny z konserwy, która mogła być zarażona salmonellą; no

1i dzisiaj do tych śmierdzących pasztetów o nieznannej zawartości. Ani ja, ani dwoje moich podopiecznych nie zamierzamy ich jeść, i to samo poradziłam innym. O to właśnie chodzi, Brendo. A teraz niech pani będzie tak dobra i przygotuje nam coś pożywnego i smacznego, i pokaże w końcu, na co ją stać.

Znów zapadła cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na panią Clements. Obecni w jadalni dostrzegli, jak na jej twarzy maluje się najpierw pustka, potem zaskoczenie, aż wreszcie wściekłość. Trzymaną w ręku butelką wymierzała **niczym** pistoletem, **prosto** w Freda Ainslowa.

- On palił. - Wypowiedziane przez nią słowa przypominały syk jadowitego węża, gotowego śmier-

**telnie ukąsić. - I do tego pił. Co pani, tak miłująca
prawdę, powie na to?**

- Jestem przekonana, że to kłamstwo, tak, Fred?
- Jasne, jestem abstynentem, przecież pani wie o tym. Nie wziąłbym szluga do ust.

- Łiesz! - krzyknęła Brenda Clements i gniewnie tupnęła nogą.

" Och, niech pani zejdzie ze mnie - Ainslow zaczął nieudolnie wykręcać się, oglądając przy tym swoje stopy.

- Co za cholerna obraza! Proszę w tej chwili wycofać oskarżenie i przeprosić Freda - zażądała wyniośle Barbara.

- A ja proszę nie rzucać cholerami w mojej jadalni!

Twarz Brendy Clements wykrzywiła się i nadęła niczym gumowa piłka. Butelka w jej ręku znów powędrowała w górę.

- Zaczyna się. - Fred Ainslow z zaskakującą zwinnością schował się pod stół, ściągając jednocześnie obrus ze sztućcami i szklanką pełną wody. Szklanka z grubego szkła odbiła się od podłogi i po turlała dalej.

Inni szybko podążyli za nim, chowając się pod swoimi stolami, jak gdyby cała akcja była wcześniej przygotowana.

Wydając z siebie głośny okrzyk Brenda Clements cisnęła butelką, która wirując jak pocisk pomknęła ku ścianie i rozprysnęła się na wszystkie strony. Odlamki szkła z brzękiem spadły na ziemię, a zawarta w niej ciecz spływała lepkimi strugami po tapecie, pozostawiając brudne ślady.

w chaotycznej ucieczce wszyscy rzucili się do drzwi wiodących do hallu. Przyciskali do twarzy serwetki i chusteczki, zlorzeczyli sobie i przepychali się, Jack Christopher otworzył drzwi i wydostał się pierwszy. Fred upadł, lecz Barbara i Vera podniosły go natychmiast.

- Nie wracać mi tu więcej, ścierwa! - ryczała za nimi Brenda Clements, odwracając się jednocześnie do męża, który właśnie torował sobie drogę do wyjścia przez drzwi kuchenne.

- George, dokąd się wybierasz, u licha? Wracaj tu, w tej...

Nagle zaczęła się krztusić, gwałtownie zakryła oczy i podążyła za nim. Plakała, dusiła się od wstrętnego, gryzącego odoru amoniaku, którego opary unosiły się w pomieszczeniu.

George chwycił ją w ramiona, by mogła się spokojnie wypłakać.

Chwilę później usłyszał stukanie, a wręcz łomot do drzwi frontowych. Ogarnął go lęk. Mogła to być policja albo inspektor sanitarny. Niewykluczona była również wizyta władz z opieki zdrowotnej, które mogły się tu pojawić oskarżając ich, że prowadzą nielicencjonowaną klinikę.

Jednego George nie był w stanie przewidzieć, że za drzwiami czekała atrakcyjna, młoda kobieta z dziewczynką.

Rozdział czwarty

Suzannah podziękowała za talerz gąbczastych pasztecików i wystygłych frytek jakimi je poczęstowano. W ciepłe bijącym od starego kuchennego pieca można było wysuszyć ubranie. Płaszcz i swetry rozłożyły na poręczach krzesel, blisko płonącego ognia.

W tym bezpiecznym i ciepłym miejscu znalazły się w momencie, gdy już ogarniała ją rozpacz, mimo to czuła się tu nieswojo. To małżeństwo w średnim wieku zachowywało się co najmniej dziwnie. Kobieta musiała wcześniej płakać, a teraz robiła wrażenie nadąsanej. Błada siedziała wyprostowana na krześle w najbardziej odległym kącie pokoju i wpatrywała się w pustą ścianę.

- Chyba nie zamierzacie tu zostać? - odezwał się George znad zlewozmywaka, w którym mył naczynia.

- Chciałybyśmy wrócić do domu - odparła Suzannah. - Lecz musiałabym najpierw wezwać pomoc drogową. Nie ma pan pojęcia, co się dzieje na dworze. Zaspy zatarasowały szosę. Miałyśmy szczęście, że się nie zgubiliśmy. Dotarliśmy tu przez przypadek.

George Clements wycierał filiżankę, na czole pojawiła mu się głęboka bruzda. Zerknął na żonę, jednakże zdawała się być zupełnie nieświadoma tego, że mają obcych w domu. Czasami milczała tak przez całe dni, powoli bowiem dochodziła do siebie po

atakach szału. Zacisnął usta i postawił filiżankę na suszarce. Ostatnią rzeczą jakiej teraz potrzebowali, byli goście, a później rozsiewane przez nich plotki i sensacyjne historie.

- Spróbuję zadzwonić - wymamrotał. - Może przedrze się tu pogotowie drogowe i zabierze stąd was i wasz samochód.

- Dziękuję. - Suzannah patrzyła jak powlócząc nogami przemierza kuchnię i wychodzi z hallu, zamykając za sobą drzwi. Pociągnęła nosem. W pomieszczeniu unosiła się obezwładniająca woń amoniaku, od którego zaczęły jej łzawić oczy.

- Mamo, co tak śmierdzi? ~ odezwała się po raz pierwszy Rose.

- Nie mam pojęcia. - Spojrzała ponownie na kobietę, która wciąż nie reagowała.

Pani Clements najwyraźniej pogrążona była we własnym świecie. Wyglądała na przygnębioną i obojętną na wszystko.

Rose ścisnęła dłoń matki. W drżeniu ręki Suzannah wyczuła nerwowość córki. „Biedne dziecko! Przedzieranie się przez zwały śniegu było dla niej okropnym przeżyciem, a teraz ten dom, w którym zatrzymają się prawdopodobnie na noc” - pomyślała z niepokojem.

Pan Clements, oczywiście, nie życzył sobie tego, lecz jeśli nikt nie przybędzie im na pomoc, będą musiały tu zostać. Wytężyła słuch, starając się usłyszeć dźwięki telefonu w hallu, jednak bez rezultatu. Ciszę mąciło jedynie tykanie zegara, stojącego na

gzymisie. Ścisnęło ją coś w brzuchu. Gdyby nie śnieg, wzięłaby Rose i wróciła na szosę, żeby spróbować złapać jakiś wóz. Na widok osoby siedzącej w rogu pokoju Suzannah dostawała dreszczy - coś złego działo się z tą kobietą.

Rozległy się kroki, powolne i powłóczyście, w drzwiach obróciła się gałka i wszedł pan Clements. Suzannah popatrzyła nań i szybko wstała. Nie sposób było wyczytać cokolwiek z jego nieprzeniknionej twarzy. Zamknął drzwi cicho, tak aby nie przeszkadzać żonie.

- Tak? - Na miłość boską, jak poszło?
- Telefon nie działa. - Skierował się w kierunku zlewu, szurając nogami.

- O Boże! - Serce jej zamarło.
- Śnieg musiał zerwać łącza - zauważyła Rose.
- Niekoniecznie. - Clements uniósł kolejną filiżankę, przyjrzał się jej i wytarł ją. - Tutaj kable przeważnie położone są pod ziemią, chociaż to jeszcze gorzej. Ci cholerni farmerzy uszkadzają je w czasie prac polowych. Samolubne bękarty, nawet nie fatygują się powiedzieć o tym, co narobili. A niech to! Złożyłem zażalenie w urzędzie, obniżyli trochę opłaty i przyznali mi rabat. W końcu, to lepsze niż nic.

- Więc, co zrobimy? - Przecież nie damy się wyrzucić w taką zamieć.

Nie odpowiedział od razu. Odstawił filiżankę na miejsce.

- Właściwie to nie wiem. Muszę poradzić się Mamy.

George Clements zwrócił się twarzą do żony.

- Mamo, ci ludzie zablądzi, co mam z nimi zrobić?

Suzannah ogarnął strach. Kobieta nawet nie dała po sobie poznać, że cokolwiek słyszała, i wzrok dalej miała wbity w ścianę. W dalszym ciągu nie wydawała z siebie żadnego dźwięku.

- Mama mnie pozostawiła decyzję. - Pochylił się nad kuchenną szafką i niby głęboko zamyślony zatopił w niej spojrzenie.

- Musimy tu przenocować. - Suzannah Mitchell starała się zachować spokój ze względu na Rose. Wiedziała, że ludzie którzy prowadzili hotel byli obłąkani. Zastanawiała się też kim byli ich goście i gdzie teraz się znajdują.

- Zapłacimy, o to się proszę nie martwić.

- Bezwzględnie - odpowiedział z agresją w głosie George, po raz pierwszy napotykając jej wzrok. - Nie przyjmujemy darmowych gości. Mama nigdy by się na to nie zgodziła. Piętnaście funtów za nocleg: łóżko, śniadanie i kolacja. Właśnie zjadłyście wieczorny posiłek, pozostaje więc tylko śniadanie. Pokój powinien być zwolniony przed dziesiątą rano. Mamy dwa wolne numery na drugim piętrze.

- Jeden pokój wystarczy - zdecydowanie odparła Suzannah. „Chryste, on chyba nie sądzi, że zostawię moją córeczkę na noc samą w tym zwariowanym domu. Z pewnością śniłyby się jej koszmary i krzyczałyby przez sen” - pomyślała z przerażeniem.

- Pobiorę opłatę za dwa pokoje.

- Dobrze. - Trudno jej było ukryć wzburzenie. Windował cenę wiedząc, że nie mają wyboru.

" Opuszczymy hotel rano, najwcześniej jak będzie to możliwe, obiecuję.

- Pójdę przygotować pokój. - Złożył ściereczkę i przewiesił ją przez sznurek przywiązany do dwóch haczyków.

Mama w dalszym ciągu nie przejawiała zainteresowania gośćmi, działo się z nią coś zdecydowanie złego.

- Czy macie... tu innych gości? - Suzannah musiała zadać to pytanie, chcąc przełamać w sobie strach.

Tak. - George skierował się do drzwi, aby uniknąć jej wzroku.

- Przypuszczam, że wcześniej kładą się spać? - Stary zegar na gzymsie wskazywał dziewiątą czterdzieści. Prawdopodobnie chodził źle.

- Tak - odpowiedział zwięźle. Lodowaty dreszcz przeszedł jej po plecach.

- Przygotowanie pokoju nie zajmie wiele czasu. Proszę tu zostać. Mama jest bardzo zamknięta w sobie i nie czuje się dzisiaj za dobrze. Mam nadzieję, że jej pani wybaczy.

- Oczywiście.

Niespodziewanie głośny łomot przerwał niezręczną ciszę; był to szaleńczy stukot, który odbijał się echem i rozbrzmiewał gdzieś w korytarzu za drzwiami. Suzannah zeszywniała i wyczuła, że Rose aż podskoczyła. George Clements zatrzymał się w pół kroku

i zamarł, natomiast jego żona zdawała się wciąż nie słyszeć.

Buch - buch - buch. Coś ciężkiego uderzało w grube drewno. Suzannah usiłowała rozpoznać odgłos, który był jej skądś znany, lecz nic nie przychodziło jej na myśl. I nagle przypomniała sobie ciężką, żelazną kołatkę u frontowych drzwi.

- Wydaje mi się... że ktoś jest na zewnątrz - powiedziała. Pan Clements nie sprawiał wrażenia, zainteresowanego tym. Zachowywał się bezsensownie udając, że nic nie słyszy.

- Tak - wyszeptał ochryple i jego niezdrowa twarz pobladła nieco.

- W nocy, o tej porze? Kto to może być? -- zażądał od niej odpowiedzi, co sprawiło, że poczuła się głupio. „Skąd, u diabła, mam wiedzieć? Niech się ruszy i sam sprawdzi” - pomyślała.

- Pójdę zobaczyć - oznajmił.

Ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Jego kroki przypominały skradanie się, jakby się czegoś obawiał.

- Nie podoba mi się to miejsce, mamusiu. - Wyszepiała Rose.

- Uspokój się, kochanie, jesteś przemęczona. Potrzeba ci dużo snu, rano poczujesz się lepiej. Nie sądzę, żebyś jutro poszła do szkoły.

- Podejrzewam, że pani Blower gniewa się, że nie przyszłam na próbę. Dziewczynka niemal się rozplakała. - Mogę stracić rolę.

- Naprawdę wątpię w to, żeby ktokolwiek był na

próbie - odpowiedziała Suzannah, starając się pocieszyć Rose.

Tymczasem drzwi frontowe zatrzasnęły się. Słysząc było zbliżające się kroki. Suzannah oczekiwała w napięciu, bacznie wpatrując się w drzwi.

- Boże, co z nami będzie? - wyszeptala.

Drzwi otworzyły się. Pierwszy wszedł George Clements, a za nim przemokły do suchej nitki młody mężczyzna. Trzymał w ręku oblepiony śniegiem kożuszek.

- Cześć! - Twarz miał bladą z wycieńczenia, ale stać go było na uśmiech. Natychmiast zbliżył się do pieca, zrzuciwszy okrycie na podłogę.

- Nazywam się Owain Pugh, mój samochód ugrzązł w zaspie na szosie.

Suzannah poczuła ulgę. Ten mężczyzna zjawiał się jak rycerz w srebrnej zbroi, w godzinę potrzeby. Mógł stać się jej kompanem w niedoli, gdyż najwyraźniej był p r z y z d r o w y c h z m y ś l a c h .

- Jestem Suzannah Mitchell, a to jest moja córka Rose. Zostajemy tu na noc.

- Zdaje się, że ja też.

- Wszystkie miejsca mamy zajęte. - Clements spojrział uważnie na żonę, od której jednak nie usłyszał odpowiedzi.

- Wobec tego prześpię się na podłodze, przy piecu - szybko zareagował Owain. - W żadnym wypadku nie dam się już stąd wyrzucić.

- Mamo, ktoś jeszcze chce u nas nocować - Clements mówił przerażonym głosem, jakby spodziewał

się reprimendy lub nawet kary. Brenda jednak nie zareagowała. Obojętnie wpatrywała się w gościa.

- Może pan zostać, jest jeszcze wolny mały pokój w lewym skrzydle na drugim piętrze. Łóżko, śniadanie, kolacja. Piętnaście funtów - dodał po chwili.

- To mi zupełnie wystarczy. Bylbym wdzięczny, gdybym możliwie szybko coś dostał do jedzenia. Rozumiem, że jest to hotel, panie Clements. Czy macie tu bar dla gości?

George Clements zeszywniał, pobladł jeszcze bardziej i rzucił żonie kolejne, niespokojne spojrzenie. Powrócił wzrokiem do Owaina.

- Pod moim dachem nie będzie pan pił. Ani kropli alkoholu dopóki jest pan tu gościem. W innym wypadku natychmiast opuści pan hotel, bez względu na pogodę. Zrozumiał pan?

- W porządku - odrzekł Owain, wzduszając ramionami. - Ale filiżankę kawy chyba dostanę? Albo herbaty? - Jego ręka powędrowała do kieszeni i po chwili wyciągnął z niej wymiętą paczkę papierosów.

- Wykluczone! Clements wydał z siebie stłumiony okrzyk bóleści, i szybkim ruchem ręki chciał jakby wyrwać Owainowi paczkę. - Nie w tym domu, proszę pana. Mama nie pozwala pić ani palić. - Dłoń Clementsa pozostała wyciągnięta w geście, w jakim wychowawca konfiskuje papierosy uczniowi przyłapanemu na paleniu.

- Dobrze, dobrze. - Owain schował paczkę z powrotem do kieszeni. - Dostosuję się do tych zasad, ale wolalbym, żeby pan nie podnosił głosu. Nie

jestem tu z własnej woli, lecz zmusiły mnie do tego okoliczności. Gdyby nie konieczność, wcale bym tutaj nie przyszedł. Ale skoro mój samochód utknął w zaspie, a pański telefon nie działa, jestem tu i chcę zapłacić za nocleg i posiłek. Czy mogę więc dostać coś do jedzenia i picia? Czy aż o tak dużo proszę za własne pieniądze?

George Clements jak gdyby zaczął wycofywać się, potrzebował trochę czasu, aby odzyskać zimną krew.

- Oczywiście, proszę pana. Zaraz podam coś do zjedzenia. Lecz, jeśli pan pozwoli, muszę najpierw położyć Mamę. Nie czuje się dzisiaj dobrze, jak sam pan widzi.

Patrzyli, jak Clements przemierzył pokój, objął półprzytomną kobietę i pomógł jej stanąć na nogi. Powoli prowadził ją do drzwi, przytrzymując nie chcący spódnice, która uniosła się i odsłoniła podrapane nogi, obute w śmieszne, gumowe kalosze. W innym miejscu i czasie sytuacja wyglądałaby komicznie, lecz dzisiaj w hotelu w Donnington wszystko to budziło przerażenie.

Clementsowi i żonie udało się wreszcie wydostać z kuchni. Słysząc było ciężkie kroki w korytarzu, a następnie odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

- Czy to dom wariatów? - zapytał zdziwiony Owain i pociągnął nosem, wyczuwając woń amoniaku.

- Zaczynam tak sądzić - uśmiechnęła się Suzanna. Było jej znacznie lżej od chwili, kiedy dołączył do nich ten mężczyzna.

- A propos jedzenia, na kolację są odgrzewane gąbczaste paszteciki i zimne frytki.

- Szczerze mówiąc, wszystko mi jedno - odparł Owain. - Ponarzekam jutro rano. Mimo wszystko jest tu szczyt luksusu w porównaniu z tym, co dzieje się na dworze. Jeśli nie przestanie wiać i sypać, to do rana wyrosną trzymetrowe zasy.

- Zostanę tu tylko do śniadania - powiedziała Suzanna, zastanawiając się jednocześnie, ile potrwa przygotowanie pokoju. - Chciałabym już opuścić to miejsce. Przypuszczalnie są tutaj jeszcze i inni mieszkańcy, ale boję się nawet myśleć kim oni są.

- Spokojnie. - Owain wydawał się tak pewny i męski, że Suzannah zapragnęła dzielić z nim dziś w nocy jeden pokój. Zreflektowała się jednak szybko, znała go przecież zaledwie od kilkunastu minut.

- Jutro rano odjedziemy zaraz po śniadaniu. Powinna pani docenić to, że ludzie przyjęli nas, inaczej zginęlibyśmy gdzieś w śnieżycy.

Rozdział piąty

Dziwactwa Harrego Clementsa przerodziły się w prawdziwą obsesję. Występujący u niego przymus segregacji lekarz nazwał „symetryczną neurozą”; praktycznie wykluczyła ona Harrego z jego środowiska, dostrzegającego w nim jedynie obiekt śmiechu, na co zresztą Harry i tak pozostawał głuchy.

Młodszy brat Georga Clementsa miał czterdzieści dziewięć lat, mizernej postury, lekko przygarbiony, o orlich rysach twarzy. Nieznacznie przyprószone siwizną włosy zaczesywał do tyłu. Zwykł nosić podniszczony garnitur, którego spodnie pozostawiał na noc w maszynie prasującej oraz nieprzemakalny płaszcz do kolan. Na głowie miał zawsze czapkę, którą układał nadzwyczaj starannie; jeśli pod ręką nie miał lusterka, to ku uciesze przechodniów często przeglądał się w witrynach sklepowych.

Zakończywszy pracę w firmie asekuracyjnej Harry oszczędził na rentę i przeprowadził się na południe, zamieszkując z Georgiem i Brendą. W czasie, gdy była to klinika, Harry zajmował pokój na pierwszym piętrze, lecz z powodu swego kolekcjonerskiego zacięcia musiał przenieść się do większego pomieszczenia w suterenie. Sufit w pokoju pod nim ponoć uginał się pod potężnym ciężarem składowanych tam książek.

W suterenie Harry czuł się odizolowany od reszty

domu, co bardziej mu odpowiadało. Zamieszkiwał długi, wąski pokój bez okien, który zamienił w korytarz z pieczolowicie poustawianymi kartonami. Aby przejść w głąb pomieszczenia należało najpierw skrócić w lewo i przejść trzy metry prosto; dopiero wówczas dochodziło się do niszy, w której stało łóżko i mały stolik. Na stoliku leżał stos pism dla winiarzy, poukładanych kolejno, od numeru najniższego do najwyższego. Sam sprzątał pokój i odkurzał pudła regularnie w każdy wtorek. Ostatnio zaczął sam sobie przygotowywać śniadania; znosił je następnie na dół, aby zjeść w łóżku.

Lubił noc. Przyzwyczajenie do odmiennego trybu życia pozostało mu z czasów pracy w firmie asekuracyjnej, kiedy to dyżurował przy telefonie od ósmej wieczorem do ósmej rano. Zwykł funkcjonować w godzinach nocnych, a sypiać do południa, co oznaczało, że w Donnington opuszczał porę śniadania i lunchu. Za pośrednictwem Georga porozumiał się z Brendą: kupował własną żywność i przygotowywał sobie posiłki w nocy, kiedy wszyscy spali. Mimo to płacił na utrzymanie jak wszyscy - pod tym względem Brenda była nieustępliwa. Poza tym mógł robić to, co chciał.

W nocy posilał się dwukrotnie: około jedenastej oraz tuż po szóstej nad ranem. Wtedy zasiadał w świetlicy, żeby jednocześnie obejrzeć poranny program telewizyjny. O tej porze centralne ogrzewanie jeszcze nie działało więc zazwyczaj miał na sobie pulower, a zimą dodatkowo ciepły płaszcz.

Właśnie zauważył niedawno, że Withernshaw zaczęła interesować się jego posiłkami. Nie było wątpliwości, że przetrząsnęła kuchnię i w specjalnie dla niego wydzielonym kąciku przejrzała starannie poukładane produkty. Był tam mały bochenek białego chleba, pokrojonego w kromki, słoik najtańszego, gotowego dżemu malinowego oraz rodzaj krakersów, jeszcze tańszych niż te, które z serem podawała gościom Brenda zamiast słodczy. Miał również miód, ser z gatunku cheddar, ciasteczka zawierające środki konserwujące, dzięki którym zachowywały świeżość przez co najmniej tydzień oraz herbatę w torebkach.

- Nie dziw się, że chorujesz. - Harry domyślał się, że pani Withernshaw celowo zaczęła się w nocy, czekając aż wyłoni się ze swej nory.

- Brakuje ci witamin i białka. Poza tym zupełnie nie jadasz świeżych warzyw i owoców. Posłuchaj, zapiszę ci na kartce łatwą do stosowania dietę, i zapewniam cię, że w ciągu dwóch tygodni będziesz...

„Diabli nadali tę sukę” - pomyślał Harry, zawrócił do swoich podziemi, a kiedy pojawił się po upływie godziny, w kuchni leżał przygotowany przez nią spis tego, co powinien jadać, z wyrysowanym dziennym menu. Zgniół papier i wrzucił go do pieca.

W ostatnim czasie Harry bardzo pracowicie spędzał noce. Paczki z książkami od dealerów pojawiały się regularnie; Harry był stałym nabywcą katalogów. Sprawdzał te książki strona po stronie; zwracał je jeśli zdarzały się skazy nie wymienione

w opisach, na przykład wygumkowane uwagi na przedtytułach lub wyprasowane i wygładzone „ośle uszy”. Dopiero po tym wprowadzał poszczególne pozycje do swej księgi inwentaryzacyjnej oraz wyszczególniał je na pudłach, w których książki składował. Wolne chwile, jeżeli je w ogóle miał, przeznaczal na czytanie. Uważał siebie za człowieka oświeconego, a przy tym rozkoszował się wielkością prowadzonych interesów. Nie znosił wydawania pieniędzy na cokolwiek poza książkami, które uważał za lokatę kapitału. Podzielił się kiedyś z bratem myślą, że czas sam w sobie jest już inwestycją, a inflacja może przynosić zyski, kiedy się z niej umiejętnie korzysta.

Harry trzymał się z dala od pozostałych mieszkańców i starał się mieć jak najmniej do czynienia z gospodarzem. Miał żal do George'a o to, że bierze od niego zaledwie pięć funtów mniej niż od pozostałych. Nic ich nie kosztował, pomijając tę odrobinę prądu, którą zużywał. Nawet żywność miał swoją, a ilość rzeczy oddawanych do prania była naprawdę znikoma.

George'a i Brendę uważał za dziwaków, i co do tego nie miał wątpliwości. Brat ongiś napomknął mu nawet, że kilka lat temu musiał oddać Brendę na jakiś czas do zakładu zamkniętego. Harry zdziwił się, że ją wypuścili. Miał świeżo w pamięci noc sprzed dwu tygodni; gdy zmierzał do kuchni, by przygotować swój pierwszy posiłek, usłyszał ich podniesione głosy; wówczas zatrzymał się nadsluchując. „Skończę z nimi - krzyczała w szale - wystarczy, że dosypię im trochę

strychniny do zupy albo zmieszam ją z cukrem i sami się otrują. Nie, to się nie uda, Barbara Withernshaw nie słodzi i nie pozwala słodzić Verze ani Fredowi, Wyjdą z tego cało. Czy ty nic nie pojmujesz, George? Oszczędzając agonii, wysyłając ich wcześniej do nieba wyświadczam im tylko przysługę.

- Zamkną cię. Nie pozwolę na to - powtarzał George.

- Spiskują, żeby mnie zamordować, podsłuchałam to. Fred mówił, że mnie zabije, a Barbara mu w tym dopomoże. Zabiją mnie, jeśli ja z nimi wcześniej nie skończę czy nie rozumiesz?

~ Nie mówią tego dosłownie.

- Zabiją mnie. Tak jak ci doktorzy, którzy ośmielili się wykończyć naszą Elspeth. Ona zmarła na zapalenie opon mózgowych - zaprzeczył.

- Dali jej umrzeć, chociaż byli w stanie ją uratować. Rozmawialiśmy potem, i tego się od niej dowiedziałam.

- Ona się jeszcze raz urodzi - krzyczał George, a jego słowa jakby pogłębiały obłęd żony.

- Co? Kiedy? - wytrzeszczała oczy i pochylała się ku niemu.

- Skąd wiesz, George?

- Wiem wiele, po prostu zaufaj mi. Elspeth powróci do nas już niedługo, obiecuję. Wierz mi i czekaj, a dowiodę tego. Elspeth znów narodzi się w naszym domu i jeszcze raz będzie dorastać.

Harry tak przeraził się, że natychmiast wycofał się po cichu do siebie. Brenda była wystarczająco obłąkana, żeby spełnić swoje groźby. Pomyślał, że lepiej byłoby, gdyby trzymał swoje wiktuały u siebie. Tam w kuchni, mogła do nich czegoś dorzucić. Była przecież do tego zdolna.

Od tego czasu Harry stał się bardziej ostrożny. Któregoś wieczoru nieoczekiwanie odwiedził go George.

- Pada śnieg - rzekł George. - Drogi są już zasypane, a telefon nie działa.

- To mnie nie martwi. Chociaż zauważyłem, że jest zimno.

- Niepokoję się o Mamę'.

Harry naprężył się. „Czyżby zrobiła coś strasznego sobie albo któremuś z mieszkańców?” - pomyślał ze strachem.

- Znowu miała atak - ciągnął George - i to gorszy niż zwykle, rzucała amoniakiem. Nic do niej teraz nie dociera. Zostawiłem ją w jej pokoju i zamknąłem drzwi na klucz.

- Wobec tego będzie bezpieczna.

- Tak, dopóki nie nastąpi kolejny atak. Do tego mamy dziś w nocy obcych w domu. W końcu musiało się to zdarzyć. Pełnia księżycy, zamieć śnieżna. Mama i obcy.

- Kto?

- Kobieta z dzieckiem i jeden gość, który zjawil się przed chwilą. Ich samochody ugrzęzły w śniegu. Ale to o Alison martwię się, nawet bardziej niż o Mamę.

- Wciąż choruje?

- Już od tygodnia nie wychodzi z pokoju. Mama widziała ją wczoraj, stwierdziła bóle brzucha, sądzi, że może to być zapalenie wyrostka, lecz ja znam prawdę, Harry. Ona jest w ciąży, niebawem przyjdzie na świat dziecko!

Harry aż przysiadł na łóżku. Poczł słabość w nogach, ciężko mu było oddychać.

- Nie... nie wierzę.

- To prawda. Rozmawiałem z nią. Miała rodzić już wcześniej, ale poród opóźnia się. Nie zmienia to jednak faktu, że wkrótce pojawi się dziecko.

- Czy mamy kogoś do pomocy?

- Nie trzeba w to mieszać nikogo, Harry. Wszystko będzie dobrze. Chciałbym, żebyś jej doglądał. Ja mam pełne ręce roboty...

Harremu zrobiło się zimno, zdawało mu się, że światło jakby przygasło. Zbyt dobrze zachował w pamięci rozmowę, którą usłyszał owego wieczoru w kuchni: „Elspeth znów narodzi się w naszym domu!”

- Ja... ja nie mam pojęcia, co trzeba robić. - Zaczął wykręcać się, usiłując znaleźć najbardziej logiczną wymówkę. I nagle przemknęło mu przez myśl pytanie: „Czyżby George był ojcem dziecka Alison? To wyjaśniałoby całą sprawę. A jeżeli urodzi się chłopiec?” Z nerwów aż klulo go pod lopatkami.

- W każdym razie chciałbym, żebyś pozostał z Alison - George zachowywał się w tej chwili jak wdzięczny, ^proszący o przysługę brat.

- Jeśli zacznie rodzić, zejdiesz na dół i zawołasz mnie. Przyjdę z Mamą. Nic ponadto, przysięgam,

- No cóż, zgoda.

Patrząc, jak brat odchodzi, Harry przeklinał siebie za to, że nie odmówił. Klucie promieniowało spod łopatek aż do karku i głowy, usta miał suche. Czuł, że może zdarzyć się coś strasznego.

Rozdział szósty

Alison Darke-Smith przebywała w wielu zakładach od wczesnych lat dzieciństwa, co na swój sposób zaakceptowała. Niezbyt dobrze pamiętała swoich rodziców, którzy pozostawili ją samą sobie.

Do szóstego roku życia mieszkała w wielkim, drewnianym domu należącym do rodziców. Wciąż pamiętała pannę Mason, dobrze zbudowaną, srogą guwernantkę w grubych szklach na nosie, od której niekiedy dostawała klapsy za brak postępów w czytaniu.

Gdy Alison skończyła osiem lat posłano ją do żeńskiego internatu, w którym pozostała jednak tylko semestr. Stała się bowiem pośmiewiskiem dla wszystkich dziewcząt. W żaden sposób nie mogła zostać „jedną” z uczennic. Zaczęła wówczas spozierać, że była zupełnie inna od pozostałych dzieci. Opowiadała bardzo dziwne rzeczy, niezrozumiałe dla nikogo. Sama też miała kłopoty ze zrozumieniem tego, co do niej mówiono. Pewnego dnia spróbowała ucieczki, która się nie udała. Po kilku dniach odesłano ją do domu.

Stosunek rodziców Alison do córki uległ zmianie. O ile wcześniej zdarzały się pewne przejawy miłości, to później pozostała jedynie obojętność. Odbyla niezliczone wizyty u specjalistów, przesiedziała mnóstwo czasu w posępnych poczekalniach, gdzie leżały sterty

pism, z których i tak nic nie rozumiała. Następowaly kolejne badania, kiwanie głowami, zaciskanie ust i rozmowy z rodzicami ściszym głosem.

Druga szkoła była inna niż poprzednia. Tu nie gniewano się, jeśli czegoś nie rozumiała. Dużo rysowała, bawiła się i w pogodne dni pod ścisłym nadzorem chodziła na długie spacerzy. Nie krzyczano nawet wówczas, gdy zmoczyła pościel, gdyż większości przebywających tutaj dziewcząt czasami się to zdarzało.

Życie toczyło się tam swobodnie i spokojnie.

Alison wyrosła na sympatyczną, dużą dziewczynę. Miała gęste, kasztanowe, krótko obcięte włosy, szeroką twarz.

Kiedy skończyła szesnaście lat wysłano ją do kliniki w Donnington. Nie przejmowała się szczególnie państwem Clements. Dopóki zachowywała się nienagannie, ci nie ingerowali w jej sprawy. Jako że najgorszą rzeczą w klinice była dla niej nuda, z radością przyjęła pojawienie się Very Brown. Mogły przynajmniej spacerować razem, a Vera starała się nawet nauczyć Alison gry w krykieta. Niestety, gdy wreszcie poczuła się szczęśliwa wysłano ją z powrotem do domu, ponieważ klinikę zamknięto ze względu na zmianę profilu..

Następne kilka miesięcy obróciło się w koszmar. Jej rodzice wyjechali za granicę, powierzając córkę pannie Jeavons, prywatnej pielęgniarce o surowych obyczajach, która zwykła zamykać dziewczynę w

**pokoju i całymi dniami nie wypuszczać stamtąd.
Osta-**

tecznie jednak Alison znów znalazła się w Donnington. Dawną klinikę zamieniono na hotel. Zamieszkiwało go teraz wielu starych pacjentów i choć pod wieloma względami nic się nie zmieniło, to jednak miała więcej swobody niż poprzednio. Mogła robić co chciała, pod warunkiem, że pojawiała się regularnie na trzech posiłkach, zaznaczając tym jakby swoją obecność.

Alison leżała w półmroku, wpatrując się w ruchome wzory na ścianach jakie tworzył podświetlony, sypiący za oknem śnieg. Padało nieustannie. W chwilach, w których bezlitośnie szalał wiatr, słyszała miękki i złowieszczy odgłos płatków uderzających o szybę.

Była wyczerpana. Częste skurcze pozbawiały ją sił, wijąc się z bólu krzyczała, lecz nie było w pobliżu nikogo, kto by usłyszał ją i wsparł dobrym słowem. Tak, jak zdarzało się to wciąż w jej życiu, i tym razem pozostawiono ją na pastwę losu. Spodziewała się dziecka. Pan Clements oznajmił jej to wczoraj, a ona przyjęła tę wiadomość z isticie stoickim spokojem.

Większość kobiet ma dzieci. Jej rodzice zawsze starali się jej wmówić, że jest inna, więc tym razem chciała dowieść im, że wcale tak nie jest. Wiedziała jednak, że niewiele ich to obchodziło i zapewne nie przyjadą nawet się z nią zobaczyć.

Odkąd Alison po raz drugi zamieszkała w Donnington, prawie nikt jej nie odwiedzał. Pani Withernshaw ostatnio była zbyt pochłonięta osobą Very Brown, aby troszczyć się o nią. Nienawidziła

**George'a Clementsa, pragnęła zamknąć przed nim
drzwi**

i więcej go nie wpuszczać. Czasami, w środku nocy, zachodził do niej Harry Clements i przesiadywał godzinami, opowiadając historie, z których niewiele rozumiała. Mamrotał coś do siebie, mówił cichym głosem, jakby w obawie, że ktoś odkryje tu jego obecność.

Natomiast Jack Christopher wzbudzał w niej lęk. Przynajmniej tak było ostatniej nocy, gdy nieproszony wtargnął do jej pokoju.

Ból ustawał, leżała mokra od potu z zamkniętymi oczyma, a kiedy znów je otworzyła przy łóżku stał Jack Christopher. Poznała go po sylwetce i świdrującym spojrzeniu płomiennych oczu, kontrastujących z beznamiętnym wyrazem twarzy. Wzdrygnęła się.

- Cierpisz z bólu, moje dziecko? Słyszałem twoje krzyki.

Skinęła głową nic nie mówiąc. Nie miała zamiaru prosić, żeby wyszedł, i tak by jej nie usłuchał. Zawsze wychodził wtedy, kiedy chciał.

- Pozwól mi spojrzeć, może w coś pomogę. - Zwinnym ruchem odrzucił na bok pościel, odkrywając jej białe ciało. Obnażone podbrzusze było nabrzmiale i lekko pulsowało. Instynktownie chciała chwycić za koldrę, która okazała się jednak poza zasięgiem jej ręki.

- Nosisz dziecko, dziewczyno - stwierdził głosem pozbawionym emocji, nie ganiąc jej ani nie współczując.

- Tak, spodziewam się dziecka. Dokładnie nie wiem kiedy, ale chyba już niedługo.

Dotknął jej brzucha szczupłymi palcami. Zaciśnięła uda obawiając się, że przesunie dłoń niżej, ale nie uczynił tego. Po prostu badał ją w sposób, w jaki robił to doktor Gidman, kiedy podejrzewał u niej zapalenie wyrostka. Jack Christopher zdjął rękę i odsunął się nieco, szukając jej spojrzenia.

~ Z kim spałaś, dziewczyno? - W pytaniu zawarte było oskarżenie, lecz głos jakby drżał w obawie przed odpowiedzią.

- Ja... ja nie rozumiem - odparła dławiąc łzy. Chciała się upewnić, co Jack ma na myśli.

- No, z kim współżyłaś? Kto jest ojcem przyszłego dziecka? - Wysunął głowę do przodu i zgarbił się jeszcze bardziej. Nie patrząc wyobrażała sobie jego wykrzywioną w oczekiwaniu twarz. W ciszy słychać było jedynie jej ciężki oddech.

- Nie... nie byłam z nikim, przysięgam!

Szybko nabrała powietrza i zaraz je wypuściła. Twarz Jacka zbliżyła się do jej twarzy, drżące palce chwyciły ją za nadgarstek.

- Co? Powtórz!

- Ja... - Nie mogła wypowiedzieć słowa, poruszała ustami, lecz wydobywał się z nich jedynie niewyraźny szept.

- Ja...

- Powiedz mi. N a t y c h m i a s t !

- Ja... nie byłam z nikim, przysięgam na Biblię Świętą. Żaden mężczyzna mnie nie tknął. Nie wiem, jak to się stało. Moi rodzice wpadną we wściekłość, powiedzą, że kłamię, zabiorą mi dziecko ...

- Nie, nie ośmiela się. Nikt ci nic złego nie zrobi!- Uścisk na jej dłoni zacieśnił się.

- Ale ty nie kłamiesz?

- Przysięgam.

Jack Christopher odsunął się, zwolnił uścisk, wolnym krokiem podszedł do okna i spojrzal przed siebie. Pozostał w bezruchu przez chwilę, po czym odwrócił się i zbliżył się do niej.

- Stało się - rzekł z dreszczem podniecenia w głosie. - Wierzę ci, dziewczyno. Kiedyś musiało się to stać, chociaż bałem się, że nie za mojego życia. I właśnie ta chwila nadchodzi, a ja muszę się do niej przysposobić.

- Co się stało? - Alison była wystarczająco wystraszona. Niepokoila ją już sama perspektywa porodu. - Proszę powiedzieć!

Zawahał się przez chwilę, zastanawiając się, czy powierzyć jej tę wielką tajemnicę.

- Sądzę, że powinnaś o tym wiedzieć - wyszeptal. - Zatem nie odbyłaś stosunku... Więc wciąż jesteś dziewicą?

- Po namyśle powtórzył pytanie, lecz wypowiedzial je tak ostrym tonem i tak nagle, że dziewczynie znów odjęło mowę.

- Muszę mieć pewność: czy jesteś dziewicą?

- Tak. - Nie miała wątpliwości. Była zwykłą panną, która czasami sprawiała sobie przyjemność w sposób, w jaki zawsze robiła to Vera. Miała jednak

nadzieję, że o to już nie zapyta. - Jestem dziewicą.

- W takim razie to jest prawda! - Jack Christopher uderzył pięścią we własną dłoń. - Nie ma innego wyjaśnienia. Ty jesteś wybraną dziewicą oddaną mi w opiekę.

- Powiedz mi proszę, o czym ty mówisz?

- Powtórne Przybycie, moje dziecko - oznajmił głosem pełnym euforii. - Wiemy, że On znów nadejdzie, pytanie brzmi tylko kiedy? Syn Boży powróci tu do nas, a my musimy chronić Go przed tymi, którzy chcą Jego krzywdy, unicestwienia i ponownego ukrzyżowania. Czy teraz już wiesz?

Pokiwała głową. Zrobiło jej się słabo, z trudem chwytając oddech, przypominając sobie astmatyczne cierpienia, jakich doznawała w dzieciństwie, tym razem ból umiejscowił się w płucach, a nie, jak dotychczas, w łonie.

„Nie mogła to być prawda, to nie mogło mi się przydarzyć” - myślała przerażona Alison.

Zastanawiała się czy Powtórne Przybycie to jakiś wybryk natury, czy też wpędzili ją w ten dziwny stan... „Czyżby to był okrutny podstęp ze strony Clementsów albo Jacka Christopha? A może nawet Harrego Clementsa?”

- To niemożliwe - zajęczała - tylko nie ja.

- Przestań bluźnić! - powiedział podniesionym głosem. - Nie wolno wyrażać się o Świętym Dzieciątku ze wzgardą. Zostałaś wybrana przez Boga, żeby urodzić Mu Syna, a mnie wyznaczono do opieki nad wami. Odtąd - nagle ściszył głos - trzymaj

w tajemnicy to, co ci powiedziałem. Przez cały czas będę przy tobie czuwać. Tobie i Dziecku nie stanie się krzywda, obiecuję. Pozostaje teraz nam jedynie zachować ostrożność i czekać. Zaraz po narodzinach trzeba będzie Dzieciątka umieścić w bezpiecznym miejscu, gdyż jeśli dowiedzą się o Nim, natyclimiasz zabiją Go. I uwierz mi - zbliżył usta do jej ucha, jakby w obawie, że ktoś ich podsłuchuje - w tym domu kryje się diabeł, diabeł tak straszny, że nie śmiem o nim rozmyślać. Dlatego musimy stąd zniknąć wraz z Dzieckiem jak tylko się Ono urodzi!

Jack Christopher wyszedł, zamknawszy cicho za sobą drzwi. Pozostawił Alison samą, przekonaną o tym, że miał rację. Ona również czuła w tym miejscu niewidzialne gołym okiem zło, przyczajone w ciemnościach, obserwujące ją dzień i noc. Coś miało się zdarzyć. Bała się bardziej niż dotąd.

Od tamtej chwili Jack nie pojawił się więcej, co ją bardzo niepokoiło. Co prawda nie lubiła go, ale w świetle nowych wieści jego obecność byłaby znacznie lepsza niż samotność.

Leżąc wpatrywała się w nieziemską światłość księżyca w pełni. Bóle nasilały się i ustępowały na przemian. Chwilami miała nadzieję, wmawiała sobie, że był to jedynie okrutny figiel splatany jej ciału, że bynajmniej nie jest w ciąży.

Z wnętrza domu dochodziły ją odgłosy jakiejś wrzawy. Z początku były to krzyki na dole w jadalni, która musiała jednak prędko opustoszeć. Wszystko wskazywało na to, że pani Clements znów miała

atak. Trwającą przez pewien czas ciszę przerwało kołatanie do frontowych drzwi. Alison usłyszała głosy paru osób, w tym również dziecka. Potem znów ktoś stuknął do drzwi, a po dłuższej chwili rozległy się kroki na górę. Przybyłe osoby zajęły pokoje gościnne, co oznaczało, że dziś w domu byli obcy. Ponownie poczuła się spięta. Wskutek wyłączonego, przestarzałego systemu ogrzewania w pokoju panowało zimno, a sycąca powietrze wilgoć przybierała postać unoszącego się wszędzie i emanującego swoją siłą zła.

Nie dostała nic do jedzenia od podwieczorku, który składał się z chleba, dżemu i wyschniętego ciasta. Nie odczuwała jednak głodu. „Boże, jeśli mam mieć dziecko, to pozwól mi szczęśliwie mieć to już za sobą” - rozmyślała. Wtedy właśnie usłyszała na schodach zbliżające się kroki. Oczekiwała w napięciu; nie było to szybkie i ukradkowe stąpanie Jacka Christop-hera, lecz raczej powłóczysty krok osobnika, który dysząc mamrotał coś do siebie.

Jeszcze raz Alison pożałowała, że nie ma w drzwiach zamka. Wydostałaby się jakoś z łóżka i przekręciła w nim klucz. Lecz poza tym i tak było za późno. Klamka zaskrzypiała i opadła w dół. Przytulona do wezglowia łóżka Alison w przerażeniu wpatrywała się w drzwi.

George Clements zdołał sprowadzić żonę do sypialni na parterze i położyć ją na niezaścielonym posłaniu. Brenda wciąż bezmyślnie patrzyła przed siebie. Gdy wrócił tu po rozmowie z bratem, leżała

w niezmienionej pozycji. Zauważył, że nie poruszyła

nawet głową; wyraz twarzy również pozostał ten sam. Zastanawiał się, czy mógłby z nią teraz porozmawiać o dziecku, które miało przyjść na świat łąda moment, Elspeth, dawno zmarłej, ukochanej istocie, która powróci do nich. George uśmiechnął się smutno, sięgając pamięcią do tej strasznej wiosennej nocy. Napięcie w nim wzrastało, a na czole pojawiły się kropelki potu. „Boże, lepiej było dać Elspeth spokój niż... to” - pomyślał z niepokojem.

Z wyjątkiem Alison Darke-Smith, która kładła się zaraz po dziewiątej, tej nocy domownicy wcale nie mieli zamiaru wcześniej pójść spać. Siedzieli w świetlicy, oglądając jakiś nocny film, obojętni na okropny ziąb panujący w całym hotelu.

George był wzburzony. Chciał, żeby wszyscy rozeszli się już do swoich pokoi; wtedy mógłby zgasić światło i zamknąć pomieszczenie. Oglądanie telewizji późną nocą kosztowało. A i Mama właśnie poszła spać.

Wszedł do świetlicy pozostawiając otwarte drzwi, żeby nie mieli wątpliwości co do jego zamiarów. Okazało się, że film ich zupełnie nie interesował. Barbara Withernshaw była pochłonięta własnym wykładem którego zresztą nikt nie słuchał - na temat schizofrenii. Według jej poglądów powodowały ją zawarte w żywności szkodliwe składniki. Wynikało z tego, że ich usunięcie powoduje zanik choroby. Fred Ainslow spał na krześle obok, z odrzuconą do tyłu głową i

**szeroko otwartymi ustami, przez które głośno
chrapał. Vera Brown, cóż... robiła to, co**

zawsze, kiedy poczuła się znudzona: nogę przewiesiła przez poręcz starego fotela, prawą ręką podciągnęła spódnicę, a na jej mizernej twarzy malował się wyraz rozkoszy. Jack Christopher zatopił się w postrzępionej Biblii i czytał ją chciwie. George zastanawiał się nawet, czy nie ma on przypadkiem między świętymi stronicami jakiegoś plugawego czytadła. Nie potrafił sobie wyobrazić, że pozę świętoszka przyjął facet, który trzykrotnie nie odmówił sobie przyjemności pokazania starym pannom gołego tyłka, wywołując w nich takie zgorzenie, że z wrzaskiem pobiegły prosto na policję? Jest to dziwne zjawisko, kiedy szubrawiec sądzi, że jest wybranym zbawcą ludzkości.

George nie dostrzegł Harrego. Prawdopodobnie czytał u siebie lub porządkował swoją wielką bibliotekę, ustawiając książki w szeregi schludnych stosików.

- No już, łobuzy, do łóżek!

Było już po pierwszej, kiedy ostatnia osoba opuściła pokój. George wyłączył telewizor. Sprawdził, czy nie pali się gdzieś światło, i kilka minut mocował się jeszcze z zamkiem w drzwiach frontowych. Następnie zajrzał do kuchni; „Co za cholerny bałagan!” - pomyślał. Już miał zrezygnować z pójścia na górę, ale przypomniał sobie, że ktoś mógł zostawić na scho- dach zapalone światło.

Westchnął i zaczął wspinać się po nich. Szedł w skarpetkach nie tylko dlatego, żeby nie zbudzić gości, lecz przede wszystkim po to, aby zaskoczyć

tych, którzy nosili się z niecnymi zamiarami.

Zrezygnował z zejścia na dół do Harrego, był na to zbyt zmęczony. Brat zapewne jak zwykle wałęsał się po domu, ale przynajmniej nikomu nie przeszkadzał. Jak dotąd nikt się na niego nie skarżył. Zmęczonym krokiem skierował się na piętro.

Nie musiał przemierzać całego korytarza. Wystarczyło odwrócić się i zejść na dół. Nie uczynił tego jednak. Skradał się w ciemności. Zauważył uchylone drzwi do pokoju Alison Drake-Smith, błądy snop światła księżyca wydostawał się stamtąd przez szparę na korytarz. George Clements zdecydował się dyskretnie zajrzeć i upewnić, czy wszystko u niej jest w porządku. To dziewczę sprawiało czasami kłopoty, ale była przy tym tak sympatyczna. Uśmiechnął się do siebie. Nic dziwnego, że przychodziły mu na myśl takie rzeczy, musiał przecież zadowalać się tylko kimś takim jak Mama.

Ktoś był w pokoju z Alison. Oczom jego ukazał się koszmarny widok, z pogranicza rozumu i obłądzenia, którego obsceniczność górowała nad erotyzmem. Geore'owi zdawało się, że był to mężczyzna, a przynajmniej samiec... jakiś stwór klęczał pomiędzy rozrzuconymi nogami, leżącej na posłaniu dziewczyny i uderzał biodrami z niewiarygodną wręcz siłą i dzikością, tłumiąc wydobywające się z gardła jęki. Łóżko trzeszczało, a przybory i kosmetyki poustawiane na toaletce dygotały pobrzękując. Alison - jeśli przyjąć, że to

**ona, gdyż nie sposób było rozpoznać jej spod tego
monstrum - uległa mu w ciszy. Równie**

dobrze mogła nie żyć. George Clements stał osłupiały. Chłód był przenikliwy, zupełnie, jakby wiał arktyczny wiatr. Rozchodził się okropny fetor. Odrzuciło go, starał się nie wdychać cuchnącego powietrza, smrodu niewyczyszczonej stajni, od którego zatykało w płucach. Nadal trwało to bluźniercze parzenie, kończyło się i znów zaczynało.

George nie pamiętał, w jaki sposób znalazł się w swojej sypialni. Dziękował Bogu, że Mamie udało się zasnąć. Nie byłby w stanie zrelacjonować jej tego, co widział na drugim piętrze. Leżał w ubraniu przy zapalonym świetle, obawiając się, że „to”, co odwiedziło Alison Drake-Smith, może nadejść i tutaj. Lecz tamtej nocy nie nadeszło.

Wczesnym rankiem postanowił zajrzeć do Alison. Drzwi były zamknięte. Bał się wejść, stał tylko na zewnątrz, nasłuchując. W pokoju panowała cisza, odczekał więc chwilę, uchylił drzwi i zajrzał ze strachem do środka.

Pokój skąpany był w bladożółtym świetle porannego słońca. Dziewczyna spała cicho pod naciągniętą koldrą, jej piersi unosiły się i opadały w rytmicznym oddechu. Wyglądała na uspokojoną, a jej twarz nie wyrażała bólu. Bardzo starał się przekonać siebie, że to, co widział ostatniej nocy było snem albo złudzeniem, lecz unoszący się jeszcze odór zgnilizny potwierdzał realność tamtego wydarzenia.

Ktoś posiadał dziewicę i odszedł. George modlił się, żeby nigdy tu już nie wrócił.

A jednak wrócił, trzy noce później i w zupełnie

inny sposób. George śnił, lecz był absolutnie pewny tego zdarzenia. Sen wtapiał się w rzeczywistość. Przede wszystkim czuł zimno - temperatura w pokoju gwałtownie spadła, więc wciąż naciągał na siebie kołdrę. W półśnie świadom był, że Mama znów stała się niespokojna; rzucała się i przewracała, zgarniając całą kołdrę do siebie. Nagle pokój wypełnił się okropnym odorem.

Z wysiłkiem usiadł na łóżku. Przenikający przez wytarte zasłony blask księżyca oświetlił stojącą postać.

- Kto... kto tu jest? - Nagle poczuł strach.

- Chcę z tobą porozmawiać. - Mężczyzna ukrywał twarz w cieniu, był wysoki i chudy, miał na sobie luźne, ciemne okrycie, które czyniło go prawie niewidocznym. - Chcę z tobą porozmawiać o Elspeth.

- Elspeth?

- O twojej córce. Zmarła, nie pamiętasz?

George Clements skinął głową i przelknął ślinę. Nie był jednak w stanie wyrzec słowa, gardło ścisnęło mu się z przerażenia.

Chcesz ją przecież mieć z powrotem, nieprawdaż? Taką jak przedtem.

- Nocny gość uśmiechał się. Co prawda George nie widział jego twarzy, lecz zdradziecki ton nieznanego przerażał go.

- Tak - odchrząknął - ale to nie...

- O tak. Dla mnie wszystko jest możliwe. Właśnie postarałem się o ponowne narodziny dziecka w tym domu. Tego samego, które kiedyś miałeś.

znów gotowego rozpocząć życie od nowa. Rozumiesz? Opiekowałem się nią dla ciebie. Zabrano ci Elspeth, ponieważ była nam potrzebna. Wciąż jest jeszcze potrzebna, ale i n a c z e j.

George spojrzął na żonę, która spała spokojnie po swojej stronie łóżka.

- Dzięki Bogu... - wyszeptał.

- Mnie dziękuj, a nie Bogu! - Słowa brzmiały jak trzaśnięcie bicia. George skulił się. Nie wymówił przecież imienia Boga na głos...

- Dziękuję panu - wymamrotał.

- W porządku, będziesz mieć swoje dziecko z powrotem... Sprawy potoczą się teraz nieco inaczej, ale nie ma powodu do obaw. Przynajmniej dopóty, dopóki będziesz pamiętać, że to ja jestem twoim panem i będziesz mi bezgranicznie posłuszny.

- Zrobię, co każeś. - Nawet w stanie kompletnego przerażenia George zaprzedałby duszę za powrót ich dziecka. To przez śmierć Elspeth Mama stała się prawie obłąkana; może teraz znów będzie taka jak kiedyś i zniknie rozrywający go żal.

- Dobrze. - Przybysz wycofał się w głąb ciemności, sunąc raczej niż stąpając. - Wszystko zatem jasne. Nadchodzi czas mojego powrotu do świata, z którego zostałem wgnany dawniej niż sięga twoja pamięć. Mam co prawda następców, lecz potrzebuję czegoś więcej niż tylko powierzchownych neofitów. Potrzeba mi świątyni, miejsca czci, a czyż istnieje lepsze od tego, które jest zamieszkałe przez odsuniętych ze świata. Rozumiesz, co mam na myśli?

George nie rozumiał, ale było mu wszystko jedno. Skinął potwierdzająco głową.

- W porządku. Słuchaj mnie uważnie. Zamierzam zwrócić ci twe ukochane dziecko, ale wyznaczam za nie cenę. Potrzebuję popleczników do walki ze wszystkimi, którzy czczą tak zwanego Boga. Dopiero wówczas, gdy wykorzeni się z powierzchni ziemi religię, powróci na nią dobrobyt i szczęście. Za to rękę. Do tego jednak konieczna będzie ofiara krwi. Nawet w tym domu znajdą się boscy czciciele. Tacy muszą umrzeć, jak i ci, którzy idą śladem mitycznego Boga. Nawrócisz tych, których zdołasz, a resztę trzeba usunąć. Czy wyrażam się jasno?

- Tak. - Wszystko to było nad wyraz skomplikowane, ale George nie zamierzał dyskutować.

- Wziąłem od ciebie dziewczynkę i zwracam ci dziecko. Słuchaj uważnie: w tym czasie, gdy urodzi się twoje dziecko, pojawi się tu pewna dziewczynka. Musisz sprowadzić ją do mnie. Życie za życie, nie ma innej drogi.

George usilnie starał się to rozwikłać. Drżał z zimna, zmuszony w dodatku wdychać ten smród zgnilizny. Domyślał się, o co chodzi, ale bał się uwierzyć w to, co zobaczył i usłyszał. Siedział na łóżku i wpatrywał się w nicość, pustą przestrzeń, czując chłód wczesnowiosennej nocy. Ktokolwiek to był, odszedł ... jeżeli w ogóle ktoś był. Jeszcze ludził się, że był to jedynie sen, że tylko w jego wyobraźni dokonał się przerażający akt kopulacji, jaki obserwował w poko-

ju Alison. Spodziewał się, że były to igraszki umysłu, którym wkrótce położy kres.

Ale okazało się, że Alison Darke-Smith jest w ciąży i George musiał o tym powiadomić żonę, bez zbędnych szczegółów.

Odwrócił się do niej i pomyślał, że jest to kobieta, której powinno się wydać odpowiedni papier i trzymać pod opieką w odosobnieniu przez resztę życia.

- Mamo - chcą nam oddać Elspeth - szepnął prawie niedosłyszalnie.

Zdawało mu się, że jej powieki drgnęły. Twarz zmiękła i jakby wyrażała głęboki smutek. Jednak Brenda nie poruszyła się.

- Elspeth, Mamo - pochylił się nad nią, krzyczał jak kiedyś w dzieciństwie, kiedy był w grotach, które odpowiadały mu echem tak długo, aż się nim nie znudził. - Elspeth... Elspeth Els... peth E-L-S-P-E-T-H.

Twarz Brendy naprężyła się, a w chwilę potem mgła zesza z jej zapadniętych oczu, które przytomnie zwróciła ku niemu. Świat postrzegany przez jej chory umysł wirował i trzeba było czasu, by stanął w miejscu. Brenda wreszcie poruszyła się, wzięła głęboki wdech, jej usta drgnęły.

- Elspeth odeszła - zabrzmiał głucho jej słaby głos. - Nie żyje, zabrano nam nasze dziecko.

- Ale ona wróci. Dano mi słowo, i ta obietnica spełni się. Alison ma właśnie urodzić nasze dziecko - już teraz, w każdej chwili. A kiedy to się stanie, musimy spłacić dług i oddać mu dziecko, które

przybyło w dzisiejszą śnieżycę.

- To niemożliwe. Chyba że... - Spojrzenie Brendy stało się twarde, uniosła rękę i wskazała na niego oskarżycielsko palcem.

- Nie, Mamo, przysięgam na... przysięgam na to, co teraz jest mi święte, że nie tknąłem Alison. To On zabrał nam Elspeth, a teraz zasiał nasienie, które znów da jej życie. Pozwól sobie wyjaśnić...

Patrzyła na niego zdumiona i nie widać było po niej, że coś rozumie. Nie próbowała nawet z niego drwić, ponieważ tak jak on mogła znieść wszystko za cenę powrotu dziecka. Woląla uwierzyć we wszystko, co mówił niż ostatecznie pogodzić się ze śmiercią Elspeth.

- A jeśli... jeśli to nie będzie dziewczynka? - wyszeptala ochryple. W jej zapadniętych oczach odbijał się strach. - To może być przecież chłopiec!

Georgem jakby zachwiał niewidzialny podmuch. Z wysiłkiem pokonywał słabość, jego usta zamarły i surowo przyglądał się żonie.

- To nie będzie chłopiec, to będzie dziewczynka. On tak powiedział. On nam ją zabrał i On ją zwróci. Skinęła niepewnie głową.

- Zrobimy to, co musimy zrobić. - Brakowało mu odwagi. Zacisnął drżące palce. - Cokolwiek by to nie było, jest warte powrotu Elspeth. Tamta dziewczynka musi zginąć. Zostaw to mnie. Przecież nie zapraszaliśmy ich tu. Chciałem je nawet odprawić, ale uparły się, żeby zostać. Jeśli poszłyby wtedy w tę zamieć, i tak by zginęły.

- Chyba tak. - Wyciągnęła koldrę spod siebie i owinęła się nią.

Przez resztę nocy rozmyślała o swoim przeczuciu, które towarzyszyło jej od wieczora. Uprzytomniła sobie Jego obecność. Uśmiechnęła się lekko na myśl, że On był w niej również. Przecież przez cały wieczór czuła jak wstępują w nią demony, które nakazywały jej uśmiercić tych wszystkich głupców w jadalni. Będzie Mu pomagała tak długo, aż odzyska swoje dziecko.

George wędrował myślami na górę, do pokoju w którym mieszkała pani Mitchell i jej dziecko. Zastanawiał się, jak miał ją poświęcić Panu Ciemności by odzyskać własne dziecko. Czy znajdzie sposób by wskrzesić Elspeth z grobu.

Rozdział siódmy

Suzannah śniła, że znów znalazły się w śniegu. Błąkały się w poszukiwaniu schronienia i w końcu bez sił padły. Leżały splecione w objęciach.

- Mamusiu, mamusiu obudź się. Jest mi zimno i boję się.

- Spróbuj zasnąć kochanie, jestem przy tobie. - przytuliła córkę do siebie i zasnęła.

- Mamusiu, mamusiu, zbudź się!

Na ramiona Suzannah spadły ciosy pięstek. Czowała, że ktoś nią potrząsa. Nie chciała się jednak budzić, wolała pograć się we śnie. Ale dziecko było uparte, więc musiała się w końcu ocknąć.

Przebudziła się i z ulgą stwierdziła, że bezpiecznie znajdowały się w zaniedbanym hotelu. Mniejsza o to, że łóżko było ciasne i wilgotne, a w pokoju panowało lodowate zimno.

- Mamusiu, obudź się, proszę - wciąż wołała Rose ściszym głosem jakby bała się mówić głośniej.

- Wszystko w porządku, kochanie, jesteśmy bezpieczne. Jesteśmy...

- Ktoś jest na zewnątrz, przed drzwiami - histerycznie krzyczało dziecko.

- Na pewno któryś z domowników późno kładzie się spać albo pan Clements... uspokajała ją Suzannah.

Po chwili usłyszała jednak posuwiste kroki i nie-spójny belkot, wydawany niskim głosem. Te stłumione dźwięki, powstałe jakby w oblędzie, prawdopodobnie były zupełnie bez znaczenia. Ale na jej ciele pojawiła się gęsia skórka.

- To właśnie mnie zbudziło - wyszeptala Rose jeszcze ciszej niż dotychczas - a potem słyszałam jak ktoś krzyczał, chyba z bólu.

Suzannah szukała po omacku światła, choć wolała nie zwracać na siebie uwagi. W drzwiach nie ma zamka - odkryła to wcześniej, gdy kładły się spać. Nie wiedziała, co powiedzieć w tej sytuacji wystraszonemu dziecku. Ten hotel wyglądał jak dom dla obłąkanych.

- Zaraz wszystko umilknie i będziemy mogły spać dalej. - Tylko to mogła wymyśleć.

Ktoś zatrzymał się dokładnie naprzeciw ich sypialni. Słyszała ciężki oddech. Uspokoila ją jednak myśl, że może ktoś z gości zablądził.

Po chwili znowu odezwały się powłóczyście kroki. Zrobiło się jakby jeszcze ciemniej, śnieg na szybie iskrzył się w świetle księżyca tworząc misterne wzory. Musiało przestać padać, co oznaczało przede wszystkim to, że jutro rano będą mogły stąd odejść.

Odgłosy za drzwiami słabły. Ktokolwiek lub cokolwiek to było - minęło ich drzwi, nie zaglądając do środka. Odetchnęła z ulgą. Nieoczekiwanie rozległ się kobiecy krzyk, w którym bez wątpienia krył się strach. Echo wrzasku zawisło w powietrzu i roz-płynęło się w przestrzeni, a do ich uszu docierała już tylko miękka cisza.

- Mamusiu, tak się boję.
- To minęło, znów jest spokój - powiedziała do córki.

Pomyślała jednak, że ktoś, kto przed chwilą krzyczał, mógł już leżeć martwy zaledwie kilka metrów dalej. Zastanowiła się, czy nie można by zastawić drzwi krzesłem, ale to wzmogłoby tylko przerażenie dziecka.

Rose przytuliła się mocno do matki. Leżały w napięciu czując bicie swoich serc i drżenie ciał. Zza drzwi nie dochodziły już więcej żadne dźwięki i po pewnym czasie obie zapadły w nierówną drzemkę.

Zanurzony w aksamitnym, gwiazdzistym niebie księżyc świecił pełnym blaskiem.

Harry Clements cicho zamknął za sobą drzwi wchodząc do pokoju Alison.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział. - Słyszałem, że będziesz mieć dziecko. - Mówił nerwowo, gdyż nie przywykł do rozmów na ten temat. Był zmieszany i, co stwierdził ze zdziwieniem, trochę zazdrosny o to, że oddała się innemu mężczyźnie. Podsluchana rozmowa między Georgiem i Brendą wciąż brzmiała mu w uszach: „Elspeth znów narodzi się w naszym domu”.

- Myślę, że mi przechodzi - w głosie Alison wyraźnie było czuć napięcie i zmęczenie.

- Nie bądź niemądra, albo będziesz miała dziecko, albo nie.

Mocno naciągnęła na siebie koldrę. Nie będziesz

mnie oglądał staruchu. Wszyscy przychodzą tu tylko po to. - Jestem dziewicą - oznajmiła dumnie i za- chichotała jak pensjonarka.

- Nie możesz nią być, jeśli oczekujesz dziecka.

- Jestem. Zapytaj o to Jacka Christophera. Wy- noś się już, porozmawiaj sobie z nim, a mnie zostaw w spokoju.

- A co on ma do tego? - Harry Clements zrobił kilka kroków do przodu, stał zgarbiony i niepewny, ale był naprawdę zły.

- On mi tak powiedział. - Jeszcze mocniej nasu- nęła koldrę, a w świetle księżycy widać było jedynie jej oczy i kasztanowe włosy. - Mówi, że to jest Powtórne Przybycie, że Jezus Chrystus jest we mnie.

Harry przyglądał się jej z niedowierzaniem i miał rzadką okazję, by zmącić swój brak poczucia humoru salwą nieposkromionej wesołości. Oczywiście, była szalona, chociaż zawsze brał ją za mniej obłąkaną niż pozostałych. Ktoś ją miał. Jeżeli nie jego brat, to Christopher albo nawet obaj. Później naopowiadali jej różnych głupot. George oznajmił, że przywróci życie jego utraconej córce, podczas gdy Jack usiłował umyć ręce i puścić ten fakt w niepamięć głosząc niepokalane poczęcie. Był pewien, że dlatego nie wzywali lekarza ani położnej, bo chcieli zatuszować sprawę. Ale w końcu prawda i tak wyjdzie na jaw. Zrobiło mu się jej żal.

- Widzę, że masz się dobrze. - Powiem pani Withernshaw, żeby tu przyszła. Odbierała już dzieci w przeszłości, więc skoro nie można sprowadzić ni- kogo innego, ona...

- Nie! - wykrzyknęła. - Nie chcę nikogo. Zostawcie mnie.

- Nie możesz...

Wtedy właśnie Alison Darke-Smith zawyla. Wydając z siebie przenikliwy wrzask dźwignęła ciało w górę, a potem ciężko opadła na łóżko. Leżała potem błada, a jej ciało było bezwładne.

Harry Clements przyglądał się jej uważnie zastanawiając się, czy tak przychodzą na świat dzieci. Chciał nawet to sprawdzić, ale by unieść pościel i zajrzeć pod nią trzeba było niemałej odwagi. Stał więc tam, gdzie dotąd, wyężając wzrok i słuch w oczekiwaniu na płacz nowo narodzonego dziecka. Ale że niczego takiego nie usłyszał, przyszło mu na myśl, że mogło urodzić się martwe.

Przez dłuższy czas rozważał taką możliwość, szepcząc coś do siebie.

Powoli nadchodził ranek. Wyblakłe światło księżyca nurzało się w mrocznej szarości, wdzierając się do pokoju przez zamarznięte okno. W oddali rozciągał się świat lodu, śnieżne pustkowie, po którym swobodnie hulał wiatr.

Rose obudziła się pierwsza i przytuliła się mocniej do mamy. Cieszyła się, że wkrótce nadejdzie świt i nie będzie wówczas tak strasznie.

W jakiś czas potem zbudziła się Suzannah. Otrząsnęła się i wymusiła na twarzy uśmiech.

- Wszystko w porządku, kochanie?

- Tak. Czy możemy już się ubierać?

- Za chwilę. Dopiero świta, inni chyba jeszcze nie

wstali. Lepiej poleżmy trochę. - Zrobiło się ciepiej, przeraźliwe zimno nocy zelżało. Suzannah mocno przygarnęła do siebie Rose i dziękowała losowi, że żyły i nic im się nie stało.

Drzemały jeszcze przez chwilę. Wokół panowała cisza tak potężna, że strach było ją zmaćić.

O ósmej, według zegarka Rose, wyślizgnęły się z łóżka i pospiesznie ubrały się. Odkręciwszy kran w umywalce Suzannah stwierdziła, że jest w nim tylko zimna woda.

- Lepiej zejźmy na dół - zasugerowała. Co prawda nie miała na to ochoty, ale nie uśmiechało jej się pozostawać w tym zimnym i niegościnnym pokoju. - Może pan Clements pozwoli nam posiedzieć do śniadania przy piecu.

W korytarzu usłyszały jak sąsiednie drzwi otwierają się. Wyjrzał z nich Owain Pugh. Miał na sobie welniany pulower i sztruksowe spodnie, i wyglądał na wypoczętego.

- Cześć. - Uśmiechnął się. - Dobrze wam się spało? - Poznał po twarzy dziewczynki, że nie. Była blada i wymizerowana, a jej wystraszone oczy błędziły wokoło, jakby wyczekując straszego potwora, który w każdej chwili mógł wyłonić się z cienia.

- Coś w nocy nas niepokoiło - rzekła Suzannah, skierowując się ku schodom. Chciała jak najszybciej oddalić się od czegoś, co wydawało jąki i świsty, a co mogło jeszcze tutaj być. - Ktoś wałęsał się po piętrze. Słyszałyśmy ten krzyk dziewczyny.

- To są dziwacy - uśmiechnął się, chcąc dodać im

otuchy. - Ale nieszkodliwi. Najwidoczniej była tu kiedyś klinika, lecz zamknięto ją. Gdy zrobiono z tego hotel, wszyscy poprzedni pacjenci, oczywiście wrócili. Tyle zapamiętałem z opowiadań starego Clementsa. Nie ma się czego obawiać. - Owain spojrzął na Rose i zaraz pożałował swoich słów. - To raczej ekscentrycy niż wariaci, jeśli pani wie, co mam na myśli. W każdym razie ja umieram z głodu i proponuję, żebyśmy coś zjedli, a wtedy pomyślimy o tym, jak się stąd wydostać. Przestało padać, więc może wkrótce wyjadą plugi i odśnieżą główne drogi. Jeżeli zdołamy przebrnąć przez podjazd, wszystko będzie dobrze.

Suzannah ponownie poczuła przyływ sympatii do tego mężczyzny. Nie mogła się jednak powstrzymać i powiedziała. - Sądzę, że żona niepokoi się o pana. To okropne, że nie mógł pan wczoraj do niej zadzwonić.

- Żona - zaśmiał się otwierając drzwi do jadalni. - Nie mam żony. Powinienem być szczęśliwy!

Ścisnęło ją w dołku, poczuła przyspieszony puls, szybko jednak nad tym zapanowała.

W jadalni było pusto. Przypominała dworcowy bar, w którym podłogę zamieciono już na następny dzień, a jakieś resztki zamówić można jeszcze w bufecie. W powietrzu unosiła się słaba woń amoniaku.

- Zobaczmy, co dzieje się w kuchni. - Poszły w ślad za Owainem. - Zapach smażonego bekonu wskazuje, że niedługo będzie śniadanie - zażartował.

Minęli drzwi i wszyscy troje zastygli w zasko-

czeniu. Spodziewali się ujrzeć pana Clementsa, ubranego tak samo jak wczoraj i pochylonego nad patelnię. Zamiast niego zobaczyli niechlujnego, odzianego w brudny płaszcz starca o siwych włosach, który gładząc trzydniową szczecinę przywitał ich uśmiechem bezzębnych ust.

- Śniadanie za pięć minut - zaśmiał się rubasznie Fred Ainslow. - Będzie dobre jedzonko. Płatki owsiane są w kredensie, jeśli ktoś sobie życzy. - Zaniósł się kaszlem, drugą ręką strzepywał na podłogę popiół z papierosa. - Raz, dwa i gotowe, a la Fred, palce lizać. Gotować nauczyłem się w wojsku, kiedyś robiłem to dla trzystu chłopów, gdybyście widzieli jak oni lykają!

- On jest pijany - Owain nie krył oburzenia. - Pociągał solidnie przez całą noc, jeśli się nie mylę.

Rose zakrztusiła się. - Nie cierpię dymu papierosów. Palenie powinno być zabronione. - Odwróciła głowę.

- Bo jest. W kuchniach, w miejscach, gdzie przygotowuje się posiłki - oświadczyła Suzannah. - Zamierzam o tym donieść tam, gdzie trzeba. Popatrzcie na kuchnię! Aż dziw bierze, że nie pelzają tu karaluchy.

- A gdzie jest pan Clements?- zapytał ostro Owain.

- W swoim pokoju, zdaje się. - Ainslow obrócił plaster bekonu na patelni, z której buchnął kłęb dymu. - Ze starszą panią nie jest dobrze, zresztą nigdy nie było dobrze. Baba z wozu koniom łżej.

Owain Pugh zbliżył się do niego. - Może pan odłoży tego papierosa i odejdzie od pieca. Zapłaciłmy duże pieniądze za ten hotel, ale jeżeli ja mam podawać śniadanie, to do cholery, zrobię to. Do tej pory dostałem tutaj niewiarygodnie okropne pasztety z zimnymi frytkami, zawilgocone łóżko i nieogrzewany pokój. Co więcej, ja przygotowuję śniadanie, bo nie ma tu odpowiedniej osoby, która by mogła tym się zająć.

- No, zostaw to! - Fred Ainslow próbował wyrwać patelnię Owainowi, który odepchnął go tak mocno, że ten omal nie upadł. - Tak nie wolno. To jest po prostu napaść.

- Napaść, nie napaść, ja robię śniadanie. Suzannah, Rose, co zjecie? Zdaje się, że jest bekon, jajka, trochę kielbasy i puszkowanych pomidorów w lodówce. Zajrzyjcie i...

- Co, u diabła, tu się dzieje? - Drzwi otwarły się i do kuchni wparowała Barbara Withernshaw. Miała na sobie szlafrok w zielono-czarną kratę, spod którego wystawały srebrzyste, długie buty. - Fred, co tu robią ci ludzie?

- Staramy się przygotować sensowny i czysty posiłek - odpowiedziała Suzannah, - Ten człowiek nie dość, że pił, ale i palił strząsając wokół popiół. Proszę spojrzeć na jego ręce! Nie mył ich od co najmniej kilku dni! - Kątem oka dojrzała za plecami Barbary młodego mężczyznę z brodą, spoglądał na nich wylupiastymi oczyma. Sprawiał wrażenie, jakby siłą wyrwano go ze snu. Suzannah poczuła mrowienie

w plecach, wyrzucała sobie, że nie opuściły tego miejsca bez śniadania.

- Nie rozumiecie Freda i w tym cały kłopot - rzekła kobieta łaskawym tonem, jakby adresując swoją mowę do dzieci w wieku szkolnym. - Nie znacie go tak, jak ja go znam. Kochani, gdyby nie ja, to ciągle jeszcze nocowałby w walących się ruderach, może nawet nie byłoby go już wśród nas. Wiem, że pije i pali, ale trzeba być wyrozumiałym. Po cóż jeść bekon i kielbasę? Zajrzyjcie, proszę, do szafki na dole, a znajdziecie tam trochę zdrowej żywności z otrębami, którą kupiła Brenda. Nasze organizmy potrzebują zdrowej żywności, w niej jest istota...

- Dziękujemy, zjemy bekon, kielbasę, jajka i pomidory. - Owain wygrzebał plastry bekonu z patelni i wrzucił je na aluminiowy talerz. - Pani może jeść co chce.

- Czy dziecię już jest? - zapytał Barbarę Fred Ainslow. Zgniół koniec papierosa i rozdeptał go na podłodze.

- Jest już czy nie?

- Jeszcze nie. Posiedzę przy Alison po śniadaniu.

- Nigdy! - Zagrmiał Jack Christopher wchodząc do kuchni. Zbliżył swą udręczoną twarz do Barbary i zażądał: - Niech pani trzyma się z dala od tej dziewczyny, słyszy pani?

- Jeśli tak zrobię - zareplikowała - to na pewno nie na twoje życzenie, Jacku. Czy coś ci się stało?

- Do cholery, niech ją pani zostawi! - Christo-

pher zagroził jej zaciśniętą pięścią, z ust pociekła mu ślina, która spływała po brodzie. - Zabiję cię, jak tylko się do niej zbliżysz!

- Czy tu wszyscy powariowali? - Owain zepchnął patelnię z ognia i rozejrzał się po obecnych w kuchni. Zauważył, jak Rose przylgnęła do poblądłej Suzannah.

- Jasne, że tutaj są same świry - zarechotał ochryple Ainslow. A jakże, koleś, myślał.- skąd myśmy się tu wzięli? To był dom wariatów, wciąż jeszcze jest, tylko zmienił nazwę na hotel w Donnington czy jakoś tam.

- Zamknijcie się wszyscy - wrzasnął Owain. - Chcemy tylko zjeść śniadanie, a niech was diabli wezmą. Jeżeli chcecie się klócić, proszę bardzo, ale nas w to nie mieszajcie.

Jack Christopher obrócił się na pięcie i godnie podążył do hallu. Barbara Withernshaw już miała zrobić to samo, ale w ostatniej chwili zmieniła decyzję.

- Zjem swoje roślinki - rzekła wyniośle. - Fred - też. I Vera, chociaż Bóg wie, kiedy ona raczy zjeść! Ostatnio wstaje coraz później.

- Pewnie miota się w pokoju - zaśmiał się Fred grubiańsko.

- Skończ z tym plugastwem! - policzki Barbary zarumieniły się, a oczy zwiężyły z wściekłości. - Nie mam zamiaru tego znosić. A ty jeśli chcesz zapaść na chorobę wieńcową albo mieć kłopoty z trawieniem, jedz dalej te świństwa. Tylko później nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Owain, Suzannah i Rose przenieśli swoje talerze do jadalni i pozostali tam do końca śniadania, rozmawiając szeptem.

- Wyjedźmy stąd zaraz. - Suzannah wytarła palce papierowym ręcznikiem i podała go córce. Z pewnością o serwetkach tu nie słyszeli.

- Myślę, że powinienem pierwszy wydostać się na szosę. Chciałbym sprawdzić czy jest odśnieżona - odparł Owain. - Szkoda mi was będzie, jeśli okaże się, że nic nie zrobiono. Z władzami lokalnymi nigdy nic nie wiadomo.

- Pójdziemy razem. Nie zamierzamy tu zostać. Nie spędzę ani minuty dłużej w tym domu obłąkańców.

- Zrobicie jak zechcesz. - Poprowadził je do drzwi. - Ale śnieg w alei jest na pewno głęboki.

I rzeczywiście był. W niektórych miejscach były metrowe zasy, musieli omijać je, wdrapując się na śliskie pobocze. Raz Rose zabrnęła po pas i Owain musiał wyciągać ją stamtąd. Była blada jak kreda i wystraszona. Zauważył ponuro, że pobyt w hotelu nikomu nie wyszedł na dobre.

Wkrótce powinni dotrzeć do celu. Wąska alejka już zakręcała, choć wysokie pobocza i zasypane śniegiem żywopłoty jeszcze osłaniały ich przed otwartą przestrzenią. Posuwali się wolno, a kiedy przystanęli, żeby odpocząć, Owain uświadomił sobie kompletny bezruch i martwą ciszę dookoła. Poczul się nieswojo. Droga przed nimi, nawet jeśli nie należała do tras wiodących do centrów przemysłowych była uciesz-

czana. Powinni zatem słyszeć już warkot pracującego w miękkim śniegu pługu, a tym bardziej szum cięższej maszyny, ryjącej w dużych hałdach. Ale było słyhać jedynie podmuchy wiatru, naganające mgliste chmury znad pól. Przed świtem chwycił ostry mróz, a niebo zmieniło się w nieskończoną, złowieszczą szarość. Wiatr zaczął przedziwnie płatkami śniegu i trudno było zorientować się czy pochodziły z krzewów, czy też znowu zaczęło padać.

Owain starał się zachować pewność siebie, ale jego optymizm ewidentnie gasł. Przed nimi rozciągał się tylko śnieg, wysokie zaspy, śnieżne wierzchołki przypominające pustynny krajobraz, urozmaicony jedynie białymi wydmami.

- Gdzie może być ten pług? - Suzannah miała przemożną chęć wybuchnąć płaczem, ale musiała ją opanować z uwagi na Rose. Jeszcze raz niech szlag trafi panią Blower!

Wszyscy troje stali nadsluchując. Gdzieś z daleka usłyszeli dźwięk przypominający pracę pily łańcuchowej. Jej jęk wzmagal się, potem słabł i znowu narastał. Niewykluczone, że był to odgłos jakiegoś motoru.

Czekali, próbując ustalić odległość; była to mila, może dwie.

- Czy to... - Suzannah martwiła się o Rose. Panował przenikliwy chłód, a one były zbyt cienko ubrane.

- Być może. - Chryste, co im powiedzieć? Ta cholerna maszyna równie dobrze mogła zmierzać w przeciwnym kierunku, w stronę Kerry.

~ Jeśli pójdziemy w tamtą stronę, chyba moglibyśmy się z nim spotkać.

- Spójrz na tamte zwały śniegu, są dwu-, a nawet trzykrotnie głębsze od tych w alei. Nigdy ich nie pokonamy. Utkniemy w nich i nikt nie przyjdzie nam z pomocą.

Nastala długa cisza. Znow zaczęło padać. Owaina przerażała perspektywa sześciogodzinnego sterczenia w lodowatym zimnie, gdyż ryzykowali zapalenie płuc.

- Zawsze możemy pójść do hotelu i wrócić tu później - musiał to powiedzieć.

Suzannah nic nie odpowiedziała, zacisnęła jedynie mocniej rękę Rose. W końcu ten nieprzyjazny dom obląkańców był ich jedynym schronieniem, znalazło się tam nawet jedzenie... Naprawdę nie miały wyboru, szukała jednak jeszcze wymówki. Miała nadzieję, że może helikopter... Szybko jednak zrezygnowała z tego idiotycznego pomysłu.

- Mamusiu, co robimy?

Zdawała sobie sprawę, że tamto miejsce nie mogło dobrze służyć młodej dziewczynce. Było w nim coś więcej niż zwyczajny oblęd, tam panowało... zło. Suzannah czuła je wczoraj w nocy, a od rana nic się przecież nie mogło zmienić.

-- Uważam, że powinniśmy wrócić. Na krótko, kochanie.

Wyjdziemy stamtąd za parę godzin. Przez ten czas plug na pewno już odśnieży szosę.

- Nie chcę tam wracać, nienawidzę tego miejsca.

- Ja też, wracamy, ale jeśli tu zostaniemy, to zamarzniemy na śmierć. Chodź, wracamy, ogrzejemy się przy starym piecu.

- Nie... nie zostaniemy tam chyba znów na noc, mamusiu?

Usta Rose drżały.

- Nie, nie sądzę, kochanie. - Suzannah odwróciła głowę, aby córka nie mogła spojrzeć jej w oczy. Miała przeczucie, że wydarzy się coś strasznego.

Owain prowadził. Dla ułatwienia szli teraz śladami własnych stóp, dzięki czemu zdołali obejść kilka głębszych zasp, w które zabrnęli poprzednio. Suzannah przypomniała sobie odpychającą wymianę zdań w kuchni i rozmyślała o tej dziewczynie Alison, która rodziła owej nocy.

Rozdział ósmy

- Poszli! Jak to poszli?

Policzki Georga Clementsa nadęły się do granic wytrzymałości i spąsowiały. Oczy zwięzły się mu pod krzaczastymi brwiami. Stał się podobny do drapieżnego ptaka, któremu nagle wyrwano zdobycz. Wzniósł ręce, jakby gotowy był wymierzyć cios w Freda Ainslow'a.

Starzec zdawał się być nieświadomy zagrożenia. Końcówka tłącącego się papierosa omal nie przypaliła mu ust, a resztką popiołu zwiśla tuż nad jego brudną koszulą. Wrzucił na patelnię kilka kawałków kielbasy, rozpryskując na niej tłuszcz.

- Tak jak mówię szefie, i dobrze że poszli. Fora ze dwora. Cholerne snoby! Moje śniadanie im się nie spodobało. A ja mam tylu chętnych na to, co upichcę. Kiedy jeszcze byłem w wojsku...

- Słuchaj mnie, do diabła! - przerwał mu George. Chwycił go i potrząsnął nim tak mocno, że kielbasa wyleciała z patelni i upadła na podłogę. - Dokąd poszli, mów człowieku!

- Skąd, do cholery mam to wiedzieć - odparł Fred. Nie pytałem ich, nie mój interes. Wyszli drzwiami, bo którądy mieliby wyjść? Przecież nie kominem!

Clements rozluźnił uścisk i zamknął na moment oczy, by odzyskać kontrolę nad sobą.

„A więc mężczyzna i kobieta odeszli - pomyślał. - To nawet dobrze, nie chcę, żeby tu węszyli. Potrzebuję przecież dziewczynki. Nie mogę pozwolić jej odejść, to nie wchodzi w rachubę. Upadłby wtedy pakt z Mistrzem”.

- Kiedy poszli? - Clements zmienił ton. Wiedział, że krzykiem niewiele zdziała. Zresztą Mama i tak dość krzyczała.

- Po śniadaniu - odpowiedział Fred. - Zrobili sobie śniadanie, przenieśli się na koniec jadalni, zjedli, w końcu zabrali płaszcze i poszli.

- Ale o której? - zapytał George.

- Wpół do dziesiątej, dziesiąta. Nie wiem dokładnie. Nigdy nie noszę zegarka. Ci, co żyją według zegarka, mają skłonności samobójcze, można zapytać o to Barb.

George Clements odwrócił się i szybko minął drzwi prowadzące do hallu. Spostrzegł tam, że frontowe wejście pozostaje wciąż otwarte.

„Było im tak śpieszno, że nawet nie zadali sobie trudu, by je zamknąć” - pomyślał.

Nie włożył nawet płaszcza ani długich butów, szkoda mu było czasu.

Ślady prowadziły w dół podjazdu, omijając co większe zasy.

„Trzeba za nimi pójść i za wszelką cenę sprawdzić dziewczynkę” - myślał Clements. Poród Alison zbliżał się, znowu miała bóle. Nie miał więc ani chwili do stracenia.

Nagle uświadomił sobie, że zupełnie nie wie, co

robić. Nawet jeżeli by ich dogonił - a mieli półtorej godziny przewagi - nie miał żadnego pomysłu na powtórne zwabienie ich do hotelu. Zastanawiał się nad wiarygodnym pretekstem; „Może zawołać panią Mitchell do telefonu?” - pomyślał - „Bzdura. Kiedy odkryją, że telefon nie działa, odejdą natychmiast”.

Dopiero następny pomysł wydał mu się sensowny. Postanowił poprosić panią Mitchell o pomoc dla rodzącej Alison. „Mitchell ma przecież dziecko, musi wiedzieć coś o porodach”. Sądził, że gdy wróca, Alison będzie już rodzić. Dla niego gra toczyła się o życie Elspeth.

Georgowi zaparło dech w piersi. Przedzierał się przez śnieg, w pewnym momencie zapadł się cały. Wydostał się tylko cudem.

„Może nie dotarli jeszcze do szosy?” - zastanawiał się.

- Stójcie, wracajcie, potrzebuję was - wyszeptał zdyszany.

I wówczas ujrzał ich. Pugh prowadził, Rose uczepliła się go z tyłu, pochód zamykała Suzannah. Powłóczyli nogami, wyglądali na śmiertelnie zmęczonych. George przysłonił oczy, bał się, że to tylko złudzenie. Prószył śnieg, więc nie mógł być całkiem pewien, że to oni. Lecz to musieli być oni: kobieta, mężczyzna i mała dziewczynka. George przystanął, szukając słów, ale kłamstwa i wymyślone powody były już zbędne. Wystarczyło mu, że wracali.

- Czy to nie pan Clements? - zawołał Owain Pugh.

- Nic wam się nie stało? - Clements, oblepiony śniegiem, przypominał teraz balwana. Jego twarz wyglądała jak czerwona maska, na której odznaczały się ciemne jak węgle, głęboko osadzone oczy. Tam, gdzie powinny być usta widniała wąska szczelina.

- Nic. Jesteśmy tylko przemoknięci i zmęczeni. Mamy już wszystkiego dosyć. Nie znaleźliśmy śladu pługa, a droga jest zasypana jeszcze bardziej niż ubiegłej nocy. Później spróbujemy jeszcze raz - odrzekł Pugh.

- Wątpię, żeby dzisiaj coś się zjawilo - w głosie Clementsa zabrzmiała raczej nadzieja niż smutek.

- Możecie zostać w hotelu tak długo, jak zechcecie. Przepraszam, jeżeli w nocy byłem niegrzeczny, ale żona nie czuła się najlepiej, sami państwo rozumiecie. Już się martwiłem, że zginiecie w śniegu, lecz dzięki Bogu wszystko jest w porządku. Niedługo będzie lunch.

- Podejrzewam, że ugotuje go ten stary, brudny tramp - wykrzywił się Owain. - Nie, dziękujemy.

- Ależ skąd! Sam tego dopilnuję. W lodówce jest ładny kawałek ryby, jeśli państwo lubicie. Są też kotlety baranie i wieprzowe. Nasze menu jest bogate, po prostu wczoraj przybyliście już po obiedzie - odrzekł Clements.

„Na który podano obrzydliwe, gotowe pasztety i zimne, nasiąknięte tłuszczem frytki z mrożonek”

- pomyślał Owain.

- Sądzę, że będziemy musieli zjeść ten lunch, cokolwiek by nam nie zaproponowano.

- Nie wezmę żadnych pieniędzy. Wiem, że nie powinienem ich wczoraj od was brać. Jedzenie było niewłaściwe, pokoje nieodpowiednio przygotowane, nawet nie przewietrzzone. Teraz sam zadbam o wszystko. Lepiej wracajmy. Na co jeszcze czekamy?

Owain poczuł skurcz w brzuchu. Ścierpła mu skóra. Podejrzewał jakąś nieczystą sprawę.

„Przecież Clements nie wyszedłby w taką pogodę tylko dlatego, by nas odszukać i przeprosić za wczorajszą niegościnnosc” - pomyślał.

W dwadzieścia minut później dobrnęli do hotelu. Duży dom zdawał się jeszcze bardziej ponury niż poprzednio. Był podobny do zgłodniałego potwora, który przysiadł i otworzył szeroko paszczę, by ich pożreć. Przystępując próg Suzannah raz jeszcze poczuła, że panuje tutaj zło i zimno. Jakby wilgotne, niewidzialne ręce wyciągały się po nich z ciemności. Mitchell usiłowała wmówić sobie, że to tylko złudzenie i że wkrótce stąd odejdą. Miała jednak okropne przeczucie, że następną noc wszyscy troje spędzą w tym straszliwym domu, którym rządzą tajemnicze moce.

Drzwi zatrzasnęły się i echo odbiło loskot, jakby dając do zrozumienia, że z tego domu nie ma już powrotu. Rose rozplakała się.

Barbara Withernshaw podeszła do drzwi pokoju, w którym leżała Alison Darke-Smith. Przez sekundę wahala się, ale zaraz nacisnęła klamkę. Ogarnął ją nagły strach, a w jej wnętrzu jakiś słaby, cichy głos nakłaniał ją do odejścia. Zignorowała go jednak. Nie

bała się Jacka Christophera mimo jego pogróżek. Ekshibicjoniści rzadko posuwali się aż do gwałtu. Wiedziała to z doświadczenia, z własnego doświadczenia. Osiągali szczyt, wystawiając się na widok zaskoczonych i bezbronnych kobiet. Cały czas się bali, był to rodzaj erotycznego lęku. Barbara nigdy nie spotkała się z przypadkiem ekshibicjonisty gwałciciela, nawet wtedy, gdy przemieniła swój dom w przytułek dla nieprzystosowanych do społeczeństwa włóczęgów.

Próba pomocy tym ludziom doprowadziła ją do ruiny. Padła ofiarą oszustwa. Ograbiono ją i dwukrotnie zgwałcono. Nigdy gwałcicielem nie był jednak ekshibicjonista. Potem przyjechała tutaj na półroczną kurację, a kiedy wyzdrowiała, zaczęła pomagać innym. Wzięła pod swą opiekę Freda, Verę i biednego Waltera Gulla, który uciekł stąd, by zginąć pod kołami ciężarówki. Była tu po to, by pomagać innym. Teraz przede wszystkim musiała przeprowadzić Alison przez poród. Potem czekała ją praca nad Jackiem Christopherem, musiała mu pomóc rozwiązać jego problemy. Pchnęła drzwi i zajrzała do środka. Z ulgą stwierdziła, że w pokoju nie ma Jacka. Nie bała się go, lecz teraz, gdy Alison miała rodzić, sprawiałby tylko kłopoty. Alison leżała na łóżku, pościel była zrzucona na podłogę.

„Że też nie jest jej zimno” - pomyślała.

Spojrzała z niesmakiem na leżącą z rozwartymi nogami dziewczynę. Wiedziała, że tutaj, w domu wariatów, wszyscy i zawsze mogli wejść do pokoju Alison. Nie było więc dla niej nic dziwnego w tym, że

Alison zaszła w ciążę. Vera Brown przynajmniej zabawiała się sama ze sobą, a mężczyźni, który zbliżyłby się do niej wdrapałaby oczy.

Obie dziewczyny były opętane przez zmysły, ale każda inaczej. Żeby to rozumieć, trzeba było choć trochę znać psychologię.

- Czy coś się dzieje, kochanie? - Barbara cicho weszła do pokoju, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Alison zmrużyła oczy. Widocznie potrzebowała trochę czasu, by otrząsnąć się ze snu. Ciągle jeszcze bała się Jacka. Barbara zastanawiała się nawet nad tym, czy na czas porodu nie zamknąć Jacka w pokoju. Na zewnątrz drzwi były zamki, zamontowane w czasach, gdy w Donnington była jeszcze klinika.

„Pewnie jeszcze się nie zaczęło” - pomyślała Barbara.

Bóle to nasilały się, to ustawały, ale nic nie zapowiadało bliskiego rozwiązania.

Wyraz twarzy Alison zmienił się. Patrzyła teraz bezmyślnie swoimi niebieskimi oczyma. Barbara ujrzała w nich strach. Nie był to zwykły strach przed bólem pierwszego porodu.

- Ale nie ma się czego bać - Barbara wzięła Alison za rękę. Dłoń dziewczyny była sztywna i lepka od potu. - Po prostu wyrzucisz je z siebie, kiedy nadejdzie czas i po krzyku.

Dziewczyna była zmęczona i zdenerwowana. Chciała uwolnić swoją dłoń, lecz Barbara trzymała ją mocno. Wiedziała, że czasami zbyt ostentacyjnie oka-

zywane współzucie odnosi skutek odwrotny do zamierzonego i że niekiedy lepiej jest postępować surowo, a nawet brutalnie.

- Zrozum - rzekła Barbara stanowczo - musisz pogodzić się z tym, że będziesz miała dziecko czy ci się to podoba, czy nie.

- Nie chcę!

- Powinnaś była pomyśleć o tym siedem czy osiem miesięcy temu. Teraz już za późno - rzekła na to Barbara.

- Zabiję je!

- Nie, nie zrobisz tego! To byłoby morderstwo i zamknęliby cię za to w miejscu jeszcze gorszym niż to, w którym teraz jesteś. Dopilnuję, żeby nic złego nie stało się dziecku. Jeżeli go nie chcesz, znajdziemy kogoś, kto je zaadoptuje. Myślę jednak, że zmienisz zdanie, gdy maleństwo znajdzie się w twoich objęciach i zaczniesz je karmić. Będziesz je karmić piersią, tak jak należy. Żadnego pokarmu z tych śmiesznych butelek. Piersi służą do karmienia niemowląt, a nie do obmacywania przez facetów. I jeszcze jedno: nie widzę powodu, dla którego ojciec nie miałby ponosić odpowiedzialności za swoje dziecko. Co, zabawiał się i zwał?

- Nie ma ojca.

- Oczywiście, że jest. Nie będę już wysłuchiwać takich głupstw. Zresztą, o ile się nie mylę, ojcem jest ktoś, kto mieszka w tym domu. No już, mów dziewczyno, kto cię przeleciał! - rozkazała Barbara stanowczo.

- Nikt, przysięgam na Biblię - zapierała się Alison.

- Tak łatwo ci ze mną nie pójdzie. Śmiało! Mnie możesz chyba powiedzieć. George Clements? Harry? A może ten fanatyk, Jack Christopher?

Barbara była pewna, że musiał to być któryś z nich. Freda można było z góry wykluczyć. Niedługo po tym, jak Barbara wyciągnęła go z walącej się szopy i przygarnęła do siebie, wszedł w nocy do jej pokoju, wysikał się i nie zapiąwszy rozporka powiedział do niej;

- Chodź Barbs, już czas na małą rundkę miłości.

Było to po prostu żalosne. Za nic nie chciał mu stanąć. Barbara położyła się na łóżku, podciągnęła koszulkę.

- No, Fred, jeżeli tego chcesz, to czekam - powiedziała.

Spróbował raz, Barbara mało nie zwymiotowała od smrodu piwa. W końcu zasnął na niej. Zrzuciła go na podłogę, gdzie spał do rana.

Odtąd nigdy już nie próbował jej napastować. 'Nie, Freda nie mogła umieścić na liście podejrzanych o ojcostwo dziecka Alison.

- Nie byłam z nikim. Jestem dziewicą - twierdziła niezmiennie Alison.

W końcu Barbara zdecydowała obrócić wszystko w żart.

- Zgoda, jesteś dziewicą. A więc jest to niepokalane poczęcie, powrót Jezusa Chrystusa czy co?

- Tak, właśnie to. Jack czuwa i mówi, że z nieba

dają znaki - poważnie odparła Alison.

- Wszystko jasne - Barbara podniosła oczy.

- Nie mam więcej pytań. Ten głupi Jack nabił ci głowę fantazjami, bo tak mu wygodnie. Niewątpliwie to on jest ojcem.

- Nie! On? Nigdy! Nie pozwoliłabym mu. Ależ...

- Usta Alison zadrżały, a w oczach zamigotały łzy.

- Wuj George mówi, że... Tak się boję, ciociu Barbs!

- Co ci powiedział George, kochanie? - zapytała Barbara.

- Że... że urodzę Elspeth, ich dziecko, które umarło im wiele lat temu. Kiedy ją urodzę, natychmiast odbiorą mi ją!

„W końcu George wpadł” - pomyślała Barbara.

- „Mógł jednak wykazać choć odrobinę przyzwoitości i zachować te bzdury dla siebie”.

- Jesteś pewna, że George z tobą nie był? - zapytała stanowczo.

- Nie! - Alison zapiszczała z oburzenia. - Nie pozwoliłabym mu siebie dotknąć. Ani Harremu. Harry ma mnie pilnować i jak tylko zaczną rodzić, ma powiadomić o tym George'a. Tyle tylko, że Harry nocą śpi, więc się nie dowie, o ile wszystko stanie się w nocy, prawda?

Barbara puściła rękę Alison i podeszła do okna. Znowu padał śnieg i zapowiadało się, że będzie tak sypać przez cały dzień. Znaczyło to, że w przypadku powikłań nie ma szansy na sprowadzenie lekarza ani położnej. Potem spojrziała na drzwi i zaczęła żałować, że nie można zamknąć ich od środka na klucz.

Harry Clements dostał swój budzik w dwudziestą pierwszą rocznicę pracy w firmie. Zegar nie był co prawda niezawodny, ale tego ranka jego przenikliwy dzwonek rozległ się punktualnie dziesięć po jedenastej i trwał pełną minutę. Harry poruszył się niespokojnie i wyciągnął rękę, by go wyłączyć. Chwycił budzik i zrzucił go na podłogę.

Harry dygotał z zimna. Naciągnął pod sam nos koldrę i bezmyślnie gapił się w sufit. Zastanawiał się, czy tego dnia jest czwartek. Nie widział już najlepiej, nie mógł więc dojrzeć wskazanej przez kalendarz daty. Przypomnił sobie, że musiał otworzyć i sprawdzić paczkę, która przed dwoma tygodniami nadeszła z Black Hill Books i zapłacić za odebrane książki. Musiał najpierw przejrzeć każdą z nich, sprawdzić czy na żadnej stronie nie ma brudnych plam, gryzmołów, czy zadarć. Jedynie książki w dobrym stanie były dla Harrego do przyjęcia. Te, które nie sprostaly jego wysokim wymaganiom byly odsyłane z powrotem. Harry dołączał wtedy suchą notatkę, skreśloną pająkawatym charakterem pisma i potråcał w fakturach odpowiednią sumę.. Sądził, że przeglądanie książek zajmie mu sporo czasu, przynajmniej pięć lub sześć godzin. Im szybciej więc zacznie, tym lepiej.

Pomimo chłodu ubrał się, jak zwykle wymyślnie, i ruszył prosto do kuchni. Przygotował sobie filiżankę herbaty i parę tostów z margaryną, jak zwykł to robić każdego ranka. Usiadł w kącie przy piecu. Z większego niż zwykle nieładu i brudu wywnioskował, że dzisiaj musiał urzędować tu Fred. Kuchnia wymagała

sprzątania. Filizanki należało poustawiać w równe rzędkie na półkach, a talerze w stosiki na kredensie.

„Poza moim pokojem nie ma tutaj wcale porządku” - pomyślał. „Ale to już nie moje zmartwienie”.

Wrócił do siebie. Drzwi były otwarte, wewnątrz paliło się światło. Harry był pewien, że wychodząc zgasił światło. W jego pokoju znalazł się więc ktoś niepożądany.

Przestraszony zaczął się zastanawiać, kto to mógł być. George odpadał, ponieważ wiedział, gdzie go znaleźć. Na pewno nie zeszła tu Brenda, gdyż wciąż jeszcze nie czuła się dobrze. Mógł tu jednak być Fred Ainslow albo Barbara Withernshaw.

Był to jednak Jack Christopher. Brodaty, młody mężczyzna przechadzał się tam i z powrotem, splótłszy z tyłu ręce. Odwrócił się w tym samym momencie, w którym wszedł Harry i wznosił palec do góry w geście oskarżenia.

- Chcę zamienić z panem słówko! - powiedział głośno.

Harry Clements ciężko przelknął ślinę. Niewątpliwie Jack był zagniewany. Lada chwila mógł wybuchnąć wściekłością albo nawet uderzyć.

- Pan widział się z Alison. Tylko niech pan nie zaprzecza, ponieważ ja o tym wiem - rzekł Jack.

- Czuwałem nad nią i będę to robić dalej. W istocie, poproszono mnie o to. A teraz niech pan uprzejmie opuści mój pokój - odparł Harry.

- Czy to ta stara dziwka Barbara Withernshaw kazała ci jej pilnować?

- Pani Withernshaw i ja nie rozmawiamy ze sobą
- odparł wyniośle Harry. - Ale to nie pański interes, ale powiem panu: mój brat mnie o to prosił, żebym pilnie uważał na pannę Darke-Smith.

- Coś takiego! - Christopher pochylił się ku niemu. - Zanim stąd wyjdę, chciałbym dowiedzieć się jednego, i jeśli nie skłamiesz - może Bóg się nad tobą zlituje...

- Czy ty albo twój brat... kiedykolwiek... odbyliście z nią stosunek? Odpowiedz, człowieku! - zawołał.

- Harry poczuł, jak oddziałują na niego niewidzialna siła jego rozmówcy. Wszystko wskazywało na to, że sprawa Alison ma dla Jacka pierwszorzędne znaczenie.

- Nie. Żyję w celibacie. A co do mojego brata, jestem pewien, że nie, nie zgrzeszyłby cudzołóstwem z dziewczyną. Przysięgłbym na Biblię.

- Dziękuję - Christopher wyprostował się i zamknął oczy. Mimo chłodu po jego twarzy spływały strużki potu. - Wierzę panu. Jej też uwierzyłem, ale muszę mieć absolutną pewność. Na krótko moja wiara zachwiała się, teraz znów ją odzyskałem.

- Wolno podszedł do drzwi.

- Alison wyda na świat dziecko płci męskiej, dnia ósmego je obrzeżam. Ochrzczę i będę chronił. On będzie święty i rozśławi słowo Boże - szeptał do siebie.

Harry Clements poczuł, że robi mu się słabo. Przysiadł na skrzynce nie rozpakowanych jeszcze książek. Znów za drzwiami usłyszał głos:

„Elsbeth znów narodzi się w naszym domu”.

Zadrzał. Było coraz zimniej. Światło zbladło jak przygaszona świeca i rzuciło przedziwne cienie na zastawione pudłami ściany, lecz on nie został sam. Czuł wokół siebie obecność zła.

Przemóżny strach kazał mu podnieść się i powlec na oślepie do drzwi, potrącając pudła. W górze sutereny widział światło dnia, lecz nie wiedział czy w ogóle do niego ono dotrze. Poczul w piersi kłujący ból. Zataczał się, jak ogłuszony uderzeniem obucha. Coś wyłoniło się z ciemności i czuł na sobie lodowaty, śmiertelny dotyk.

Chciał krzyknąć, lecz wydał z siebie tylko stłumiony, ochrypły szepet. Trupie palce trzymały go w uścisku i ciągnęły do tyłu. Usłyszał potworny hałas. Chwycił się poręczy. Miał jednak świadomość, że nie poradzi sobie, przygnieciony, obezwładniony strachem.

Gdy zamknęła się nad nim ciemność i zaczął być wciągany w jej mroźny wir, wiedział, że w tym domu narodzi się straszne dziecko. Bez względu na pleć nie ma ono prawa przyjść na świat.

Rozdział dziewiąty

Złe samopoczucie Rose ogromnie zmartwiło Suzannali. Początkowo twierdziła, że przyczyną jest zimno, wycieńczenie i strach przeżyty ostatniej nocy, którą spędzili w wilgotnej pościeli. Wszystko to musiało w końcu dać taki skutek.

Rose nie miała apetytu. Zaledwie tknęła jedzenie. Przeżuwała małe porcje i prawdopodobnie wstydziła się odstawiać talerz. Na twarzy miała niezdrowe rumieńce, które zwiastowały gorączkę.

„Mój Boże, tylko tego brakowało, żeby Rose zaczęła gorączkować” - pomyślała Suzannali. „Utknęlibyśmy wówczas w tym okropnym miejscu, które oprócz upiornej atmosfery miało jeszcze szalonych mieszkańców. Poza tym nie sposób stąd dotrzeć nawet do lekarza”.

- Czy na pewno czujesz się dobrze, kochanie? - zapytała Suzannali. Owain popatrzył na małą i także jemu, który nie był zaznajomiony z dziecięcymi dolegliwościami, wydało się, że dziewczynka jest chora.

- Będzie dobrze, mamó. - Była to zwykła odpowiedź na ten rodzaj pytań. W lutym, kiedy chorowała na grypę, uparcie twierdziła, że już w sobotę rano powinna pójść na lekcje tańca z panią Blower, po czym zasłaбла w połowie zajęć i Suzannali musiała po nią wyjechać i przywieźć z powrotem do domu.

- Nie, kochanie, nie jest dobrze - powiedziała stanowczo. Nie udało jej się ukryć niepokoju. - Zostaw jedzenie, jeśli nic możesz jeść. - Suzannah spojrzała na Owaina - Czy sądzisz, że pług mógł już tamtędy przejechać? Proszę, powiedz, że tak.

- Pójdę i zorientuję się. - Pugh popatrzył na zegarek. Była prawie druga. Zostało jeszcze dwie i pół godziny dnia. Ledwie zdążyli wrócić. Nie uśmiechała mu się następna taka wycieczka w głębokim śniegu. Gdyby nie dziecko, prawdopodobnie należałoby na spędzenie w hotelu następnej nocy.

- Powinnyśmy pójść z tobą - powiedziała Suzannah.

- Nie mów głupstw - uśmiechnął się. - Stare przysłowie mówi: kto samotnej wędrowce wierniejszy, ten u celu rychlejszy". Zaraz wrócę.

Wstał, odwrócił się i przeszedł przez pokój nie oglądając się za siebie. „Biedny dzieciak” - pomyślał. Postanowił, że jeżeli to tylko możliwe, to musi wyostać je stąd jeszcze przed zmrokiem. Jeżeli się to nie powiedzie, sprawa mogła przybrać fatalny obrót.

Na dworze padał drobny śnieg, który przypominał mżawkę. Można go było wziąć za deszcz, gdyby nie to, że na ubraniu osiadały białe płatki. Było już ciepło, lecz wilgoć przenikała aż do ciała. Owaina przebiegł dreszcz. Ruszył przetartym już wcześniej szlakiem. Ślady wciąż jeszcze były widoczne spod warstwy śniegu.

Wolałby zostać tu do rana i podrażnić nieco Clementsów. Wmawiał sobie, że zostaje tu dla Rose

i niewątpliwie tak było, chociaż nie tylko dla niej. Przywołał w pamięci obraz Suzannah, wysokiej i smukłej. Co prawda Suzannah miała na palcu obrączkę, lecz nie wspominała ani o mężu, ani o ojcu Rose. Nie troszczyła się o to, by przesłać wiadomość o tym, że są bezpieczne. „Jest chyba samotną matką, rozwódką albo wdową. A może to tylko pobożne życzenia” - zastanawiał się Pugh. „Przecież kobieta o jej wyglądzie nie może być sama. Z pewnością ma przyjaciela. W takim układzie nie ma już miejsca dla mnie. No, ale pofantazjować nie zaszkodzi”.

Rozmyślenia o Suzannah pomogły mu zapomnieć o tarapatkach, w które popadli. Nagle do jego uszu dotarł wibrujący zgrzytliwy hałas. Nagle ożyła w nim nadzieja. Zatrzymał się, aby się upewnić.

Był pług, ciężka maszyna pracowała wolno, lecz bezustannie, stopniowo pokonując zwały śniegu. Owain chciał zaraz podbiec, ale powstrzymał się. Pług był spory kawałek drogi od niego, około pół mili w dół szosy, poza tym poruszał się powoli. Pugh doszedł do wniosku, że jeżeli nie będzie się spieszył, dotrze do maszyny w momencie, gdy osiągnie szosę. Serce zabiło mu mocniej.

„Jeśli wydostanę ją stąd i jej córkę przed zapadnięciem zmroku, nigdy jej więcej nie zobaczę” - pomyślał.

W dwadzieścia minut potem doszedł do końca alejki. Śnieg wtapiał się we mgłę ograniczając widoczność. Pugh wiedział już, że mgła zgęstnieje z nadejściem nocy, a zmrok zapadnie szybko, chyba jeszcze

przed czwartą. Słyszał wciąż z oddali hałas pługa..

Gdzieś w oddali zamigotało żółte światelko. Owain ruszył do przodu, nie zwracał uwagi na śnieg, brnął w nim prawie po uda. Miał do przebycia pół mili.

Po chwili mógł już dojrzeć kontury maszyny. Wyglądała jak żółty smok, z kabiną w której nad urządzeniami kontrolnymi siedział jakiś człowiek. Trzymetrowa lopata zgarniała śnieg, gromadząc jego zwaly przed sobą i odrzucając je na bok w tumanie białego pyłu.

- Hej, chwileczkę! - Zawołał Owain, nie zdając sobie sprawy, że operator w ochronnych nausznikach nie może go usłyszeć. Siedząc w kabinie wyglądał jak robot.

Owain stał na poboczu i machał do operatora. Maszyna zwolniła. Silnik zgasł i zapanowała cisza. Kierowca zdjął nauszniki, otworzył drzwi i wychylił się z kabiny.

- Cześć koleś, co jest? - zapytał chłopak o blond włosach, ubrany w pomarańczowe, robocze spodnie i bajowe nakrycie.

- Chciałbym wrócić do cywilizacji - odpowiedział Owain, częstując go papierosem z wymiętej paczki.

- Nie ma problemu - chłopak wypuścił nosem dwie strużki dymu. Trzymał papierosa w zamkniętej dłoni. - Mogę podrzucić cię do miejsca, w którym zaparkowałem swój wóz, ze dwie mile szosą w dół. Stamtąd dojedziesz już do Kerry.

- Jest ze mną kobieta i dziecko. Schronili się w domu, tam w podjeździe na lewo. Dzieciak jest

chory, chyba grypa. Miałem nadzieję, że odśnieży pan drogę do podjazdu. Mój samochód przysypało, gdybyśmy go odkopali, sam już bym sobie poradził.

Operator pokręcił głową,, namyślając się. Owain czuł jak pierzchają jego nadzieje.

- Przykro mi, chłopie - powiedział w końcu - chyba nic się nie da zrobić. Niech pan mi wierzy, pomógłbym, gdybym mógł. Mam mało paliwa, wystarczy jeszcze na jakieś sto metrów, a muszę jeszcze wrócić do samochodu. Dziś już nie da rady. Kończę o czwartej - władze nie płacą za nadgodziny, bo sporo z funduszu na odśnieżanie straciły już w zeszłym roku. Ubiegłej zimy odśnieżaliśmy non stop całą dobę, na zmiany, pracując przy światłach. W tym roku nie robimy tego. Szef by zwariował, gdybym został. Mówi o pożyczeniu kilku dmuchaw z sąsiedniego okręgu, ale nie wcześniej niż w przyszłym ty'godniu. Gdyby pan je widział! Sama wszystko rozdmuchuje, a ty sobie tylko jedziesz. Ten pług to przy niej przedpotopowy staruszek.

- Więc muszę tu być jutro. Domyślam się, że podjazdu też pan dla nas nie odśnieży?

- Obawiam się, że nie. To nie moja robota. Tam śnieg trzeba podnieść i przerzucić przez krzaki. Ten pług jedynie spycha śnieg na boki, nie zmieści się w takiej wąskiej drodze. Rozumie pan?

- Więc wszystko wskazuje na to, że znowu będę musiał przenocować tam, gdzie się zatrzymałem.

- Panie, nie mieszka pan przypadkiem w Donnington? - zapytał chłopak.

- Właśnie tam - odpowiedział Pugh.

- Jezu Święty! Jeżdżę tam, kiedy wywożę śmieci. Wcześniej był tam dom dla świrów, potem go zamknęli, a jeszcze później wszyscy psychole wrócili tam mieszkać. Włosy mi na ich widok stają dęba, więc zaglądam tam tylko w poniedziałki! - zawołał.

- Zobaczymy czy zdołam rano sprowadzić na szosę swoje towarzyszek. Jeżeli uwolni pan mój samochód, nie powinno być większych problemów.

- Będę około jedenastej - zamykał już drzwi kabiny. - Najpóźniej o wpół do dwunastej. No to na razie, chłopie.

Owain stał i patrzył na odjeżdżający plug, który sunął gładko po ośnieżonej powierzchni drogi. Światło migotało jeszcze przez chwilę, potem utonęło we mgle. Znowu poczuł się jak rozbitek na morzu: żagiel na horyzoncie odpływał. Może wróci tu jutro, a może nie. Niechętnie skierował się w stronę hotelu.

- Pani córka nie wygląda najlepiej, pani Mitchell.

George Clements wychodził z kuchni niosąc pustą tacę, by sprzątnąć ze stołu. - Ach, jaka szkoda, że nie możemy sprowadzić doktora Gidmana.

- Chyba znajdzie pan dla Rose jakąś aspirynę? - zapytała Suzannah. - Mam nadzieję, że pan Pugh powróci zaraz z wiadomością, że szosa jest już odśnieżona. Wtedy zdążyłabym jeszcze zawieść Rose do lekarza.

- Nie liczyłbym na to - w jego głęboko osadzonych oczach pojawił się błysk. - Zeszłej zimy prawie przez tydzień byliśmy odcięci od świata. Ale nigdy

nie nie wiadomo... Chwileczkę, sprawdzę czy jest aspiryna.

Wrócił za kilka minut, trzymając w ręku szklankę z wodą. Położył przed Rose białą tabletkę.

- Proszę, kochanie, lecz najbardziej ci teraz potrzeba ciepłego łóżka - powiedział. Pójdę zmienić pościel w waszym pokoju, zostawię na łóżku koc elektryczny.

- Chyba powinniśmy poczekać na pana Puga - rzekła Suzannah - Boże, nie wytrzymam tu jeszcze jednej nocy! Chociaż może niedługo stąd pójdziemy.

- Wybacz pani, że się wtrącam, pani Mitchell, ale sądzę, że córka nie powinna wyruszać w drogę. To nie jest zwykła przechadzka, ale długa wędrówka przez śnieg. Rozsądniej byłoby pozostać, a jeśli droga jest oczyszczona, to z pewnością zdołamy przesłać wiadomość doktorowi Gidmanowi. Wie pani jak łatwo o zapalenie płuc u młodych ludzi. Nasza córka zmarła będąc jeszcze dzieckiem... - Na zapalenie opon mózgowych.

- Suzannah poczuła na plecach dotknięcie zimnych palców, które przesuwały się po karku aż do szyi.

- Przykro mi...

- Moja żona nigdy się po tym nie otrząsnęła.

- Czy dzisiaj jest jej lepiej? - zapytała z troską w głosie.

- Troszeczkę, dziękuję. Pójdę jeszcze raz sprawdzić, jeśli pani pozwoli.

Powrócił do kuchni i przymknął za sobą drzwi.

zostawiając wąską szczelinę. Przymrużonymi oczami patrzył na małą Mitchell, która właśnie połknęła aspirynę.

Ładna dziewczynka. Za kilka lat stałaby się tak piękna jak jej matka. Ale nie doczeka tego, gdyż Mistrz jej potrzebuje" - myślał. „Może rozchoruje się na zapalenie płuc i umrze, zaoszczędzi mi wówczas konieczności zabicia jej".

Clements wiedział, że proszek nasenny Mamy wyłączy ją na dłuższy czas z aktywności. Stanie się to kolejnym powodem, dla którego nie będą mogły dziś wyjechać. Odwrócił wzrok. Postanowił, że zajrzy do Alison. Był prawie pewien, że ich najdroższa Elspeth urodzi się jeszcze przed świtem.

Rose walczyła z sennością. Głowa opadała jej na piersi, a ciało osuwało się z krzesła. Suzannah podtrzymywała ją. Wiedziała, że miejsce nie było odpowiednie dla chorego dziecka, wydawało się jednak lepsze od tamtej okropnej, lodowatej nory.

„Och, Owainie, proszę, wróć i powiedz, że możemy już pójść. Pojedziemy prosto do lekarza" - prosiła w myślach.

Zaskrzypiały frontowe drzwi. Ktoś strząsał śnieg przed hallem. Serce Suzannah zabiło mocniej - to musi być Owain.

Lecz nadzieja jej utonęła w rozpacz w momencie, w którym ujrzała jego zmęczoną i zgnębną twarz.

W tej samej chwili poczuła na sobie bezwładne ciało Rose i usłyszała oddech córki, głęboki i regularny. Zasnęła. Opadła z sił, chora i wyczerpana.

- Pług nie przybył - Suzanna chciała zaoszczędzić mu wysiłku wypowiedzenia złych wieści. Żywiła dla niego żal i podziw. Był zmarznięty i zmęczony, a mimo tego robił, co mógł.

- Nie wszystko poszło źle - starał się, by jego głos zabrzmiał optymistycznie. Rada nie płaci za nadgodziny, dlatego nie zjawią się u nas wcześniej jak jutro o jedenastej rano. Jak Rose? - zapytał.

- Ma gorączkę - Suzannah przesunęła ręką po czole córki, ciepłym i spoconym od gorączki. - To prawdopodobnie jakiś wirus. W szkole panuje grypa. Najbardziej obawiam się zapalenia płuc.

Pan Clements dał jej co prawda aspirynę, ale jej potrzeba czegoś znacznie silniejszego.

- Mógłbym pójść pieszo. - Owain spojrział w okno, za którym właśnie zapadał zmrok. - Sprowadziłbym pogotowie. Jestem pewien, że zdołaloby do nas dotrzeć.

- Nie. Proszę. Nie jest jeszcze tak źle. Nie zostawiaj nas, Owain, nie wytrzymam sama w tym obłąkanym domu. Najważniejsze jest, aby znalazła się w ciepłej pościeli. Łóżko i pokój, w którym spałyśmy ostatniej nocy, były haniebne.

- Pójdę i zarządę ludzkiego traktowania... - zwrócił się w kierunku drzwi, lecz złapała go za ramię.

- Pan Clements obiecał nam koc elektryczny, to zawsze coś. Może...

Przerwał jej przeraźliwy krzyk, który odbił się echem po pustym hallu. Był to histeryczny kobiecy

wrzask, nabrzmiały przerażeniem i oblędem. Powtórzyl się kilkakrotnie. Rozległy się powolne kroki, odgłosy walki, bezładne przekleństwa i kolejny okrzyk strachu.

- Ocli, Boże mój! - Suzannah objęła Rose, instynktownie starając się uchronić dziecko przed okropnością, jaka musiała rozgrywać się za drzwiami. Owain był jak sparaliżowany. W końcu odwrócił się i w tym momencie drzwi gwałtownie otwarły się. Już miały zatrzaskać się z powrotem, gdy ugrzęzły w nierównym linoleum.

W drzwiach stała wychudzona i wynędzniała postać mężczyzny w źle dopasowanym, wymiętym i porozrywanym garniturze. Oczy wyrażały dzikość, policzki miał zapadnięte i śmiertelnie blade, usta przybrały kształt prawie pionowej szczeliny, z której ściekała ślina; wyrzucał z siebie niezrozumiałe słowa. Jego nozdrza poruszały się, jakby na polowaniu węszył za zwierzyną. Wrzcionowate nogi uginały się, z ledwością unosząc wątłe ciało; nie mógł zapanować nad rękami, którymi wymachiwał w bezradnej gestykulacji. Powlókł się do jadalni, nie zdołał jednak zatrzymać się na ich widok.

Milczący świadkowie zdarzenia trwali w zaskoczeniu; po chwili ich oczy przeniosły się z dziwacznej postaci Harrego Clementsa na kobietę, która pelzła w ślad za nim. Jej długie, siwe włosy splywały wzdłuż pomarszczonej twarzy, a z ust wydobywał się potworny krzyk.

Zatrzymała się i odwróciła się tak, żeby mogła

obserwować przejście w drzwiach. Kulila się przy tym jakby w oczekiwaniu na koszmarną nocną zjawę, która miała się lada moment w nich pojawić.

Chwilę później z obwisłych ust Harrego Clementsa wydobyła się wreszcie spójna mowa. Z wysiłkiem szukał słów; wreszcie znalazł je i wyrzucił pospiesznie z siebie, zanim nie było za późno. Wydał ostrzegawczy okrzyk, a jego ręka zakreśliła półokrąg i opadła.

- Strzeżcie się! Szatan jest wśród nas!

Wysiłek wyczerpał go. Na ustach znów pojawiła się śhna, powieki opadły. Zwalił się na ziemię jak kłoda.

Brenda Clements znowu zaczęła krzyczeć.

Rozdział dziesiąty

Dochodzące z dołu wrzaski wyrwały Barbarę Withernshaw ze snu. Wyprostowała się gwałtownie na krześle przy łóżku Alison Darke-Smith.

Przestraszyła się, że krzyki mogą obudzić Alison. Był to jednak krótkotrwały napad szału Brendy i po chwili nic już nie zakłócało spokoju.

Po chwili do pokoju wszedł Jack Christopher. Barbara powstrzymała się od zbesztania go, widząc jego zdenerwowanie. Nie potrafił ukryć niepokoju związanego z oczekiwaniem na narodziny „pierworo-rodnego”.

- Jeszcze nic - powiedział ściszym głosem, raczej do siebie niż do Barbary.

- Jest spokojna - odrzekła jak pielęgniarka informująca o stanie pacjenta. - Potrzeba jej odpoczynku i ciszy.

Zdawał się nie słyszeć jej słów, wychylił się do przodu, jego wylupiające oczy błyszczały w świetle późnego dnia.

- Czymże jest życie, jeśli nie oczekiwaniem na śmierć? - wymówił półgłosem. - Lecz tym razem On nie umrze, a żyć będzie wiecznie.

Barbara westchnęła. Nie zamierzała podejmować ponownie tego tematu. Jack równie dobrze mógł być ojcem i wymyślił ten szalony plan jedynie dla uniknięcia odpowiedzialności ale przy wystawianiu dziec-

ku metryki na pewno nikt się na to nie nabierze!

- Dam znać jak tylko się zacznie.

Nie zamierzała tego zrobić, ale miała nadzieję, że Jack się na to złapie i pójdzie sobie. Ku jej zdumieniu rzeczywiście szykował się do odejścia, ciągle jednak spoglądał na śpiącą dziewczynę.

- To musi być On - zamruczał do siebie - ponieważ takie miałem widzenie - powiedział otwierając drzwi.

Słyszała jeszcze jego szybkie kroki w korytarzu. Zaraz też podniosła się z krzesła i zamknęła drzwi. Taki Jack z pewnością urodził się gdzieś w stajni albo nawet w żłobie, zaśmiała się w duchu. Była jednak zdenerwowana, gdyż bez względu na to czy urodzi się chłopiec, czy dziewczynka, odpowiedzialność za cały poród spoczywała na niej. Nie mogła spodziewać się żadnej pomocy z zewnątrz. Stwierdziła, że niewątpliwie coś działo się na dole. Brenda Clements co prawda przestała już krzyczeć, ale panował tam rumor. Jacyś ludzie przemieszczali się tam i z powrotem, słychać też było stłumione rozmowy, których ton nie wydawał się bezpieczny. Przez moment Barbara chciała zejść, ale szybko zrezygnowała. Gdyby była potrzebna, przyszliby po nią. Jej zadaniem było czuwanie przy Alison.

Tymczasem ponownie rozległy się kroki, tym razem cięższe i bardziej zdecydowane. Ktoś wspinał się po schodach na górę, szedł korytarzem, zmierzał prosto do jej pokoju. Czekala w napięciu.

W otwartych drzwiach pojawił się George. Twarz

miał poraną bruzdami, bardzo bladą, jego siwe włosy były w nieładzie. Ciężko oddychał.

- Harry... niech pani przyjdzie... prędko.

- Co się z nim stało? - Wydało się jej, że mógł to być zwyczajny podstęp, by wywabić ją z pokoju. George przecież też był zamieszany w tę szaleńczą sprawę twierdząc, że dziecko ma być nowym wciele- niem Elspeth. Pomyślała, że aż tak dobrze nie umiał udawać i coś rzeczywiście musiało przydarzyć się Harremu.

- Mama aż zemdląła - wykrzyknął oszalały.

- Coś takiego! - działo się wszystko oprócz tego, co już powinno się zdarzyć. Barbara rzuciła spoj- rzenie na Alison; dziewczyna głęboko spała.

- W porządku, idę, ale naprawdę nie wiem, jak mogę im pomóc.

Przenieśli z trudem Harrego Clementsa do jego wypełnionego książkami pokoju i ułożyli na łóżku. Leżał nieprzytomny, w rozpiętej koszuli; oczy miał zamknięte, wykrzywiona grymasem twarz przybrała kolor spłowiałego płótna.

- Proszę się odsunąć - Barbara Withernshaw torowała sobie drogę pomiędzy Owainem Pughem i Fredem Ainslowem. Czują przez chwilę wagę swojej obecności. Na pudelku, które służyło Harremu za nocny stolik, znalazła małe kosmetyczne lustro. Przyłożyła je do ust nieprzytomnego mężczyzny. Po- czątkowo było idealnie czyste, dopiero chwilę później lekko zaparowało. - Żyje jeszcze, ale boję się, że niedługo to potrwa.

Georgowi zaparło dech w piersiach, mimo iż wiedział, że niewielu ludzi wychodziło cało z tak ciężkich ataków, a ci, którym udało się przeżyć, stawali się kalekami.

Do pokoju wdzierał się ciężki odór przypominający zapach śmierci. Nagle ogarnął wszystkich przerażający chłód. Barbara zadygotała.

- George, czy nie można zacząć grzać, do jasnej cholery? Przecież Harry zamarźnie na śmierć zanim umrze od tego ataku!

- Powinno już być ciepło. Włączyłem kaloryfery godzinę temu.

Barbara wyciągnęła rękę i dotknęła grzejnika na *wpół* ukrytego za skrzyniami książek. Był dość ciepły .. ale z niewiadomych przyczyn ciepło nie rozchodziło się w pomieszczeniu. Jak gdyby pochłonięte przez potężne zimno.

- Trzeba go przykryć. - Wyciągnęła spod Harrygo pierzynę, owinęła go i zawiesiła jego stary, nieprzemakalny płaszcz na wieszaku nad łóżkiem. To było wszystko, co mogła dla niego w tej chwili zrobić. Miała ogromną chęć opuścić ten pokój, uciec, pobiec po schodach na górę. Nie dlatego, że Harry umierał - zdążyła się już przyzwyczaić do śmierci - ale coś nieokreślonego panowało w tym pokoju. Ukryte w cieniu, niewidzialne zło, wyciągało swoją zimną, wilgotną dłoń. Do tego czuć było ohydny odór „legowiska bestii”.

- Ktoś będzie musiał z nim zostać. - Skierowała się pospiesznie do drzwi w obawie, że mogą zagrozić

jej drogę i zamknąć ją na klucz razem ze śmiercią, która tu niebawem nadejdzie.

- Barbaro, pani najlepiej u nas zna się na wszystkim... - powiedział Georga, który jakby zamierzał podążyć za nią.

- Jestem potrzebna na górze. - Była już w drzwiach; otworzyła je i przecisnęła się przez wąską przestrzeń zastawioną pudłem, które wcześniej runęło na ziemię za sprawą owej istoty, usiłującej zatrzymać ją tutaj. - George, przecież to jest pański brat.

- Mama...

- Mamie się nic nie stanie, wystarczająco długo już pan z nią przebywał. - Znalazła się już przed schodami i zaczynała się po nich wspinać. Miała inne zajęcie, bardziej była potrzebna życiu niż śmierci.

- Muszę zająć się obiadem. - Fred Ainslow odsunął od siebie wyciągniętą w błagalnym geście rękę Georga. - Muszę coś zjeść, wszystko jedno co.

- Nie mogę zostawić małej Rose samej. - Owain szczerze się o nią troszczył, z drugiej jednak strony czuł się trochę zawstydzony, bo mogło to być potraktowane jak wymówka. - Obawiam się, że to pan będzie musiał z nim zostać, panie Clements. Jeżeli, oczywiście, nie przekona pan Jacka Christophera, żeby zrobił to za pana.

Pozostawili gospodarza samego i udając, że nie słyszą więcej jego pomrukiwań poszli na górę.

Harry Clements umarł nim nastąpiła noc i nikt nie mógł temu zapobiec.

- Zdaje się, że śpi spokojnie - powiedziała
Suzan-

nah. W czasie choroby noc jest zawsze najcięższa. -
A tutaj strasznie jest nawet wówczas, gdy tryska się
zdrowiem.

- Chciałbym się wykapać - odezwał się Owain,
tuląc do piersi rozpaloną główkę Rose. - Ty też
powinnaś odpocząć, odprężyć się. Radzę zrobić to
samo. Wracam niedługo.

Łazienka znajdowała się na pierwszym piętrze.
Była mała i brudna, w rogach wisiały pajęczyny, a
brązowa farba na ścianach miejscami poodpadała,
obnażając goły tynk. Kran oblepiony był zieloną
pleśnią, a dno wanny miało duże pęknięcie. Owain
ciekaw był, jak dawno temu ktoś z niej korzystał. Na
poręczy wisiał nieświeży ręcznik, z boku wanny
leżały resztki stwardniałego mydła.

Odkręcił kran. Woda zabulgotała i wyrzuciła
trochę brudu wraz z martwym pająkiem, który
zniknął w otworze ściekowym. Wciąż była zimna,
już tracił nadzieję, gdy nagle zaczęła się nieznacznie
ocieplać. Owain zaczął się rozbierać, parująca woda
nagrzewała powietrze w pomieszczeniu.

Podobna do chlewu łazienka wydała mu się teraz
szczytem luksusu. Leżąc w wannie, zamknął oczy i
dopiero wtedy poczuł jak bardzo jest zmęczony.
Ogarnęła go ciężka senność. Czuł się tak, jakby
spędził tu tydzień. „Jeszcze jedna noc i jutro pług
uwolni nas. Gdyby nie Rose, nie byłoby tak
strasznie. Znaleźliśmy się w pułapce: Harry
Clements umierał i nie było szansy na sprowadzenie
doktora, z kolei dziewczyna miała urodzić i mogły
przecież wystąpić

powikłania. Można naprawdę oszaleć" - myślał z niepokojem.

Przy tym wszystkim coś cuchnęło. Owain czuł nawet tutaj ten smród, który unosił się w pokoju Harrego Clementsa. Rozchodzący się zapach był obrzydliwy, przypominający trochę zapach gnijącego ciała. Usiłował sobie wmówić, że to tylko kosz na śmieci, stojący gdzieś w rogu.

Żarówka zamigotała. Owain drgnął - zdawało mu się, że poczuł łagodny, elektryczny wstrząs. Światło znacznie przygasło, i nagle popłynęła zimna woda. Przysiadł, wychylił się i sięgnął do kurka. Pokręcił nim. Trysnęła woda, lecz lodowata, prawie że marznąca. Wygramolił się z wanny i zaczął się wycierać.

Dokładnie w tej chwili usłyszał płacz dziecka. Na pewno nie mylił się, był to uparty wrzask dziecka domagającego się pokarmu. Alison musiała wydać na świat niemowlę, które bez względu na płeć z pewnością miało płuca jak miechy. Znajdowało się daleko stąd, całe piętro wyżej, a słyszał je doskonale.

Ubrał się i wyszedł na schody. Wokół panowała groźna cisza i bezruch. Nawet dziecko umilkło. Ogarnął go strach, odniósł wrażenie, że wszyscy odeszli i został zupełnie sam w tym olbrzymim domu. Usilnie szukał wyjścia, lecz nie mógł go znaleźć. W żaden sposób nie można było stąd się uwolnić.

Wszystko zdawało się być zbyt idiotyczne, by mógł ująć to w słowa. Suzannah znajdowała się z

**Rose w swoim pokoju, George czekał w suterenie na
odejście brata. Alison Darke-Smith zapewne tuliła**

swoje nowonarodzone dziecko. Lecz w ścianach tego domu królowała śmierć.

Owain przyspieszył kroku, złapał się na tym, że mimo woli rozgląda się na boki. Ktoś go obserwował, a on powoli tracił odwagę. Nikogo nie widział, a jednak ktoś był, ktoś niewidoczny.

Wszedł do pokoju. Z twarzy Suzannah emanował spokój. Poczul się trochę głupio, że dał ponieść się emocjom.

- Woda była gorąca - powiedział trochę zdenerwowany. Przynajmniej na początku. Później nieoczekiwanie stała się zimna. Poza tym coś zaczęło się dziać ze światłem - omal całkiem nie zgasło. Podejrzewam, że to przez parę. Jestem pewien, że nikt tutaj się nie kąpie. A potem rozległ się płacz dziecka...

- Czyżby?

- Tak. - Znów poczul się nieswojo. - Musiałaś też je słyszeć skoro ja je słyszałem w łazience.

- Nie, niczego nie słyszałam. Właściwie było tak cicho, że zaczęłam się denerwować.

- Wiesz, dźwięki potrafią rozchodzić się w przeróżny sposób. - Rozpaczliwie szukał logicznego wytłumaczenia. - Te grube ściany tworzą niezwykłą akustykę - nie słyszy się dźwięków w pobliżu, natomiast słyhać je świetnie z oddali.

- Jak tam Rose?

- Wciąż śpi. To najlepsze dla niej w takiej sytuacji. Najlepiej byłoby gdyby spała do rana.

- Trzeba pomyśleć o jedzeniu - powiedział zmieniając zrećźnie temat. Ainslow miał zająć się obja-

dem. Myślę, że mógłbym zjeść teraz nawet to, co on ugotował.

- Nie mogę zostawić Rose. Nie jestem w stanie zejść do jadalni.

Suzannah trzęsa się przez godzinę po tym, jak Harry Clements przywłókł tam ze sobą to widmo upiornej śmierci. Bała się, że ta straszna kobieta pelzająca w ślad za nim długo jeszcze będzie pojawiać się w jej snach.

- Muszę zostać przy niej.

- Najlepiej będzie - powiedział - jak zjemy tutaj oboje. Zejdę na dół i przyniosę na tacy to, co dzisiaj mają na obiad.

- To będzie mile - uśmiechnęła się.

- Ser i placek ziemniaczany - oznajmił Fred Ainslow, jak tylko Owain wszedł do kuchni. - Z paczki, tylko nie mów pan nikomu. Dyskretnie upuścił papierosa na podłogę i zgasił go butem.

~ Następnie szarlotka, w foliowym opakowaniu co prawda, ale podgrzałem ją. Po tym wszystkim, co zaszło, obiad nie może być obfity. Psiakrew, baw się pan dobrze, nigdy nie wiadomo, kiedy nadejdzie twój czas.

- Już zmarł?

- Gdyby umarł, szef przyszedłby o tym nam powiedzieć.

Owain znalazł tacę i zaczął ją napelniać. - Słyszałem, że dziecko się wreszcie urodziło.

- Że jak?

- Dziecko Alison. Urodziło się.

- Nie urodziło. - Wydał buntowniczo nieogolony policzek. Nie rób pan hałasu. Nie urodziło się jeszcze, wiem, bo Barb była tu zanieść jej obiad, a ona już wie.

- Ach tak! - Przez chwilę wydało mu się, że pokój niebezpiecznie zawirował, a stosy niepozmywanych naczyń już miały zwalić się na ziemię. Po tym, jak wszystko wróciło na miejsce, Owain spostrzegł, że przytrzymuje się brzegu dużego i niezbyt czystego stołu. - Słyszałem płacz dziecka podczas kąpieli.

- To woskowina w uszach, chłopie. - Ainslow zaśmiał się rubasznie z własnego powiedzenia. - Czasami i mnie się to zdarza. Dźwięki w głowie, brzęczyk w uchu, jak to nazywa doktor Gidman.

- Musiałem się pomylić. - Owain podniósł tacę z nadzieją, że nie upuści jej na schodach. Jeszcze raz odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje; czuł na sobie niechętnie mu, świdrujące spojrzenie. Na pewno słyszał płacz dziecka. To nie był żaden głos wewnątrz ani twór wyobraźni, bez względu na to, co mówił Fred Ainslow.

George Clements rozważał możliwość opuszczenia brata i udania się na górę. Chciał znaleźć się daleko od tej krypty, zabudowanej tekturowymi pudłami. Harry jakby sam sobie zbudował grobowiec.

- Jeżeli Harry chciał mieć taką kryptę, to niech teraz, do cholery, sam w niej leży - szepnął do siebie.

Ale George wciąż tam tkwił, ponieważ pójdzie na górę oznaczało, że musiałby siedzieć przy Mamie,

która teraz była na pewno w szoku. Co do tego nie było wątpliwości.

„że też Harry nie mógł dostać zwykłego ataku, jak każdy normalny człowiek, a musiał urządzić z tego dramat; wpełznąć do jadalni, zwalić się i wystraszyć wszystkich obecnych" - przeklinał w duchu.

George ponownie skorzystał z lusterka, by sprawdzić oddech brata; zaparowało wreszcie, ale trwało to aż minutę. Oddech stawał się coraz słabszy.

- Czy nie mówiłem ci, żebyś uważał na naszą Elspeth, kiedy się będzie rodzić - powiedział na głos.
- Mama nie jest w stanie, a ja nie wierzę nikomu. Więc sam muszę to zrobić, ty natomiast zatrzymujesz mnie tutaj. Harry, i tak będę cię musiał wkrótce zostawić, czy nie możesz się pośpieszyć i umrzeć.

Nagle Harry poruszył ustami. Próbował coś powiedzieć. Bulgocąca ślina zwilżyła mu suche wargi; prychnął śluzem z szerokich nozdrzy.

- Nie! - George chciał odskoczyć, odwrócić się i uciec, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Patrzył, jak Harry otwiera oczy - w ciemnych oczodolach błysnęły źrenice. Z wściekłością, uparcie wpatrywał się w George'a Clementsa.

- Proszę, Harry, nie wiń mnie za to. Ja ci nic nie zrobiłem!

Ciałem Harrego wstrząsały dreszcze, kościste palce rozwarły się i z powrotem zgięły niczym szpony.

Z ogromnym wysiłkiem podniósł rękę i wyciągnął ją.

George upuścił lusterko, które spadło na podłogę i rozsypało się z brzękiem. Cofał się, dopóki nie natrafił na ścianę skrzyń. Nie mógł już dalej iść.

- Nie dosięgniesz mnie, Harry, nie masz tyle siły.
Na miłość boską, umrzyj!

Wyciągnięta ręka zatrzęsała się, ten ostatni gest życia okazał się ponad jego siły. George odwrócił głowę, jeszcze raz z gardła wydobył okrzyk przerażenia. Ręka Harrego rzucała upiorny cień na ścianę, niemal dosięgając Georga. Ale śmierć była blisko.

- Nie, Harry! - krzyknął George. Ręka Harrego opadła na pościel, oczy zamknęły się, usta zsiniały.

Patrzył na bezwładne ciało brata i drżał z przerażenia. Oddychał ciężko. Zbierał siły potrzebne mu do ucieczki z tej celi śmierci. Nadal klęczał, słysząc za sobą dziwne odgłosy. Bał się odwrócić głowę. Żarówka świeciła blado. Nagle ujrzał coś strasznego, niewiarygodnego.

Cień nie umarł wraz z Harrym. Żyłasta ręka pełzła wzdłuż skrzyń jak gigantyczny pajak, narzędzie, proteza nadgarstka. Przemknęła pomiędzy książkami. Zmierzała dalej w dół, aż do podłogi, i rozplynęła się w świetle przy drzwiach.

Wówczas George stracił ją z oczu. Zachował jednak w pamięci koszmarny, potężny cień sunący w górę po schodach. Nie miał śmiałości, by podążyć za nim, bał się nawet myśleć, dokąd zmierzał.

Rozdział jedenasty

Vera Brown nadasana przesiedziała w swoim pokoju cały dzień. Zdarzało się to często, szczególnie wówczas, kiedy jej czegoś odmawiano.

Nie lubiła też wstawać. Mogła sobie zresztą wygodnie leżeć w łóżku, gdyż od czasu głośnej awantury ciotka Barb nie czekała już na nią ze śniadaniem. Vera rozkoszowała się tą wygraną i w dalszym ciągu nie zamierzała iść na jakikolwiek kompromis. Barbara Withernshaw nie pozwalała jej jeść tego, co lubiła. Musiała zjadać potrawy z otrębów i świeże owoce, a jedynym sposobem, by tego uniknąć, było trzymanie się z dala od jadalni.

- Przeleżysz w łóżku cały dzień - powiedziała ze złością Barbara Withernshaw. - Nalegam, żebyś zeszła na lunch.

- Niech będzie - Vera zawsze wbijała wzrok w podłogę podczas wymiany zdań. To było łatwiejsze niż patrzenie przeciwnikowi w oczy. - Postaram się być na lunchu.

- Lepiej bądź, gdyż w innym przypadku zaciągnę cię siłą na dół. I jeszcze jedno, musisz zaprzestać... robienia tego w towarzystwie. Zobaczysz, że pewnego dnia ktoś sprowadzi policję i zamkną cię w miejscu dużo gorszym niż to, gdzie będziesz zmuszona wstawać na śniadanie. Słyszysz?

- Lubię to robić.
- O tak, jestem o tym święcie przekonana. Tylko że... zresztą, porozmawiamy o tym innym razem. Dobrze, zatem możesz opuścić śniadanie, ale ostrzegam - jeżeli nie zjawisz się na lunchu, naprawdę bardzo się na ciebie pogniewam.

I tak skończyło się na przyzwoleniu. Ale dzisiaj, u diabła, nie pójdzie także na lunch ani obiad. Postanowiła głodować. Ciocia Barb nie zmusi jej przecież do jedzenia, a jeśli zaciągnie ją siłą do jadalni. Vera odmówi zjedzenia czegokolwiek. Nie miała wątpliwości, że wprowadzi wówczas w niemale zakłopotanie jej samozwańczego stróża. Vera nie ustąpi, choćby wyszła sama pani Clements i złorzecząc jeszcze raz rzuciła w nich amoniakiem.

Leżała w łóżku przyglądając się pustej, pokrytej emulsją ścianie. Po chwili usiadła i spojrzała w okno. Na dworze unosiła się gęsta, szara mgła. Nawet gdyby wstała, nie czekał jej ani spacer, ani też gra w piłkę na zaśnieżonej trawie.

Vera z powrotem ułożyła się w łóżku i przymknęła oczy, Ale wyspała się już i mogła jedynie trochę podrzemać. Życie wydawało się jej takie nudne, nudno również było tam na dole. Ciocia Barb zazwyczaj dawała jej do ręki książkę, gdy przychodziła do świetlicy. Nie miało to i tak żadnego sensu, ponieważ Vera nie umiała czytać. Mogła jedynie oglądać zdjęcia w „Coral Island”, a przejrzawszy je już tyle razy nudziło ją to tak samo jak przyglądanie się ścianom w jej pokoju.

Przywiązała się jednak do tej starej kobiety, która stała się jej jedynym prawdziwym przyjacielem. Była raczej matką aniżeli przybraną ciotką. Vera pragnęła jej czuć, sama niezliczoną ilość razy powtarzała jak bardzo ją kocha. Największym koszmarem dla niej byłaby śmierć ciotki. Wyobrażała sobie, że jeżeli tak kiedyś się stanie, to połknie całą fiolkę kodeiny. W ten sposób, jeśli prawdziwe były twierdzenia Jacka Christophera, dołączy do cioci Barb w innym, dużo lepszym świecie. I znów będą razem szczęśliwe, nawet jeżeli ciocia rozgniewa się na nią. Tyle że nie zawsze można było wierzyć Jackowi. Niejeden raz dowiodła mu już, że kłamie.

Jednakże ciocia Barb opuściła ją, i to tylko dlatego, że Alison miała mieć dziecko. Barbara spędzała teraz cały czas u boku tej spalonej krowy.

Vera zastanawiała się, co będzie, gdy dziecko przyjdzie na świat i Barbara pokocha je jak własne. Wówczas na pewno nie znajdzie więcej czasu dla dziewczyny, którą kiedyś przygarnęła i hołubiła.

Na samą myśl o tym Vera trzęsła się z wściekłości. Myślała o Alison jak o dziwce, do której nocami schodzili się mężczyźni. Leżała i słuchała ich głosów, po drugiej stronie ściany. Nie była w stanie dosłyszeć, o czym mówili, ale rozpoznawała ich wszystkich: Georga i Harrego Clementsów, Jacka Christophera. „Plugawy Jack” ~ zachichotała z przezwiska, które jej przyszło na myśl. Zawsze pokazywał swojego kutasa kobietom. Raz nawet próbował pokazać go Verze. Otworzył drzwi do pokoju i nie wchodząc do

środku, zapytał: „Co o tym myślisz?”. Wtedy wrzasnęła, żeby się wyniósł. Zdziwiło ją, że Jack na coś liczył. Niczego by od niej nie dostał, to nie wchodziło w rachubę.

Oderwała się od wspomnień, bo coś działo się na dole. Jej ciekawość wciąż narastała. Jednak nie zamierzała ruszać się z pokoju tak długo, jak długo ciocia Barb pozostawała przy Alison.

Późnym popołudniem tego dnia Vera ruszyła się wreszcie. Odrzuciła pościel, wstała, przyniosła stare lustro z umywalki i postawiła je na toaletce tak, jak to robiła już niezliczoną ilość razy. Oparta plecami o poduszkę przyglądała się swojemu ciału, podciągając koszulę powyżej ud.

Cała oddała się przyjemności zapominając o cioci Barb i o Alison. Przez, krótką chwilę pomyślała

o Jacku. Chciała, żeby nagle otworzył drzwi i stanął w nich z rozpiętym rozporkiem. Wiedziała, że nie tknąłby jej, przecież nie pozwoliłaby mu na to. Rozmyślając o tym, czuła jak rozkosz zniewala jej ciało. Zaczęła się delikatnie pieścić. Doznawała niewiarygodnego uczucia wprawiającego ją w zachwy

i zaurczenie. Z ust Very wydobyły się pierwsze jęki. Przedłużając rozkosz do ostatniej chwili krzyczała pławiąc się w cielesnej przyjemności.

Zmierzch obrócił się w ciemność nocy. Pojawił się księżyc i nieśmiało wpełzł do pokoju. Dzięki niemu odbicie w lustrze wydało się zamazane, a w

**miarę narastania rozkoszy wzrok Very słabł jeszcze
i widziała już tylko własne kontury.**

Straciła poczucie czasu, zresztą i tak czas nie miał dla niej znaczenia. W tym stanie nie czuła chłodu, ciało miała rozpalone, oczy zmęczone śledzeniem zmysłowego odbicia. W świetle księżyca ciało w lustrzanej tafli zdawało się być partnerem rozkoszy, zbyt nieśmiałym jednak, żeby się do niej zbliżyć.

Coś nagle poruszyło się. W chwili podniecenia wydało się jej, że ktoś poza nią jest w pokoju. Zobaczyła w zwierciadle wyciągniętą rękę z giętkimi palcami. Wciąż pozostawała widoczna w lustrze. Wystarczyło krótkie spojrzenie, by stwierdzić, że mocna i czarna ręka leżała na pościeli, tuż obok jej ud. Spojrzała znowu, najpierw w lustro, a potem na łóżko. Widziała rękę pozbawioną ramienia. Była pewna, że to tylko złudzenie w blasku księżyca. Na pościeli widniały jednak trzy cienie. Trzecia ręka trwała teraz w bezruchu, jak szpon gotowy do niespodziewanego ataku.

Z ust wyrwało się jej westchnienie. Po raz pierwszy zorientowała się jak bardzo było zimno. Dostała gęziej skórki, a chłodny pot spływał po niej strużkami. Zaciekawiona "spróbowwała dotknąć tajemniczego cienia, ale ten umknął jej. Myślała, że jest to cień jej ręki i dlatego był tak nieuchwytny. Postanowiła przyjrzeć mu się dokładnie i stwierdziła, że wygląda dość dziwnie. Miał inny kształt, palce były kościste, kostki wypukłe, i był dużo starszy od jej młodzieńczego cienia, igrającego obok.

Zatęskniła jednak do własnych palców,
miękkiego, zmysłowego dotyku, który mógł ją
znow przy-

prawić o dreszcze i ciężki oddech rozkoszy. Była już znużona tą grą, to księżyc musiał się z niej naigrywać.

Idź sobie, zostaw mnie samą!

Odpędziła cień dłonią w lekceważącym geście zniecierpliwienia, po czym wróciła palcami tam, gdzie była ciepła wilgoć. Uda ponownie rozwarły się szeroko. Tymczasem nieznajoma dłoń zbliżyła się.

- Ale jesteś zuchwały - zachichotała szczenięco Vera. - No dobrze, jeśli naprawdę chcesz, możesz mnie dotknąć.

Wstrzymała oddech, to było dla niej coś nowego. Spodziewała się, że cienisty dotyk lekko wstrząśnie jej ciałem. Wyobraziła sobie jak ten cień kusi ją. Przekonywała siebie, że ów kształt jest odrębną istotą, nie związaną z jej własnym odbiciem. Ktoś obcy był w jej łóżku i zamierzała pozwolić mu na wszystko. Odchyliła głowę i zamknęła oczy, niepewność paliła ją od wewnątrz.

Nagle dziwny odór przybliżył się do niej i otoczył zewsząd tak, że zabrakło jej powietrza. Przypominał zapach zgnilizny, jak ostatniego lata w czasie upałów, gdy pani Clements naładowała śmietniki po brzegi resztkami jedzenia i przez tydzień nikt ich nie opróżniał.

Szczękała zębami z zimna. Spadek temperatury przytępniał jej zmysły, smród zniweczył erotyczny nastrój jaki stworzyła. Zirytowała ją ta głupia gra, która jedynie sprawiła jej zawód. Postanowiła przekonać się, że to wszystko działo się tylko w jej wyobraźni. Szybko otworzyła oczy i zdumiona zo-

baczyła kościste rozczapierzone palce.

Odległość między nią a ręką zmalała. Vera przypatrywała się jej, ale bez strachu, mając świadomość tego, że cienie nie ranią.

- Pospiesz się - głos jej drżał z zimna. - Powiedziałam ci już, że możesz mnie dotknąć jeśli chcesz.

Przekonała się jednak, że było to niemądre. Nadszedł kres małej zabawy, która i tak przedłużała się za bardzo. Była przeświadczona, że nic się nie działo naprawdę. W innym wypadku nie wystąpiłaby z tą propozycją, ponieważ nie pozwalała się dotykać tak jak Alison Darke-Smith, która leżała w pokoju obok.

- Do tego śmierdzisz - rzekła i sięgnęła po rozrzuconą pościel. - No już, wynoś się stąd. Jesteś tylko igraszką.

Nagle cień ręki ruszył do ataku, jak zgłodniały wąż po zbyt długiej hipnozie, który natrafił wreszcie na swoją ofiarę.

Vera poczuła między udami niewiarygodny chłód. To drętwiała ze strachu, to wiała się w konwulsjach, odrzuciwszy głowę tak, że dojrzała całą scenę w lustrze.

Ręka wykręcała się i obracała, zaciskała i jak oszalala rozszarpywała ją w lodowatym uścisku. Zwarta czarna bestia, wyloniona z ciemności poza światłem księżyca i wiedzona żądzą zawzięła się, by ją okaleczyć.

Doświadczony bólu i przerażenia Vera zaczęła spadać w otchłań przepaści, próbując zachować resztki świadomości. Zdołała wydać rozdzierający

krzyk, po czym wchłonęła ją ciemna nicość, zdusiwszy pozostałe jęki.

Jack Christopher też wyczuł potęgę zła, unosząc się nad suteroną. Zdawał sobie sprawę z jej wszelkich symptomów: zimna, duszącej woń zgnilizny, niewidzialnych dotknięć czyichś rąk. Niczego jednak nie mógł dojrzeć gołym okiem. W żadnym wypadku nie zamierzał pozostać z Harrym Clementsem i czekać na jego śmierć.

To należało do Georga. Wszyscy poza nim uchylili się od odpowiedzialności - nawet ten obcy, który przybył tu ubiegłej nocy - lecz trudno ich było za to winić. Teraz, w zaciszu swojego pokoju, Jack zmagał się z własnym sumieniem.

Tak, on, Jack Christopher, został wybrany przez Stwórcę, aby strzec ponownie narodzonego Syna Bożego. Co do tego nie miał najmniejszej wątpliwości. Natomiast stanąwszy twarzą w twarz ze złem, po prostu uciekł. Jednak najważniejsze było to, by znajdować się w pobliżu jeszcze nie narodzonego, a gdy nadejdzie czas...

Uzmysłowił sobie, że jeżeli w domu jest zło, to należy je zniszczyć, a przynajmniej wypędzić, zanim skrzywdzi przyszłego świętego.

Wiedział, że zmierzy się ze złem, zwycięży i wygna je z uświęconego domu.

Jack spojrział na swoją twarz w lustrze. Wyglądał blado i mizernie, nie sposób było nie dostrzec strachu w jego wylupiastych oczach oraz drżenia ust, które na próżno starał się skryć. Był tylko małym, potul-

nym i łagodnym człowieczkiem. Ale czyż Chrystus nie jawił się również jako istota subtelna, która doświadczyła uczucia strachu? I pokonał je w walce ze wszelką niesprawiedliwością. Jack musiał zrobić to samo. Postanowił wrócić na dół i stanąć do walki z Szatanem.

Potrzebował jedynie trochę czasu, żeby nabrać odwagi. Niepokoił się, że matka i święty płód w jej łonie mogli go potrzebować, ale z drugiej strony była przecież pod opieką Barbary Withernshaw. Wewnętrzny dwugłós nie dawał mu spokoju. Jego powołaniem miała być walka ze wszystkim, co zagraża dziecieniu. Nie mógł już dłużej zwlekać. Skierował się do drzwi i wyszedł na korytarz. Światła były wyłączone, jedynie podłoga błyszcziała w promieniach pełni, wpadających przez okno z przeciwległego kąta. Dostał się w srebrzysty strumień. Lecz to nie światło, ale ruchome cienie wzbudzały w nim lęk. Ciemność zdawała się przesuwać w ślad za nim, towarzysząc mu do schodów i popychając go w dół.

Pytał sam siebie, dlaczego nie może tam pójść ten nowy gość, Pugh? Był jednaki przeświadczony, że to właśnie on został wybrany. „A może wysłańcy diabła chcą zabić Alison, zanim ta urodzi dziecko, by objąć władzę nad nimi” - rozmyślał o tym wszystkim schodząc w dół. Musiał się spieszyć, nie miał czasu do stracenia.

W hallu przynajmniej paliło się światło. Drzwi do jadalni i świetlicy zastał zamknięte. Dom pogrążony był w ciszy i oczekiwaniu, jak gdyby ci ludzie wszys-

tko wiedzieli. Przypuszczał, że Alison wygadała ich sekret gdyż zawsze była z niej gaduła.

Wszystko wskazywało na to, iż jest to spisek uknuty przeciw Powtórnemu Przybyciu. Clements usiłował złożyć w dziewiczym łonie nasienie własnego dziecka. Jeśli to mu się udało, Alison nie była już więcej dziewicą, co oznaczało, że skłamała. W takim przypadku, oczywiście, było za późno i zło zatriumfowało. Jednak wciąż istniała szansa. Tak bardzo potrzebował odwagi i wiary we własne możliwości.

Jack zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi do mieszkania Clementsów. Nasłuchiwał przez chwilę, ale usłyszał jedynie własny oddech i bicie serca. Marzył, żeby wszyscy odeszli pozostawiając go tylko z Alison. To byłoby cudowne, ale wiedział, że jest to niemożliwe. Nikt jednak nie był w stanie przedrzeć się, przez śnieżne zasy na zewnątrz.

Przywołał z pamięci postać kobiety, Suzannah. Myśl o niej podnieciła go. Właściwie mógłby zakraść się do jej pokoju, wiedział którego, otworzyć cicho drzwi, a następnie porozkoszować ze dwie minuty, zanim jego kutas wypręży się. Stanie wówczas przy jej łóżku, być może nawet delikatnie potrząśnie nią, żeby się zbudziła. Przebiegnie go dreszcz, bez mała orgazm, gdy ona zaskoczona otworzy oczy. Żądze rozpalily go, ale czuł jednocześnie strach i onieśmielenie. Wyobrażenia przypominała mu o przekleństwie Szatana, które z pewnością wymierzone było w niego. Cena, którą

**miałby zapłacić, nie warta była ulotnej
przyjemności.**

- Odejdź ode mnie, Szatanie! - wyszeptał chrapliwie i przerażony rozejrzał się wokół, podejrzewając obecność dręczyciela. - Zwalczasz mnie moją własną słabością, lecz ja ją przezwycięzę, przysięgam to Bogu. Chwycił się za krocze, usiłując zapobiec erekcji. Ale już sam strach, który nim zawładnął, pomógł mu opanować żądze.

Powoli schodził na dół, do sutereny. Zatrzymał się dopiero przy końcu żółtego światła, które dochodziło z góry. Poza nim panowała ciemność, jeszcze bardziej gęsta, niż poprzednio. A wokół wydzielal się ohydny odór, smród, który obezwładniał i odpędzał.

- Precz, próżna zjawo, w imię Pana! - powiedział drżącym głosem, przeżegnał się i poszedł przed siebie. Ujrzał wreszcie światło, które przegoniło wszystkie cienie i zaśmiał się nerwowo. Pozostał jednak zapach oraz lodowaty ziąb, który wnikał w jego wnętrze.

Zauważył zamknięte drzwi, ale ściany obok były odrapane, jak gdyby zgłodniała bestia chciała się tam wdrzeć, czując w środku ludzие zwłoki. Nie mogło go już nic powstrzymać. Przeżegnał się raz jeszcze i obrócił galkę.

Pokój wyglądał tak samo jak wtedy, gdy go opuścił. Puste ściany, kilka tekturowych kartonów i porozrzucane książki. Jack wędrował oczyma po wszystkich zakamarkach, omijając jednak łóżko, na którym pod nieświeżym prześcieradłem spoczywała nieruchoma bryła. Przeczytał tytuły na grzbietach książek, lecz minęło trochę czasu, zanim zrozumiał je

w pełni. „Szatan i czary”, „Magiczne rytuały”, „Słownik mitologiczny”... „Pamiętniki Szatana” Gerhar- diego i Lunna. Z przerażeniem uświadomił sobie, że były to prace diabła, bluźniercze tomy.

Zuchwale tytuły szydziły z niego. Zaslonił się ręką próbując odgrodzić się od ksiąg, czuł jednocześnie jak wabia go swoją ohydą. Domyślał się, że nocny samotnik, ukryty w tej części budynku hodował zło i szykował się do Powtórnego Przybycia płodząc Antychrysta w dziewiczym łonie Alison.

Jack Christopher poczuł jak ogarnia go rozpacz. Podszedł do łóżka, wyciągnął drżącą rękę i odkrył prześcieradło...

Doprawdy trudno było rozpoznać twarz Harrego Clementsa. Zapadłe spięte rysy, wykrzywiona twarz, oczy niemal zanikły odsłaniając puste oczodoły, haczykowaty nos przypominał dziób z przyschniętym śluzem, a na ustach zastygło straszliwe przekleństwo.

Jackowi zdawało się, że gdzieś obok martwego dała kryje się jego przyczajona dusza, zimna, smrodliwa, wszechmogąca siła niezniszczalnej bestii Lewej Ręki.

Ze starych ksiąg unosił się zapach stęchlizny. Było wciąż zimno, ciemna żarówka kołysała się łagodnie w przeciągu, rzucając ruchome cienie. Ich kształt zbliżał się i oddalał sięgając po Jacka, wił się za jego plecami, jak gdyby chciał odciąć mu drogę powrotu.

Usłyszał cichy szmer śliskiego przedmiotu, na odgłos którego z jego ust wyrwał się okrzyk przerażenia. Przykrycie ześlizgiwało się z łóżka, osunęło się

niepostrzeżenie na podłogę odsłoniwszy przed nim zwłoki Clementsa.

Zrobiło mu się słabo, gdy zobaczył powykręcane kończyny, podciągnięte kolana i rękę wyciągniętą w oskarżycielskim geście. Spostrzegł po chwili, że druga ręka Harrego była zdeformowaną protezą nadgarstka, kulą obleczoną ciałem, które czerniało w gangrenie i wydzielalo woń zgnilizny. A więc dokonano szatańskiej amputacji zza grobu.

Rozdział dwunasty

Owain Pugh wytrącony został z głębokiego snu przez głośny hałas, lecz kiedy zbudził się, nie miał pewności czy usłyszał go na jawie, czy też we śnie. Nasłuchiwał w napięciu, ale nic się nie działo.

Słyszał natomiast na korytarzu stłumione odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi, jakieś rozmowy. Zdawało mu się, że to Suzannah, a głos dziecka musiał należeć do Rose. Pomyślał, że powinien tam pójść i sprawdzić, o co chodzi. Spojrzał na oświetloną tarczę zegarka - dochodziła jedenasta czterdzieści w nocy.

Wyślizgnął się z łóżka i włożył spodnie. Wciąż były wilgotne, ale nie mógł przecież biegać po obcym domu jedynie w bieliźnie. Ostrożnie otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Słyszał jak Suzannah starała się uspokoić Rose, natomiast Barbara Withernshaw mówiła coś podniesionym głosem.

Dojrzał też Alison spokojnie śpiącą na łóżku. Najwyraźniej hałas nie zbudził jej. Przez szparę, w uchylonych drzwiach sąsiedniego pokoju, Owain zobaczył siedzącą na łóżku Barbarę, która próbowała uciszyć płaczącą dziewczynę. Postanowił wejść, przedtem jednak zapukał.

- Ach, to pan! - podniosła głowę Barbara. Dziewczyna skryła swoją twarz na łonie starszej kobiety i trzęsła się w spazmach. Zauważył, że koszulę

nocną miała podwiniętą i kurczowo ścisnęła dłonie w kroczu.

„Jezu, przecież to Vera. Na pewno znów się podniecała i stąd to zamieszanie” - pomyślał Owain. Stał więc zażenowany i niezdecydowany.

- To... dotykało mnie! - Vera jeszcze bardziej poblądła z przerażenia. Znów była bliska krzyku.

- To dotykało mnie!

- Co cię dotykało? - Owain poczuł się głupio. Najprawdopodobniej miałaś jakiś erotyczny sen.

- Czuję, że skóra mu cierpnie. W tym domu był gotów uwierzyć we wszystko.

- To było coś jak cień ręki - wtrąciła Barbara.

- Poturbowało ją, zrobiło jej coś wręcz nieprzyzwoitego. Uspokój się, kochanie, już minęło i nie wróci.

- Wróci, wiem, że wróci! - podniosła głos niemal do krzyku. To było okropne, lodowato zimne i...

- Tak, tak, wiem, co ci zrobiło. Myślę, że lepiej zrobisz jak przyjdiesz spać do Alison i będziesz pod moją opieką..

„Boże Miłosierny! Obie w łóżku. Jedna wariatka, której nie można zostawić samej, druga przekonana, że urodzi świętego albo ponowne wcielenie córki gospodarza. Jeszcze kilka takich numerów, a skończy się na tym, że ja też zniknęję” - pomyślała rozczulając się nad sobą Barbara.

- Pójdę zobaczyć czy wszystko w porządku u Su- zanny i Rose. Owain odwrócił się w stronę drzwi, zadowolony ze znalezienia wymówki.

Ktoś zataczał się po korytarzu powłócząc no-

garni, jak gdyby wracał z nocnej libacji. Przywołał w pamięci postać Freda Ainslowa z pijacką czkawką, strząsającego na ziemię popiół z papierosa. W tym momencie drzwi zachybotwały i stanął w nich mężczyzna o dzikich oczach, które mogły należeć tylko do Jacka Christophera. Jedną ręką żegnał się, a drugą przytrzymywał ściany. Patrzył wystraszony, ubranie miał w nieładzie i belkotał jakieś niezrozumiałe słowa.

- Ręka - wycharczał. Oczy rozbiegły mu się po oświetlonym pomieszczeniu. - Ręka odpadła!

- Co za ręka? O czym pan mówi? - zapytał Owain z niedowierzaniem.

- Ręka Harrego Clementsa. - Jack powtórzył to z trudem. - Znikła i odpadła. Zabrał ją jego zły duch, który przybrał nowy kształt...

- On ma rację. - Obaj spojrzeli na postać, która zjawiała się w drzwiach, lecz w której trudno było rozpoznać Georga Clementsa. Stał zgarbiony, wyglądał jak człowiek psychicznie sponiewierany. Jego śniada cera nabrała szarej barwy, ponadto przewracał oczami i mocno poruszał grdyką. Miał trudności z wysławianiem się. - Jack ma rację... ta ręka... jej pelzający cień...

W tym momencie Vera Brown słysząc to, ponownie zaczęła histerycznie wrzeszczeć, chwytając się Barbary i kryjąc się za jej plecami.

- Mówiłam wam - krzyczała - lecz nie chcieliście mi wierzyć. - Była tu ręka, dotykała mnie. Napadła na mnie!

George Clements chwiał się na nogach i runąłby na ziemię, gdyby Owain go nie przytrzymał. W dalszym ciągu wywracał oczami, poszukując cieni aż na schodach, jak gdyby spodziewał się ujrzeć w każdej sekundzie pełną kształt. Usiłował coś powiedzieć, ale bez rezultatu, zasyczał jedynie bezładnie. Tych czworo ludzi wyglądało jakby oszaleli ze strachu.

Śłuchajcie - rozpoczął ostro Owain - a może to tylko wasza wyobraźnia.

- To idź i zobacz - odburknął Jack Christopher.
- Zejdź na dół do sutereny i przekonaj się na własne oczy. Może Najjaśniejszy Pan uchroni cię od złego, gdy tam będziesz. - Przeżegnał się i zamknął oczy.

- Oczywiście, że pójdę. Pójdę, żeby zadać kłam tym wszystkim bredniom. Czekać tu na mnie, słyszycie? - Nie mógł co prawda opanować dreszczy, lecz na widok tych ludzi włosy również stawały mu dęba.

Tymczasem Suzannah też wyszła na korytarz. Wyglądała przedziwnie pięknie, niczym bogini w srebrzystym blasku. Biała halka służyła jej za koszulę nocną, długie, ciemne włosy opadały na ramiona.

- Co się tu dzieje, Owain? - zapytała udręczonym głosem.

- To ta zgraja świrów ~ wskazał kciukiem na pokój Very. ~ Zaczynają widzieć duchy. Właśnie idę na dół, by im dowieść, jacy z nich histerycy. Może wówczas dadzą nam trochę pospać?

- Ja... ja nie chcę, żebyś tam szedł, Owain.

- To tylko chwila, nie bój się.
- Martwię się o Rose. Obudziły ją chyba jakieś koszmary. Majaczy coś o tym, co widziała w świetle księżycy i opowiada o jakimś cieniu ręki na ścianie.
- Światło księżycy daje różne odbicie. Nie powinnaś się tym przejmować, Suzie. - Nazwał ją mimo woli „Suzie,” ale nie zauważyła tego. - Zaraz wracam, a ty zostań z Rose i jeśli nie masz nic przeciwko temu, myślę, że dobrze byłoby, gdybym przeniósł swój materac i pościel do was. Prześpię się na podłodze. Nie dlatego, żeby się było naprawdę czego obawiać - dodał pospiesznie - ale ta banda szaleńców rzeczywiście w końcu wystraszy Rose. Dostają napadów lęku, które są chyba zaraźliwe.

~ Myślę, że to niezły pomysł - uśmiechnęła się blade. ~ Tylko, proszę, nie bądź tam długo.

Owain zszedł na dół. Na szczęście światło w hallu i w suterenie ciągle się paliło. Musiał przyznać, że nie miałby tyle odwagi w ciemnościach. Nocna wizyta u trupa, w zasypanym śniegiem domu obląkańców, nie była idealnym sposobem na spokojny sen. Musiał im jednak zamknąć gęby. Zaciekawilo go, gdzie mogli znajdować się teraz Fred Ainslow i pani Clements. Jednak nie była to odpowiednia chwila na poszukiwanie ich.

Drzwi do pokoju Harrego kołysały się w jakimś przeciągu, zawiasy skrzypiały. Co prawda światło pozostało włączone, lecz było słabe, tłumione przez

**stosy skrzyń z książkami i pismami dla winiarzy.
Pomyślał, że warte były zapewne fortunę i może**

mógłby coś zaoferować Clementsom jeszcze przed wyjazdem. Idąc w głąb pomieszczenia przyglądał się tytułom luźnych książek, nie myśląc w ogóle, po co tu przyszedł. Wówczas ujrzał ciało. Nie wyjaśniło to jednak sprawy ręki. Mógł spojrzeć przez palce na wiarygodność wersji Jacka, ale Rose... Wtedy jego wzrok zatrzymał się na wyciągniętym, sztywnym ramieniu i dopiero wówczas ujrzał protezę, a obok czarne gnijące ciało.

Ohydna woń wdzierала się mu do nosa i płuc, omal nie zwymiotował. „Boże Wszechmogący, więc to jednak prawda!” - pomyślał.

Martwe oczy Harrego odnalazły go i spoglądały z nienawiścią wzbudzając w nim lęk, a usta zastygły w plugawym przekleństwie.

Owain potykając się torował sobie drogę do drzwi, co chwila natrafiając na tekturowe pudła. Kilka książek spadło z hukiem na ziemię i wydało mu się, jakby ktoś podążał za nim. Z ulgą wydostał się z sutereny i nie oglądając się za siebie pognął w górę po schodach, zatrzymując się dopiero w hallu. Brakowało mu tchu, był przerażony, ale po drodze musiał wymyśleć dla nich jakieś prawdziwie brzmiące kłamstwo. Suzannah i Rose nie mogły się o tym dowiedzieć. Rano koniecznie muszą stąd wyjechać by znaleźć się jak najdalej od krążącego tutaj straszliwego zła. W końcu to nie ich sprawa, nie będą walczyli z Mistrzem.

Owain aż podskoczył na dźwięk otwieranych drzwi, zza których wyloniła się postać staruchy

w płaszczu przeciwdeszczowym i zarzuconym na ramieniu szalu. Z ciemności spozierała na niego upiorna, biała, z zasuszoną twarzą.

- Kto tam? - zapytała ostro Brenda Clements.

- Owain Pugh.

- Gdzie George? Widział go pan?

- Jest na górze, ze wszystkimi. - Owain trzął się cały, lecz ona nie dostrzegła tego.

- Dziecko... czy Elspeth już się urodziła? Niech pan mi powie, panie Pugh, czy wszystko jest w porządku?

- Wyszeptala te słowa bojąc się usłyszeć odpowiedź.

- Nie. - Wziął głęboki oddech, starając się nad sobą zapanować.

- Nie ma jeszcze dziecka. - Spóźnia się. To powinno nastąpić dzisiejszej nocy, wiem o tym. Proszę powiedzieć Georgowi, żeby przyszedł po mnie jak tylko zacznie się coś dziać,

- Przekażę wiadomość, pani Clements - kierował się już do schodów,

- Ach, czy widział pan Freda? Freda Ainslowa? Chyba zepsuł się bojler. Grzejniki, mimo że włączone, są zimne,

Owain zadygotał. Było faktycznie zimno, chociaż nie aż tak, jak w tamtej kostnicy.

- Powiem mu, jeśli uda mi się go gdzieś złapać.

- Pospiesznie odszedł, chcąc za wszelką cenę uniknąć dalszych pytań. Dochodząc do pierwszego piętra usłyszał jak drzwi w hallu cicho się zamykają, oznaczało to, że pani Clements wróciła do swego pokoju, aby czekać.

- I co? - Susannah już wcześniej rozpoznała jego kroki i wyszła na schody drugiego piętra.

- Dużo hałasu o nic. - Nie wydawało mu się, by brzmiał przekonująco. Wiedział, że Suzannah Mitchell nie należała do osób, które łatwo było zwieść i lepiej będzie, jak wypróbuje swoje talenty na tamtych. - Za chwilę wracam., muszę uspokoić tych histeryków.

Vera Brown przestała już płakać. Siedziała na łóżku ze zwieszoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę. George Clements i Jack Christopher usilnie podtrzymywali ścianę, jakby miała się zaraz zawalić. Barbara Withernshaw właśnie wróciła do Alison. Wszyscy spojrzeli pytająco na Owaina, nikt jednak nie odezwał się słowem. Nie chcieli, by potwierdził prawdziwość ich relacji, ale czekali na to, co powie.

- Pańska żona pytała, gdzie się pan podziewa - zaczął Owain, kierując uwagę pod adresem Georga Clementsa. - Szukała także Freda Ainslowa, ponieważ sądzi, że bojler nie działa i grzejniki są zimne. Było rzeczywiście diablo zimno w tym pomieszczeniu, aż z ust wydobywała mi się para.

- Czy widział pan... Harrego? - zapytał ochrypłym głosem Clements - Czy widział pan... jego rękę?

- Tak. - Nie warto było zaprzeczać, należało znaleźć jakieś wyjaśnienie. - Owszem, widziałem. Dostał gangreny i prawdopodobnie dlatego zmarł.

- Od gangreny ręka nie zgnije przez noc - ucięła Barbara. - Niech pan nas nie bierze za idiotów,

**panie Pugh. Coś odjęło mu rękę i ja panu powiem,
co.**

To jego własna rozwichrzona dusza opuściła bezużyteczne zwłoki zabrawszy ze sobą kończynę, by tak ujawnić swoją obecność. Teraz samotnie wędruje wśród nas!

- Co za bzdura!

-- Jeśli to bzdura, to dlaczego ci ludzie ją widzieli? Sam pan wie, że to prawda, nawet jeżeli nie chce pan tego przyznać. Diabeł we własnej osobie krąży w tym przeklętym miejscu.

- Na zawsze - dorzucił George Clements - duch Szatana czeka na swoje następne ludzkie wcielenie. Ciało, które mu dotąd służyło, stało się martwe i zbyteczne, a więc oczekuje innego.

- Zatem zdziwi się bardzo - Jack Christopher oderwał się od ściany i zrobił kilka kroków naprzód jak znokautowany bokser, który wraca na ring. - Ponieważ dziś w nocy narodzi się Jezus Chrystus, a Szatan zostanie wypędzony do piekła. - Pospiesznie przeżegnał się, ale jego zarośnięta twarz była dalej blada.

- Skończcie z tymi głupstwami! - Barbara przyciągnęła do siebie Verę i zwróciła się do pozostałych. Wyglądała jak lwica, broniąca przed niebezpieczeństwem swoje małe. - W pokoju obok leży dziewczyna i czeka na dziecko, które może się narodzić w każdej chwili. Tymczasem jeden wmawia jej, że urodzi mu dawno już zmarłą córkę, drugi - że Jezusa Chrystusa, a teraz dodaliście jeszcze następcę Lucyfera. Czy wam się, do cholery, pomieszało w głowach? Spróbujcie pomyśleć o niej.

- Wściekle gestykulowała

rękami. Ostrzegam, jeśli ktoś zbliży się do Alison wygadując te wszystkie bzdury, rozwalę mu łeb krzesłem. A teraz wynoście się stąd wszyscy do diabła! Może i jest tutaj zło, ale nie pozwolę mu ruszyć dziecka Alison.

George Clements wyszedł pierwszy, nie odrywając wzroku od ziemi. Za nim podążył Jack Christopher, mamrocząc pod nosem modlitwę Pańską.

- Vera będzie spać z Alison - zakończyła Barbara Withernshaw.

- Będę je pilnowała. Dziękuję za pomoc, panie Pugh. - Jedną ręką ujęła Verę, drugą zgarnęła przybrudzoną pościel i opuściła pokój.

Wychodząc na korytarz Owain westchnął ciężko. Nie musiał im nic mówić. A może były to tylko makabryczne fantazje. Wiedział, że próbuje oszukiwać samego siebie. Pośród tego wszystkiego gdzieś mogło tkwić źdźbło prawdy i to było najbardziej niepokojące. Nie było to zwyczajne miejsce. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego on, Suzannah i mała Rose znaleźli się w nim.

Wszedł do pokoju Suzannah, ciągnąc za sobą materac i pościel i ułożył je na podłodze. Było piekielnie zimno. Na szybie, widocznej w szczelinie między wytartymi zasłonami, widniała gruba warstwa szronu. Temperatura sięgała chyba dziesięciu stopni poniżej zera.

- Masz zamiar powiedzieć mi, co się tu dzieje?
- wyszeptala Suzannah ze swojego łóżka.

- Nie wiem nic - odparł - oprócz tego, że wszyscy są tutaj dokładnie stuknięci.

- To odkryliśmy już w dziesięć minut po przybyciu. - Była zdecydowana wycisnąć z niego prawdę. - Rose śpi, gorączka spadła i oddycha już łżej. Mów, Owain, sądzę, że mam prawo znać prawdę.

Zdecydował się opowiedzieć jej wszystko w skrócie. Nie widział już sensu ukrywania czegokolwiek.

Suzannah zbladła i wciąż spoglądała to na drzwi, to na okno, jakby spodziewając się w każdej chwili ujrzeć Szatana.

- To niesamowite, ale musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie - wnioskował. - Christopher czeka na Powtórne Przybycie. Clements jest przekonany, że znów urodzi mu się córka, lecz tym razem za sprawą Diabła. Miejmy nadzieję, że gdy Alison urodzi, będziemy już daleko stąd. Zostało nam dziewięć godzin do przyjazdu pług, zatem trzymajmy się razem. Potem wyjdziemy we troje pozostawiając ich samym sobie. Ciekawi mnie tylko, gdzie się podział Fred Ainslow, bo wszyscy oprócz niego zlecili się przerażeni.

- Chyba gdzieś zasnął pijany - odpowiedziała mu. - Szczęściarz z niego. Uważasz, że powinniśmy zostawić światło?

- Jak chcesz. - Właśnie o tym myślał, ale nie chciał jej niepokoić. - Spróbujmy trochę odpocząć. Obudź mnie, gdy coś usłyszysz.

Nastąpiła cisza, która okazała się najstraszniejsza. Żadnych głosów, żadnych kroków, kompletny bezruch przenikający do głębi ich ciała.

Owain zapadł w drzemkę. Był to stan półprzytomności, w którym nie mógł się odprężyć.

~ Współświadomie powrócił do ostatnich zdarzeń. Przed oczami pojawił mu się pokój Very Brown, a w nim wykrzywione krzyczące twarze. Jack Christopher jak oszalały walił w ścianę zaciśniętymi pięściami, a ciężkie bębnienie rozchodziło się wibrującym echem po całym domu. Vera Brown wyzwoliła się z uścisku Barbary Withernshaw i usiłowała wydrapać mu oczy. Zaslonił się ramieniem i poczuł jak straszliwie zimny był jej dotyk. Starał się ją odepchnąć, ale ona wciąż powracała i wrzeszczała na niego. - Panie Pugh, Pan jesteś kłamca i bękart! Obok Christopher walił czołem w ścianę jak człowiek zupełnie nieczuły na ból. Na odległej ścianie widniał straszny cień, który przypominał twarz o rozwartych ustach, śmiejącą się z nich wszystkich. Ale widział ją tylko Owain i chciał im o tym powiedzieć, lecz jego słowa zagłuszały wrzaski.

- Owain, zbudź się!

Usłyszał głos Suzannah nie rozpoznawał jednak jej twarzy w tej bijatyce, ale to była ona, chwytala go za ramię, starając się coś powiedzieć.

- Owain!

Mgła pierzchła, teraz z kolei oślepiło go jasne światło i nic nie mógł dojrzeć. Powoli zaczął wracać do siebie. To nie był pokój Very Brown. Nie było tu nikogo prócz ich obojga i Rose ani Jacka Christophera, szaleńczo walącego głową w ścianę, ani... Minęło jeszcze kilka chwil zanim dotarło do niego, że był to tylko koszmarny sen.

- Owain, ktoś stuka do drzwi! - wrzeszczała

przerażona Suzannah. Rozejrzał się dookoła błędnym wzrokiem.

~ Panie Pugh. Niech pan natychmiast przyjdzie. Wytężał słuch, ale za nic w świecie nie udało mu się rozpoznać głosu dochodzącego zza drzwi. To dodatkowo spotęgowało w nim uczucie strachu.

- Panie Pugh, och, panie Pugh, szybciej!

Suzannah trzymała go za ramię, a on gwałtownym ruchem otworzył drzwi. Na zewnątrz stała Vera. Wyglądała niczym biała zjawa, była jednak zbyt przerażona jak na nocnego ducha. Jej błagalny ton zmienił się w histeryczny wrzask.

- Co się stało? - Owain starał się, by jego głos zabrzmiał trzeźwo. Musiał panować nad sytuacją ze względu na Suzannah. Sam też chciał dodać sobie otuchy.

- Ciocia Barb mówi, żeby pan szybko przyszedł.

- Co się stało? - zapytał podejrzliwie niezrównoważoną dziewczynę, która mogła znów dać się ponieść własnym fantazjom.

- Dziecko - zapiszczała Vera. -- Musi pan pomóc, panie Pugh. Dziecko się rodzi!

Rozdział trzynasty

- Nie, ty musisz zostać z Rose. - Owain Pugh powstrzymał Suzannah, której matczyne instynkt nakazywał pójść z nim, gdyby poród okazał się zbyt ciężki.

- Musisz być w pokoju. Zamknij drzwi i krzycz, jeśli będę potrzebny. Jestem tylko kilka metrów dalej.

Chciał pójść razem z Verą, ale dziewczyna szaleńczo pognąła przed siebie, chcąc chyba jak najszybciej ujrzeć cud narodzin i zaspokoić swoją ciekawość. Mylił się jednak, minęła pokój, w którym Alison jęczała z bólu i zatrzymała się w drzwiach swojego. Stojąc w blasku światła bijącego od wewnątrz, zaczęła wrzeszczeć.

- Niech pan do niej idzie, panie Pugh. Mam nadzieję, że dziecko umrze!

Drzwi za nią zatrzasnęły się, lecz Owain pozostał jeszcze przez kilka sekund na korytarzu zalany światłem księżyca. Był oszołomiony okrutną klątwą Very Brown. „Obląkana suka”, pomyślał o niej po czym otworzył sąsiednie drzwi.

- Zamknąć drzwi! - Barbara klęczała między rozwartymi udami Alison, której ciało unosiło się ciężko, wstrząsane bolesnym wysiłkiem: parcie, chwila przerwy i znów parcie. Coś chlupnęło, wody płodowe zamoczyły pościel.

- Jest mi pan potrzebny, panie Pugh, nie przy

porodzie, lecz po to, żeby nie wpuścić tutaj nikogo.
Niech pan pilnuje drzwi!

Uśluchał. Przez te ich bzdurne fantazje mogły być nieliczne kłopoty.

Alison krzyczała i przeklinała swój los.

- Przyj! - Głos Barbary wydawał się napięty i zmęczony. - Na miłość Boską, przyj! Już prawie jest! Dziewczyna wydała zdławiony okrzyk i w końcu rozległ się płacz dziecka.

Na jego dźwięk Owain poczuł ukłucie w szyi. Pamiętał, że wszystkie dzieci przychodziły na świat z płaczem, ale ten był niemal zwierzęcy i przypominał raczej ryk aniżeli płacz.

Rozejrzał się jakby chcąc przejrzeć na wkoś otyłą postać Barbary Withernshaw. Na poduszce dojrzał głowę Alison. Oczy miała zamknięte, była wyczerpana z wysiłku, być może nawet nieprzytomna. Starsza pani oglądała dziecko, obmyła je, przecięła pępowinę, lecz jej oddech zaniepokoił Owaina. Przypomnił sobie klątwę Very Brown, by dziecko urodziło się martwe. Barbara tymczasem zanurzyła zakrwawiony ręcznik w misce z wodą, płukała go, wyciskała i jeszcze raz płukała, szybko oddychając.

- Czy... czy wszystko jest w porządku? - zapytał wreszcie.

- Niech pan tu podejdzie i popatrz na to! - powiedziała po chwili. Owain zbliżył się z ociąganiem. Nie miał już ochoty na nic więcej po tym, czego doświadczył dziś w nocy w suterenie. Ostrożnie

**podszedł do łóżka i spojrzał kobiecie przez ramię.
Bar-**

bara trzymała dziecko z dala od siebie. Zobaczył chudą, pomarszczoną istotę o ludzkim kształcie, która wiała się i skrzeczała. W stosunku do skurczonego ciała, głowa była nienormalnej wielkości, a wystające czoło tworzyło osłonę, rzucając cień na twarz, nos jak dziób zawijał się tuż nad rozdętymi wargami. Owain odsunął się od łóżka i z przerażeniem pomyślał, że to wszystko było sprawą Szatana.

- Nie będzie z niego piękność. - Starał się, by jego głos zabrzmiał spokojnie, chociaż nerwy odmawiały mu posłuszeństwa.

- Z niej! - poprawiła go Barbara i dorzuciła: Clementsowie będą szczęśliwi, zaś Jack pognębiony. Ale się zakotłuje! To nie jest ludzka twarz, przysięgam, odebrałam w swoim życiu dziesiątki dzieci. Ale niechże pan spojrzy na rękę, proszę tylko na to popatrzeć!

Owain rzucił okiem i zakręciło mu się w głowie. Jakby odpłynęła z niej krew, kiedy zobaczył uniesione i wykręcone ramię zakończone nadgarstkiem. Nie było dłoni! ~ Och, mój Boże!

- Dokładnie - wyszeptala Barbara Niech pan spojrzy na rękę, nie ma jej.

- Potworne niemowlę.

- Można to i tak ująć, nazwałabym je potomkiem Szatana. Przy całym swoim obłędzie George Clements miał zupełną rację. To coś, co trzymam w rękach, jest ich Elspeth, tyle że zrodzoną z diabła. Dzisiaj dano nam znak, tak się tego bałam. Tamta ręka była zwiastunem.

Dziecko uciszyło się i leżało bez sił w ramionach Barbary. Owain dostrzegł, jak piersi dziecka unoszą się z trudem w oddechu. Słyszał jak śluz przemieszcza się z płuc do otwartych ust, skąd wyciekała gęsta ślina.

- Coś niedobrego z nim się dzieje. - To było oczywiste, lecz musiał coś powiedzieć. - Gdyby nie ten śnieg, moglibyśmy zawieść dziecko do szpitala i pozbyć się go w ten sposób.

- No cóż, ale nie możemy, choć rzeczywiście byłoby to najlepsze rozwiązanie. - Uśmiechnęła się smutno. - Mówiąc szczerze - zniżyła głos, żeby przypadkiem Alison jej nie dosłyszała - nie daję mu większych szans na przeżycie i nie powiem, by było mi z tego powodu żal.

Gdziekolwiek indziej podobne słowa wstrząsnęłyby nim, lecz tutaj, w Donnington, były zupełnie zrozumiałe.

- Co z nim zrobimy? - zapytał.

- A co możemy zrobić? - jej głos brzmiał rozpaczliwie. - Chciałabym tylko wiedzieć kto zapłodnił Alison. Po tym, co dziś ujrzeliśmy, sędzę, że mógł to być Harry. Według wszelkiego prawdopodobieństwa biedne dziewczę nawet nie miało o tym pojęcia. Mógł ją zahipnotyzować. I czym ją, do cholery, obdarzył? Diabelski skurwysyn!

Alison zamrugła oczami i uśmiechnęła się bezmyślnie. Z trudem podniosła się.

- Dajcie mi je zobaczyć, proszę.

- Możesz ją potrzymać, Alison. To dziewczynka. - I niech Bóg zlituje się nad wami.

Dziewczyna wzięła swoje dziecko, zakolysała nim i pogładziła jego ciało w instynktownym odruchu każdej matki, która chce się upewnić czy dziecko jest zdrowie i całe. Palce Alison przesuując się w dół zamaryły na chwilę w bezruchu, gdyż w miejscu zakończenia nadgarstka nie znalazły dłoni. Skierowała tam wzrok i zaczęła krzyczeć jak opętana.

- Zabierzcie je, och, zabierzcie! - wyła jednocześnie trzymając dziecko za ramię. Z pewnością upuściłaby je na podłogę, gdyby nie przytomna reakcja Barbary. - Weźcie je ode mnie i zabijcie!

Owain przypomniał sobie ostatnie słowa, wypowiedziane przez Verę Brown przed zatrzaśnięciem drzwi: - „Mam nadzieję, że dziecko umrze”. - Możliwe, że tak się stanie, ku zadowoleniu obu dziewcząt.

- Cicho! - Barbara Withernshaw zeszywniała i odwróciła twarz do drzwi. - Chyba ktoś nadchodzi. Myślę, że to rozwiąże nam problem. Jeśli ktokolwiek zechce to dziecko, niech je w końcu bierze.

Był to George Clements, który pchnął drzwi i wtoczył się podtrzymując żonę, wciąż ubraną w stary, nieprzemakalny płaszcz, w którym jak domyślał się Owain, musiała spać. Na nogach miała swoje gumowe buty. Jej twarz przybrała wyraz gorączkowego podniecenia babki, zjawiającej się tuż po narodzinach wnuka.

- To dziewczynka, prawda? - nadzieja
zabrzmiła w jej głosie.

- Tak. - Barbara położyła dziecko i cofnęła się,
jak gdyby gotowa była do wyjścia. - Nie ma się
czym

martwić, macie swoją Elspeth. Matka odrzuciła ją, więc możecie wziąć dziecko na wychowanie.

- Patrz - Brenda Clements wskazała najpierw na wykrzywioną twarz dziecka, a następnie na rękę pozbawioną dłoni, bez cienia przerażenia. - To jest nasza Elspeth, a nie żadne Chrystusowe Dziecko.

Owain słysząc to nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wiedział, że jest u kresu sił i był bliski oblędu.

- Zabierzcie to, zabierzcie to przekłete dziecko i zabijcie je! - wykrzyknęła Alison i opadła na łóżko.

Jej słowa zawisły w powietrzu. George i Brenda spojrzeli po sobie, po czym skierowali wzrok na Barbarę.

- Tak, lepiej je zabierzcie i zaopiekujcie się nim. Ale liczcie się z tym, że może jeszcze zmienić zdanie. W tej chwili nie wie, co mówi, przeszła piekielne męki

- głos Barbary był zdecydowany.

- Nie zmienię! Nie chcę go więcej widzieć.

- Krzyk zmęczył matkę, która leżała na łóżku bez sił. Odwróciła twarz do ściany. - Nie chcę go więcej widzieć. Jest obrzydliwe.

Brenda Clements trzymała dziecko w ramionach. Owain przestraszył się, że może je upuścić, lecz ona przytuliła je mocniej do piersi. Niemowite stało się dziwnie spokojne, jego drobna, brzydka twarzyczka przybrała łagodny wyraz. Owaina przeszył dreszcz. To było okropne i dziwaczne.

**George pokiwał głową. - Zatrószczy my się o nie.
Mamy butelkę i mleko dla dziecka. Dokładnie przewidzieliśmy taki bieg wydarzeń. - Chodźmy, Mamo,**

musimy przenieść ją w cieplejsze miejsce.

Owain odwrócił się. Miał już dosyć tego widoku, chciał pójść do Suzannali i jej pięknej córki.

- Ach, to pan... panie Pugh! - George Clements złapał go za rękaw i przytrzymał. - Jak się czuje pańska dziewczynka?

Na sekundę icli oczy spotkały się i coś, co Owain ujrzał w twarzy Georga Clementsa, przeraziło go. Nie był to jedynie wyraz zaciekawienia, lecz kryło się w nim niezrozumiałe napięcie.

- To nie moja dziewczynka - uwolnił rękę - lecz pani Mitchell. Mała nie czuje się najlepiej. Jest załężniona i cały czas gorączkuje.

- Wobec tego najlepiej będzie, jeśli pozostanie tu jeszcze dzień lub dwa. - Z jego głęboko osadzonych oczu trudno było cokolwiek wyczytać. Słowa zabrzmiały niemal jak rozkaz. - Nie pobierzemy opłaty za wasz pobyt.

- Oczywiście - Brenda rozchyliła usta w prze-
rażającym uśmiechu.

- Będzie nam ogromnie miło gościć was tutaj. Nawet jeśli pług odśnieży szosę - dziecko musi zostać, bo może mieć zapalenie płuc. Ale jeżeli pan musi wyjechać, doprawdy proszę się nie martwić, George i ja z przyjemnością zajmiemy się panią Mitchell i Rose.

- Dziękuję. - Owain poczuł suchość w ustach. Coś w tej parze budziło w nim odrazę. - Sądzę, że nie okaże się to konieczne. Znajdziemy sposób, żeby rano się stąd wydostać.

Brenda nic nie odpowiedziała, lecz Owain dostrzegł w jej oczach palącą nienawiść. Odpowiedział jej spojrzeniem, które mówiło, że nie zostaną tutaj za nic w świecie. Odwrócił się, opuścił pokój i szybko minął korytarz.

Z ulgą przekonał się, że Suzannah siedzi na łóżku i czeka na niego, a Rose wciąż śpi.

- To dziewczynka - powiedział ściszym głosem, gdy już zamknął drzwi. - Clementsowie zaraz ją zabrali, ponieważ Alison jej nie chciała. Boże, była naprawdę potworna i straszliwie zdeformowana. Zdecydował nie wspominać o brakującej ręce. - Rano bezwzględnie stąd wyjeżdżamy.

Skinęła tylko głową, nie chcąc nic więcej powiedzieć.

Ktoś krzyczał, chyba na parterze albo na pierwszym piętrze. Suzannah zdawało się, że rozpoznaje wśród nich głos Jacka Christopera. Usiłowała wyłowić wyraźniejsze dźwięki, jednakże odległość nie pozwoliła na rozszyfrowanie słów. Starła się zachować kontrolę nad sobą, ale czuła, że jest bliska hysterii. Obawiała się, iż traci rozum, jak wszyscy w tym domu.

George i Brenda dochodzili do pierwszego piętra. Światła były zgaszone, lecz to im nie przeszkadzało - blask księżyca wystarczał całkowicie, a nawet bardziej zdawał się pasować do chwili ich triumfu niż światło elektrycznych żarówek. Nareszcie odzyskali córkę. Cieszyli się nie zważając nawet na dług, który musieli spłacić.

- Ktoś idzie - oznajmiła Brenda. - Może to Owain zdecydował, że jednak zostaną. Chociaż lepiej byłoby, gdyby on odszedł, a tylko kobieta i Rose pozostały.

Na ścianie pojawił się cień sylwetki, którą oboje natychmiast rozpoznali. Nie mogli się mylić, musiał to być Jack Christopher. „Pomyłony Jack”, jak go nazywali. Trząsł się cały jak w gorączce. Twarz miał wykrzywioną w szaleńczej wściekłości, na ustach pieniała mu się ślina. Clementsowie aż odskoczyli.

- Czy prawdą jest to co mi powiedziano? - zapytał drżącym głosem.

- Nie mam pojęcia, co ci powiedziano, Jacku. Zresztą cokolwiek byś usłyszał, to i tak nie twój interes.

- Pokażcie mi dziecko! - wrzasnął Christopher i groźnie podniósł rękę. - Dajcie mi sprawdzić czy nie jest to Chrystusowe Dziecko, bo jeśli tak, to nie macie do niego żadnego prawa.

- Jack, trzymaj się od nas z daleka. - George Clements głośno przelknął ślinę.

- To dziewczynka, nasza dziewczynka.

- Łiesz!

- Przekonaj się sam. - Brenda wysunęła przed siebie dziecko, które zajaśniało w promieniach księżyca wpadających przez wysokie okno. - Patrz, to jest dziewczynka.

Jack Christopher zawył dając upust swej złości. Patrzył z niedowierzaniem, pragnąc dziecka

**zmienić pleć, obdarzyć je pięknem, a zło przemienić
w dobro.**

Nagle dziecko otworzyło oczy i przeszło go palącym spojrzeniem, które niosło w sobie nienawiść. Odetchnęło, a para i wydobywająca się z jego ust zgnilizna uniosły się w powietrzu.

- To nie jest wasze dziecko - wycharczał Christopher odzyskując mowę. - To stwór Szatana, zrodzony z jego nasienia. Rzucono na nie czary, opęta nas wszystkich. Musi umrzeć, zanim nie będzie za późno.

Dziecko najwyraźniej usłyszało i zrozumiało jego groźbę. Rozwrzeszczało się ostrym, wibrującym głosem, w którym nie było strachu, lecz jedynie wściekłość, rozjuszona niemożliwością zaatakowania przeciwnika. Dziecko zaśliniło się i wyrывało na wszystkie strony, tak że omal nie wyslizgnęło się Brendzie z rąk. Złapała więc je mocniej i przytuliła do siebie z czułością. Lecz ono nadal zmagало się z nią i nieustannie krzyczało.

- Idź stąd, Jacku - wystraszony George Clements raczej poprosił niż zażądał. - Twoje groźby nie działają na mnie, a jeżeli będziesz je kontynuował, wezwę policję... jak tylko zadziała telefon. Słaba to była pogroźka, gdyż tamten nie zawahałby się pozabijać ich wszystkich, jeżeli zaszłaby taka potrzeba. Clements modlił się, żeby Jack nie wyrządził dziecku krzywdy, żalując, że nie ma pod ręką jakiejś broni.

Christopher zamilkł. Jego twarz znowu schowała się w cieniu. Dziecko przestało płakać i słychać było jak oddycha. Wówczas bez słowa Jack

Christopher odwrócił się i poszedł pospiesznie po schodach na

górze. Clementsowie pozostali na miejscu, wsłuchując się przez chwilę w milknące kroki.

- Jack jest niebezpieczny - rzekła Brenda, gdy dotarli do swojego brudnego mieszkania, gdzie w rogu stało już przygotowane sosnowe łóżeczko. - Miał zamiar skrzywdzić Elspeth.

- Musimy być czujni - odparł George. Oczy zaszyły mu mgłą. Zanim Elspeth będzie nasza musimy spłacić dług. Ta mała Rose nie może opuścić tego domu. Rozumiesz, Mamo? Nie możemy dopuścić do jej wyjazdu.

- Jest za bardzo chora jak na taką wyprawę.

- Przeniosą ją przez śnieg - uciął krótko. - To w tym mężczyźnie, Pughu, czai się prawdziwe niebezpieczeństwo. Uparł się, żeby zabrać ją stąd za wszelką cenę. Z matką sobie poradzimy, ale ten Pugh...

- Dlaczego Mistrz nie skończy z nim? Czyż nie ma go tutaj. Mógłby go zabić, gdyby tylko zechciał.

- To nie jest takie proste - odparł George tonem jakim wyjaśnia się dzieciom trudne sprawy.

- Jego dusza zagarnęła ciało Harrego, co było błędem, gdyż Harry i tak by umarł. Duch co prawda opuścił je, lecz wstąpił teraz w ciało naszej córki. Dziecku trzeba czasu, żeby stało się kobietą i dopiero wówczas posiadać pełnię swojej mocy. Przez ten okres musimy czuwać nad nią, jak rodzice, którym Wszechmocny powierzył pieczę nad dzieckiem, nad Elspeth. Jesteśmy jego wybranymi sługami. Mistrz żąda życie za życie, a

**my musimy wykonać ten rozkaz. Ta noc jest
jedynie początkiem. Musimy**

poświęcić dziewczynkę o imieniu Rose, niestety, Jack również musi zginąć, a także Pugh, jeśli okaże się to konieczne.

Skinęła głową w milczeniu. Nie była w stanie tego wszystkiego pojąć. Wiedziała jedynie, że mieli Elspeth i że tym razem już jej nie oddadzą, bez względu na wszystkie konsekwencje.

Rozdział czternasty

Alison Darke-Smith była skonsternowana i całkowicie odrętwiała po urodzeniu tego okropnego stworzenia, które nie przypominało normalnego dziecka. Już w kilka chwil po porodzie rozwiały się jej marzenia o macierzyństwie. Nie rozumiała, co się właściwie stało i nigdy chyba tego nie pojmie.

Jak mogła urodzić córkę Clementsów, jeżeli ani razu nie współżyła z Georgem. Budził w niej odrazę, podobnie jak Jack i Harry.

Jack był obłąkany i ona też musiała być, bo uwierzyła, że Chrystus jest w niej. Z obydwu możliwości jedna była prawdopodobna - że została dziewicą. Przecież, jak głosi historia ludzkości, tylko jedna dziewica wydała na świat dziecko. Nienawidziła Jacka za całe to szachrajstwo. Zresztą wszyscy knuli przeciw niej intrygi i to było przerażające. Ale najgorsze przyszło dopiero podczas porodu. Alison włączyła światło. Blask elektrycznej lampy rozjaśnił pokój.

„Proszę, nie zostawiaj mnie samej”. - Chciała zawołać Barbarę Withernshaw, lecz w porę zreflektowała się. Nie chciała widzieć nikogo. Na myśl o tym, co się zdarzyło traciła zmysły z przerażeniem.

Gdy dziecko było już w drodze, a Barbara krzyczała: „przyj!”, dziewczyna skupiła swój wzrok na geometrycznym wzorze tapety, który pod wpływem

bólu rozmazywał się, kurczył i zatracił kształt w jej oczach. Przyglądała mu się uważnie. Przybierał znajomą formę, taką jak wtedy, choć wówczas nie miało to dla niej większego znaczenia. Całą tę wizję składała na karb roztrzęsionego umysłu.

Na ścianie, poniżej ramy obrazu, znajdowała się ręka. Jej czarny kontur z poruszającymi się palcami przypominał pająka polującego na muchy. Nie bała się. Ogromnie ją to zaniepokoiło. Ręka zsuwała się w dół po linii prostej, w kierunku podłogi. Obraz znów stał się zamazany a kiedy odzyskał przejrzystość, nie było już śladu ręki. W geometrycznym wzorze zabrakło jednego ogniwa.

Było już prawie po wszystkim. Alison odetchnęła i zebrała wszystkie siły. I wtedy poczuła wewnątrz lodowate palce przemieszczające się w górę. Myślała, że to Barbara, gotowa do przyjęcia dziecka, bo nie mógł to być ktoś inny. Vera odeszła. Był, co prawda, jeszcze jakiś mężczyzna, ale stał przy drzwiach. Palce nadal przesuwały się i, mroząc jej ciało, parły do celu.

Czuła ten dotyk już wcześniej, jeszcze zanim wniknął w jej ciało i napelnił łono palącym zimnem. Alison krzyknęła i próbowała wyrzucić z siebie rękę. Zdawała sobie sprawę, że dziecko przyszło na świat razem z nią. Kiedy odzyskała przytomność, po tym, jak jej umysł zapadł w próżnię, w której nie było ani bólu, ani strachu, wciąż jeszcze pamiętała o tym zdarzeniu. To ta ręka uczyniła dziecko takim, jakie było. I ona nie chciała już go więcej widzieć.

Alison znów rozejrzała się po oświetlonym mieszkaniu, bojąc się, że znów zobaczy cień ręki. Widząc dokładnie wzór na ścianie odetchnęła z ulgą. Niczego w nim nie brakowało. Widocznie ci ludzie coś jej zrobili. Znienawidziła za to ich wszystkich.

W korytarzu zadudniły czyjeś kroki. Wsłuchiwała się w nie. Ktoś schodził po schodach. Potem usłyszała krzyk, schyliła się, rozpoznała bowiem głos Jacka Christophera. Po krótkiej ciszy usłyszała, że wraca. Kroki zwolniły, w końcu zatrzymały się. Kiedy opadła klamka i zaskrzypiały drzwi, naciągnęła na siebie kołdrę. Nie widząc go, czuła, że był w pokoju.

Leżąc pod kołdrą zamknęła oczy. Serce biło jej ze strachu i poczuła mdłości. Bała się Jacka. Bała się, że ją zgwałci. Była dziewicą i nie robiła takich rzeczy.

Alison słyszała, że Jack ciężko dyszy,

- Alison? - powiedział cicho - Alison?
- Ja śpię odejdz stąd.
- Głupia! Muszę z tobą pomówić.
- Nie chcę rozmawiać. Zostaw mnie!
- Chcę cię zobaczyć. Usiądź!

Posłuchała go wbrew swojej woli. Odrzuciła pościel, zapominając o tym, że jest zupełnie naga. Odkryła swoje jędrne piersi, zakończone twardymi, różowymi sutkami. Walek tłuszczu zakrywał jej pępek. Zacisnęła ubrudzone krwią uda, nie dlatego, żeby Jack jej nie zobaczył, ale z bólu.

**Patrzyła na niego zdumiona, bo nie robił tego,
czego się spodziewała. Wystraszyła się nawet, bo na
jego twarzy zobaczyła strach i smutek. Oczy miał**

czerwone i błyszczące. Ze zdziwieniem stwierdziła, że mimo wszystko jest jej go trochę żal. Podobnie jak Barbara różnił się od pozostałych domowników. Był inteligentny i odcytany.

- Chcę usłyszeć od ciebie prawdę - próbował się uśmiechnąć.

- Tak? spytała i poczuła, że zabrzmiało to głupio, zwłaszcza po tym, jak rodzice rozpaczliwie próbowali ją zmienić.

- Alison - powiedział. Zamknął oczy. Mówił miękko, niemal uprzejmie. - Z kim miałaś stosunek?

Przełknęła ślinę. Wiedziała już, że się rumieni. Nie wiedziała, co powiedzieć, ponieważ Jack oczekiwał od niej szczerego wyznania i odrzuci każde kłamstwo.

Mówiłam już, że jestem dziewicą. Nigdy w życiu nie byłam z żadnym mężczyzną.

- Alison - głos Jacka zabrzmiał ostrzej. Przestał się uśmiechać. - Alison, kłamiesz. Dziewica nie może dać życia Złu. Nie jesteś dziewicą. Chcę wiedzieć z kim byłaś. Odpowiedz mi.

Cofnęła się, jakby te słowa zadawały jej bolesny cios. W oczach zbierały się jej łzy, nie mogła ich powstrzymać.

- Dobrze już - Jack zmienił ton. Może nie pamiętasz, to też jest możliwe. Albo... - pobladł i jego twarz wyrażała teraz bezgraniczne przerażenie. - Albo on dostał się do dziewiczego płodu i zbeczczył go. Jeśli tak się stało, niech Bóg ma nas w swojej opiece!

Jack Christopher stał ze spuszczoną głową. Ah-son zauważyła, że drży.

- Jeśli tak rzeczywiście było - wymamrotał - trzeba było wygnać z siebie ducha zła. Ale teraz jest już za późno, diabeł opuścił twoje ciało. Jesteś teraz tylko splamioną i bezużyteczną powłoką. Nie wiesz, co uczyniłaś. Twoja śmierć nic tu nie pomoże, a wcielonego Szatana trzeba zniszczyć! Wisi nad nami dłoń Lucyfera. Diabeł powrócił na ziemię. Sam Bóg już go teraz nie pokona.

Po jego odejściu Alison długo jeszcze siedziała, trzęsąc się ze strachu. Była tak przerażona, że nie odczuwała zimna. Patrzyła na deseń tapety, czując, że znów się rozplywa i zatracą kształt.

Nie mogli zasnąć. Owain Pugh zrezygnował już po pół godzinie. Bał się nawet zgasić światło. Sytuacja stawała się kłopotliwa. Być może rozmowa o codziennych sprawach pomogłaby im przetrwać tę noc. Owain i Suzannah leżeli jak dwoje dzieci, które po skończonym semestrze, spędzają bezsenną, ostatnią noc w internacie i liczą godziny do świtu.

- Nie mam nikogo, kto by się o mnie martwił - powiedział Owain. Czekaj, co na to powie Suzannah. - Ty, Suzie, masz męża albo przyjaciela.

- Nie, nie mam nikogo - odparła. Jesteśmy z Rose same - i dopowiedziała szeptem - mąż odszedł ode mnie z młodą dziewczyną.

- Przykro mi.

Serce zabiło mu mocniej. „Jesteś tylko przyjacielem, towarzyszem niedoli. Pojutrze wasze drogi rozejdą się” - pomyślał.

- Ja chyba jeszcze nie trafiłem na kogoś odpowiedniego - rzekł.

- A czy w ogóle można wiedzieć, kto jest tym odpowiednim - spytała Suzannah z goryczą w głosie.
- Myślałam, że wiem, potem okazało się, że jestem w błędzie. Mam przynajmniej Rose. A prawda, ty handlujesz książkami - zmieniła temat. Jak się to robi?

- To sposób na zarobienie kilku groszy - odpowiedział i popatrzył na nią. Pomyślał, że może także on czerwieni się teraz, podobnie jak Suzannah. Poczul, że pierwsze lody zostały przelamane. - Tak się składa, że każdy robi to, co go interesuje. Ja zajmuję się science fiction i fantastyką...

- Na miłość boską! Nie wspominaj tylko o horrorze - prawie krzyknęła Suzannah.

- To stopniowy proces. Najpierw zbierasz książki, potem chcesz je wyprzedać, bo jest dużo innych książek, które chciałbyś mieć. Sporządzasz listę książek, które chciałbyś sprzedać i ogłaszasz je. W ten sposób pozbywasz się jednych książek i możesz kupić inne, które także potem sprzedajesz z korzyścią. To wchodzi ci w krew i zanim się zorientujesz, hobby zmienia się w mały business. Kiedyś pracowałem w biurze. Miałem narzeczoną i potrzebowałem stałej pracy, ale gdy zaręczyny zostały zerwane, było mi wszystko jedno. Rzuciłem posadę i zająłem się wyłącznie książkami. Nie zbijam co prawda fortuny, ale jestem za to wolny. Nie jestem przywiązany do biurka od dziewiętej do piątej. Zamiast tego - roześmiał się - pracuję około dwunastu

godzin na dobę i nabijam licznik, poszukując
książek wzdłuż i wszerz kraju.

- To fascynujące ~ powiedziała Suzannah i zaczęła bawić się rękami. - Zawsze uwielbiałam książki. Z przyjemnością obejrzałabym kiedyś twój sklep,

- To nie jest sklep. Załedwie dwa pokoje zastawione regałami pełnymi książek. Ale, oczywiście, cieszyłbym się, gdybym mógł ci je pokazać - powiedział Pugh. Miał jednak nadzieję, że wizyta Suzannah nie ograniczy się tylko do tego.

- Zgoda - Suzannah starała się uśmiechnąć. ~ Rano stąd pojedziemy, najpierw z Rose do lekarza, a potem zajrzemy do twojego sezamu Aladyna.

- Świetnie - przytaknął. Nagle Donnington przestało się liczyć - tak właśnie zrobimy.

Rose obudziła się, usiadła, zmrużyła oczy i rozglądała się wokół niepewnie. Nie okazała zdziwienia widząc, że obok leży na przygotowanym przez siebie posłaniu Owain Pugh.

- Jak się czujesz, kochanie? - Suzannah dotknęła jej czoła i poczuła, że gorączka trochę opadła.

- W porządku, mamo - Rose próbowała się uśmiechnąć - tylko przez moment nie wiedziałam, gdzie jestem. Muszę pójść do toalety.

- Jest na dole, na pierwszym piętrze - powiedziała Suzannah i spojrzała na Owaina. - Może pójde z tobą?

- Nie, nic mi się nie stanie - powiedziała.

wyślizgnęła się z łóżka i bosy podeszła do drzwi.

- Hej, Rose, zaczekaj! - zawołała Suzannah.

- Nie, mam - Rose syknęła. - 'Sama trafię, a w ogóle, to czuję się lepiej.

- No dobrze. Łazienka znajduje się na końcu korytarza. Idź już, pospiesz się. Jest przeraźliwie zimno, a z tobą wcale nie jest lepiej. Jutro czeka nas wizyta u doktora Wildamana ~ powiedziała.

Rose wyszła. Oni zaś słuchali jej kroków.

- Chcesz, żebym cicho poszedł za nią? - spytał Owain.

- I tak i nie - Suzannah uśmiechnęła się niepewnie. - Czasami Rose zachowuje się jak mała dama. Nie cierpi, gdy traktuję ją jak dziecko. Damy jej minutę albo dwie i jeżeli nie zjawi się, pójdziemy.

Owain poczuł się nieswojo. Został w Donnington, żeby je chronić, a teraz pozwala, żeby Rose chodziła sama po tym niesamowitym domu. Pocięszal się jednak, że Rose zaraz wróci. Oboje z Suzannah nasłuchiwali w ciszy. Być może ta szalona noc skończyła się wreszcie i wszyscy poszli spać.

Rose szybko zeszła na dół. Byłaby zła, gdyby matka lub Owain poszli za nią. Miała przecież czternaście lat, była w trzeciej klasie i prawie zdała już egzamin czwartego stopnia z pianina, czuła się więc bardzo dorosła.

W toalecie, na końcu korytarza, paliła się lampa rzucająca cień na zamrożoną szybę nad drzwiami. Rose nie mogła już dłużej czekać. Przeszła z nogi na nogę, zastanawiając się, czy nie ma jeszcze jednej ubikacji na parterze. Gdyby jednak była i tak Rose nie miała pojęcia jak ją znaleźć, poza tym bała się pójść tak daleko. Tutaj nie bała się, bo mama była blisko. Nagle usłyszała odgłos pocią-

ganego łańcucha. Potem zgrzytnęła zasuwę i drzwi otworzyły się.

Dziewczynka nie zastanawiała się, kto mógł tam być. W hotelach zawsze przechadzali się obcy, na których nie zwracała uwagi, jednak gdy zbliżyła się do drzwi ubikacji, przystanąła zdumiona: w drzwiach stała Brenda Clements.

- Czy to nie mała Rose? - uśmiechnęła się.

Nie była podobna do tamtej ponurej kobiety, która rzucała amoniakiem i gotowała w wysokich gumiakach na nogach. Pani Clements miała teraz na sobie wypłowiałą niebieską suknię i takiego koloru pantofle. Włosy splotła w kok. Jak na Donnington była elegancka. Wzbudzała nawet zaufanie Rose.

„Wygląda zupełnie tak jak babcia” - pomyślała dziewczynka.

- Słyszałam, że zachorowałaś, Rose - powiedziała Brenda - czy czujesz się już trochę lepiej?

- Tak, dziękuję. Ale teraz proszę mnie przepuścić. Strasznie uwiera mnie pęcherz.

- Przykro mi, ale toaleta nie działa - poinformowała pani Clements.

- Słyszałam wodę - stwierdziła Rose.

- Sprawdziłam spluczkę. Nie działa jednak dobrze. Myślę, że przewody pozamarzały. Pan Ainslow musi rano coś z tym zrobić. Ale jeśli pójdziesz ze mną, możesz skorzystać z naszej prywatnej toalety na dole.

Rose zawahała się. Poczula świdrowanie w brzuchu. Nie sądziła, żeby toaleta była zepsuta, słyszała

przecież działającą spluczkę. Stała się podejrzliwa; już miała odwrócić się i uciec na górę, ale wypełniony pęcherz zatrzymał ją.

„Muszę tam iść, nie wytrzymam dłużej” - pomyślała.

Brenda stanęła tuż obok i grzecznie, ale zdecydowanie wzięła ją za rękę.

- Chodź kochanie, chodź ze mną, ulżysz sobie i będziesz mogła pójść z powrotem do mamy i taty - powiedziała.

- Pan Pugh nie jest moim tatą - odparła Rose.

- To ktoś, kto z nami jest. Śpi w naszym pokoju, ponieważ... pilnuje nas.

Brenda sprawiała wrażenie osoby apodyktycznej, która nie toleruje dyskusji z dziećmi i nie znosi sprzeciwu.

- No tak, nie jest twoim tatą, ale jest razem z twoją mamą - odparła pani Clements i uniosła brwi.

- Obawiam się, że jest to wbrew obowiązującym przepisom. Jeżeli para nie jest małżeństwem, nie ma prawa sypiać razem. - Moja mama nie robi takich rzeczy! - odparła Rose ze złością.

- Z pewnością, ale to jest wszystko jedno, skoro to postępowanie nie odpowiada przepisom. - Brenda wzmocniła uścisk na ręce dziecka.

- Chodź, pospieszmy się.

Rose chciała wyrwać się i uciec, ale nie śmiała. Nie chciała robić niepotrzebnego zamieszania. Pomyślała, że skorzysta jedynie z ubikacji i prędko wróci do pokoju.

Elsbeth. Alison nam ją oddała - powiedziała pani Clements.

Mężczyzna nagle wstał. Jego twarz przybrała wyraz nieustępliwego rozkazu, jakby miał za chwilę krzyknąć: „Musisz ją zobaczyć! I nie obchodzi mnie czy tego chcesz, czy nie!

Rose przełękła się.

- Mamusia będzie się denerwować! - prawie krzyknęła i czując narastające napięcie, dodała szybko szeptem - mówiła, żebym szybko wracała...

- Nie będzie się martwić. - Głos Brendy, nienaturalnie wysoki, brzmiał teraz złowieszczo i ironicznie. - I co myślisz o naszym kochanym małżeństwie?

Rose zdrewniała, brakło jej tchu. Widziała drobną twarzyczkę dziecka, siną, wykrzywioną nienaturalnym grymasem, podobną do strasznej, nieruchomej indiańskiej maski. Obrzmiałe wargi ociekały gęstym, żółtym śluzem. Przerażonej Rose przemknęła przez głowę myśl, że z tym strasznym stworzeniem coś jest nie w porządku.

- No i jak ci się podoba? - usłyszała głos Georga.

„Jest okropne!” - pomyślała. Chciała odwrócić głowę, ale to oznaczałoby stanąć twarzą w twarz z dwojgiem przerażających ludzi. Zadrzała. Nagle spod dziecinnego kocyka wysunęła się powoli w kierunku Rose cienka, półprzezroczysta ręka dziecka. Okrzyk przerażenia utkwiał w gardle Rose. Nie mogła oderwać wzroku od okropnego kikuta,

**przypominającego wyglądem zniszczoną protezę.
Dziewczyna**

próbowała odwrócić wzrok albo chociaż zamknąć oczy, ale jej własne ciało odmawiało jej posłuszeństwa.

Wydawało się jej, że czas się zatrzymał. Wszystko stało się odległe. Stała nieruchomo, cała jej świadomość skupiła się na postaci dziecka. Czowała, że została zamknięta w próżni, sam na sam z makabrycznym stworzeniem, które groziło jej na swój dziecinny sposób. Wskazywało na Rose ręką bez dłoni, poruszając zaślinionymi ustami. W końcu złowrogą ciszę przerwał straszny nienawistny, bardziej zwierzęcy niż dziecinny krzyk-płacz. Rose zdawało się, że słyszy w przerażających dźwiękach oskarżenie: „To ona! Zabić ją!”

- Nie, proszę, nie! - Rose próbowała oswobodzić z silnego uścisku Brendy wykręcone do tyłu ręce. Walczyła na próżno. Clementsowie śmiali się jak obłąkani. W ich demonicznym śmiechu odczytała wyrok: zwabili ją tu specjalnie, nie wyjdzie już stąd żywa. Poczowała, że odpływa, traci przytomność, zatapia się w ciemnej mgle.

- Co, u diabła, się tu dzieje!?! - krzyknął nagle czyjś głos.

Rose sądziła, że przeżywa agonię, jak w nocnym koszmarze. Ten nagły krzyk uświadomił jej, że wszystko działo się naprawdę. Clementsowie puścili jej ręce. Nie całkiem jeszcze przytomna upadła na podłogę.

Podnosiła się z trudem. Dziecko wciąż wrzeszczało. Wiedziała, że za wszelką cenę należało unikać

**jego spojrzenia. Odwróciła wzrok i... zobaczyła
stojącego w drzwiach Owaina Pugh. Był wściekły.**

— Co pan tu robi? - krzyknęła Brenda, jakby próbowała mu grozić - nie ma pan prawa...

- To wy nie macie prawa dotykać Rose! - wrzasnął, odepchnął Clementsów zagrażających mu drogę ku dziewczynce. Pomógł jej wstać i przygarnął ją do siebie opiekuńczym gestem. - Wezwę policję! - Starał się przekrzyknąć płacz dziecka, aby jego głos mógł dotrzeć do innych mieszkańców.

- Chcieliśmy tylko pokazać Rose nasze maleństwo - George Clements udawał, że uklada dziecko w łóżeczku. - A ona zaczęła krzyczeć i, nie wiedzieć czemu, wystraszyła się. Sam pan wie, że ona nie czuje się dobrze. Omal nie zemdlą, w samą porę przytrzymaliśmy ją. To pan nas naszedł!

- Dostaniecie za swoje, jeżeli jeszcze raz ośmielicie się ją tknąć! - Owain zacisnął pięści, w ostatniej chwili powstrzymując się od zadania ciosu pobjad-lemu Clementsowi.

- Ty gnido - syknął - ty i twoja żona, zdolni jesteście do najgorszego!

- Nie ma się o co awanturować. - Próbowała uspokajać Pugha Brenda, ale mimo całego jej opamiętania, w jej oczach widać było strach. - My przecież kochamy dzieci. Czy moglibyśmy wyrządzić krzywdę Rose, kiedy zaopiekowaliśmy się dzieckiem Alison?

- Nie wiem w co gracie! - odparł Owain, kierując się wraz z Rose ku drzwiom. Przed wyjściem odwrócił się raz jeszcze. - Mogę jedynie

**przypuszczać, co dzieje się w tym strasznym domu.
Przeraża mnie**

to! Przysięgam, że poskręcę wam te cholerne karki, jeśli jeszcze raz was przyłapię! - krzyknął i widać było, że nie żartuje.

A pan śpi w jednym pokoju z matką małej! - wrzasnęła Brenda. - Kurwiarz! nie pod moim dachem! Myśh pan, że tu jest burdel?

- Myślę, że jeszcze coś gorszego - odrzekł z zimną krwią Owain. - W tym domu rządzi Zło, dlatego wszyscy troje ruszamy stąd rankiem, nawet gdybyśmy mieli brnąć po szyje przez zaspy. Do tego czasu radzę wam jednak schodzić mi z drogi, bo nie odpowiadam za siebie.

Wziął Rose na ręce, wybiegł na hall i kopniakiem zatrzęsął za sobą drzwi. Idąc w kierunku schodów myślał o tym, co zobaczył. Przypomnił sobie twarze Clementsów w chwili, gdy wpadł do pokoju, a oni trzymali dziewczynkę przy łóżeczku dzieciennym. Nie mógł się mylić, widział, że na ich twarzach odbijała się żądza krwi, byli zdolni do zabicia Rose. Fakt ten już sam w sobie był straszny. Owain nie mógł znieść tej myśli i nie miał odwagi opowiedzieć tego zdarzenia Suzannah. Teraz trzeba błagać Boga, aby Rose- się nie domyśliła, co naprawdę się z nią działo. Zdawał sobie sprawę z tego, że najgorsze kryło się w tamtym dziecku. Widok jego zdeformowanej twarzy zmroził Owainowi krew w żyłach. Dzięki Bogu udało mu się uwolnić od tego fatalnego widoku. Gdyby się otrząsnął tylko kilka sekund później nie zdołałby już wyrwać Rose straszliwemu przeznaczeniu.

Nie było wątpliwości, piekielne dziecko domagało się jej śmierci. Żądało makabrycznej ludzkiej ofiary.

Był już w pobliżu schodów, gdy z góry dobiegł go krzyk Suzannah.

Vera Brown leżała w swoim pokoju.

„Mam nadzieję, że dziecko umrze! Na pewno nie będę miała własnego, a jeśli tak się zdarzy, wykradnę je w nocy i wrzucę do rzeki rybom na pożarcie. Nikt się o tym nigdy nie dowie” - rozmyślała.

Skuliła się pod kołdrą i owinęła dodatkowo podmką. Było bardzo zimno. Zabawiała się wydmuchując parę z ust i gdyby tak szybko nie znikala, mogłaby wypełnić nią cały pokój.

Ukradkiem rozglądała się po pokoju, przywołując w pamięci cień ręki. Najstraszniejsze, że dotknęła ją właśnie tam i krążyła w niej jakby w poszukiwaniu czegoś, a kiedy tego nie znalazła, ścisnęła jej wilgotne wnętrze w złośliwym, lodowatym uścisku. Vera myślała nad tym, gdzie się ta ręka podziała. Przecież nie mogła tak po prostu zniknąć.

Usiłowała zapomnieć o tym okropnym przeżyciu. Stało się dla niej oczywiste, że ciocia Barb już jej nie będzie tak kochała, bo pojawiło się dziecko Alison. A to stawiało pod znakiem zapytania jej dalszy pobyt tutaj. Zresztą i tak nie podobało jej się aż tak bardzo. Owszem, miała zapewnione wyżywienie, przez większość czasu było jej ciepło i miała własne łóżko, a przy tym

**wszystkim nic to nie kosztowało. Za wszystko
płaciła ciocia Barb, tak samo jak płaciła za pobyt
Freda Ainslowa.**

Dziewczynę zaintrygowało dlaczego tak się działo. Barbara Withernshaw nic z tego przecież nie miała, wręcz przeciwnie. Niosła miłosierdzie, przygarniając pod swe skrzydła wszystkich bezdomnych włóczęgów. Walter Gull był jednym z jej „odkryć” i wiele dobrego zrobiła dla tego starego skurwiela, a ten wpadł prosto pod kola ciężarówki. Ale przecież on chciał stąd odejść i przynajmniej próbował coś zrobić. Vera usiłowała przypomnieć sobie, jak długo trwał jej pobyt w Donnigton i stwierdziła, że chyba stanowczo za długo.

Z trudem przypomniwała sobie poprzednie lata. Mieszkała w szeregowym domku ze swoją prawdziwą ciotką, która tłukła ją za każdym razem, kiedy robiła coś nie po jej myśli i trudno było przewidzieć, co ją rozzłości właśnie tego dnia. Otrzymywała zazwyczaj ciosy zadawane pięścią prosto w twarz. Vera potarła ostrożnie nos, który kiedyś złamała jej ciotka. Również z jej przednich zębów jeden lekko się ruszał, ale ona nauczyła się gryźć nim. Ciocia Barb nigdy jej nie uderzyła i okazywała jej miłość w chwilach, w których potrzebowała tego najbardziej. Miała świadomość, że po narodzeniu się dziecka, będzie na straconej pozycji.

W taki oto sposób stopniowo dojrzała do decyzji opuszczenia hotelu. Chciała zrobić to w nocy nikogo nie uprzedzając. Kiedy zasnęła jej szukać zdąży odejść tak daleko, że będzie już bezpieczna. Doprawdy nie miała tu po co zostawać.

Wyszedłszy z łóżka podeszła do szafy i zaczęła

wybierać rzeczy na drogę. Wzięła parę brudnych dzinsów i ocieplacze. Był to urodzinowy prezent od ciotki Barb i pomyślała, że dzięki niemu nie zamrznie w śniegu. Jeden z jej gumowych butów miał niewielkie pęknięcie, ale nie miało to dla niej większego znaczenia. Wyjęła jeszcze stary płaszcz do kostek, który dopełnił ekwipunek na podróż w zimową, śnieżną noc.

Podeszła do okna, lecz nieprzejrzysta warstwa wzorzystego lodu zasłaniała jej widok. Zeskrobała go nieco, i dopiero wówczas zadała sobie pytanie, dokąd pójdzie. Musiała się nad tym poważnie zastanowić. Miała pocztową książeczkę oszczędnościową, a na niej prawie sto funtów. Wiedziała, że na początek wystarczy jej pieniędzy. Zawsze też mogła podjąć pracę. To uspokoiło ją ostatecznie.

Była już prawie przy drzwiach, gdy zatrzymała się i pomyślała, że Fred także chciałby stąd odejść. Ostatnio przeklinał władczy charakter cioci Barb i miał już po dziurki w nosie gotowania za darmo. Vera chciała natychmiast pójść po niego, lubiła go i wydawał się jej całkiem miły, najbardziej wtedy, kiedy sobie trochę wypił.

Ale nie zastała Freda Ainslowa w jego pokoju i wszystko wskazywało na to, że nie spał tam dzisiejszej nocy. Kogoś z zewnątrz mógł zmylić widok wygniecionej, brudnej pościeli na nie zasłanym łóżku, lecz Vera nie dała się na to nabrać. Jeżeli Fred był w pobliżu, to musiał wyskoczyć do ubikacji, otworzyć kolejną puszkę eksportowego

**piwa i dalej ćmić papierosy, strząsając z nich popiół
do wypełnionej po**

brzezi popielniczki. Drugą ewentualnością było to, że siedział w kotłowni, gdzie było ciepło i przyjemnie.

Lekko zbiegła po schodach. Zza zamkniętych drzwi sypialni dochodziły odgłosy, które teraz niewiele ją obchodziły.

Zeszła do suterenu. Odwróciła wzrok od drzwi pokoju Harrego, a dreszcze przeszły jej ciało na myśl o leżącym tam trupie. Dotarła do krótkiego przejścia, zakończonego źle zamocowanymi drzwiami. Musiała użyć całej siły, by ustąpiły ze zgrzytem. Zajrzała do środka i znowu poczuła strach na myśl o kolejnym trupie.

Szła po omacku wzdłuż ściany, dopóki nie znalazła włącznika. Kotłownia rozświetliła się bladą jasnością słabej żarówki. Wszędzie unosił się pył węglowy. Na podłodze stał staroświecki kocioł, a jego otwarte drzwiczki pozwalały dojrzeć płonący ogień. Na ziemi pod brudnym granatowym płaszczem leżała skulona postać.

Vera odskoczyła, bo rozpoznała Freda Ainslowa. Nie mogła się mylić co do jego sylwetki, nawet przykrytej płaszczem, ale czyżby...

- Fred! - Jej szept odbił się od czarnych ścian. Czekala wypatrując jakichkolwiek oznak życia, gotowa rzucić się do ucieczki. - Fred?

- Uhm? - Spod ściągniętego na ceglaną podłogę płaszcza wyjrzała biała twarz starego mężczyzny, a jego bezzębne usta wykrzywiły się w uśmiechu. Jej wzrok spotkał spojrzenie zapadłych oczu Freda, który spoglądał na nią jak na intruza.

- Vera, co ty tutaj robisz?
- Szukam ciebie, Fred. Nie było cię w pokoju.
- Jasne, że nie było - zaśmiał się prostacko i zakaszłał. - Gdybym był tam, to nie byłoby mnie tutaj, no nie? Czego ode mnie chcesz?

Z Fredem należało przejść od razu do rzeczy, oznajmiła więc stanowczo.

- Chodź, Fred.
- Że co? - zapytał ze zdziwieniem owijając szczerze płaszcz wokół ciała.
- Odchodzę. Natychmiast.
- Dlaczego?

- Nienawidzę tego miejsca. Nienawidzę cioci Barb i całej reszty, nie kocha mnie już od kiedy pojawiło się to przeklęte dziecko.

- Wkrótce zmęczy się tym dzieckiem - wyciągnął z kieszeni niedopalonego papierosa, uderzył zapalką o paznokieć i zapalił.

- Wszystko będzie dobrze, mówię ci.
 - Nie będzie. Odchodzę, Fred.
 - A dokąd idziesz? - przyjrzał jej się uważnie.
- Jest głęboki śnieg, nie wydostaniesz się stąd i zamarzniesz na śmierć. ,

- Nie zamarznę, a zresztą i tak nie dbam o to - omal nie krzyknęła. - Ale byłoby miło mieć kogoś ze sobą. Ciebie też tutaj nie lubią, Fred, ty także nie masz po co tu zostawać.

- Tu jest przynajmniej ciepło - wskazał kciukiem na tłący się ogień. - Cholera, prawie wygaś. Trzeba dorzucić węgla do pieca.

- Teraz już lepiej. A więc odchodzisz? No cóż, mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Chcę, żebyś ze mną poszedł, Fred - wyszeptala błagalnie drżącym głosem. - Proszę, wujku Fredzie.

Nie odpowiedział od razu, rzucił z hukiem szufładę na ziemię i znów usiadł. - Wiesz, Vera - zmierzył od góry do dołu jej wiotką sylwetkę - ty i ja... z twoim wyglądem i moim rozumem, pomyśl tylko, co razem moglibyśmy spłodzić! - Zaśmiał się gardłowo, starając się w tym niby żarcie ukryć to, o czym naprawdę myślał.

Vera zeszywniała i instynktownie odsunęła się. - Nie! - Zajęczała. - Ja... ja nie chciałabym nic takiego robić, Fred. Nawet jeśli poszłobyśmy razem, nie moglibyśmy... Głos jej zamarł.

- Rób jak uważasz, ale przyjemnie o tym czasami porozmyślać. Tym bardziej że pokazałaś już nam, co potrafisz.

- Nie zrobię tego więcej - odpowiedziała. - Nigdy już nie dotknę siebie po tym wszystkim.

- Po czym?

- Nieważne. - Była jeszcze bledsza niż zwykle, zza grubych szkieł widać było jej ciemne oczy, rozwarłe szeroko ze strachu.

- Odchodzę, Fred. Po prostu chciałam się pożegnać - odwróciła się, nieomal wybiegła zatraskując za sobą drzwi.

- Hej, poczekaj... - Fred Aislow chciał podążyć za nią, ale rozmyślił się i z powrotem zajął miejsce na podłodze. Po jaką cholere miał ją gonić. Zdaży zmie-

nić zdanie zanim dojdzie do końca podjazdu. Jutro rano zapewne znów zobaczy ją w jadalni jedzącą otręby, a Barb jak zwykle będzie krzyczeć, żeby wyjęła ręce spod spódnicy.

Suzannah omal nie oszalała z przerażenia, gdyż Rose nie było dziesięć minut. Zdawało się jej, że minęła godzina. Pomyślała, że zasłała w toalecie. Mogła też pójść nie tędy, co trzeba i zgubić się. Co prawda poczuła ulgę, gdy Owain udał się na poszukiwanie, lecz powinien już dawno tu być, zdążyłby przetrząsnąć cały dom. Rozważała wszystkie możliwości, kiedy usłyszała kroki na piętrze. Po chwili zatrzymały się przed jej drzwiami. Cisza trwała dwie, trzy sekundy. Rozbudzona w niej nadzieja stopniowo zaczęła ^jrzycząć. Może Owain nie znalazł jej dziecka i bał się wyznać prawdę.

Drzwi otworzyły się.

- Owain, czy wszystko...? - pierwszym odruchem była chęć ucieczki. Próbowwała odwrócić wzrok, ale bała się spuścić z oczu przybysza, którym okazał się zupełnie nagi Jack Christopher.

Chciała go skrzyczeć, nastraszyć policję, Owainem, czymkolwiek. Zdołała zaledwie jęknąć i przytrzymać się toaletki na wypadek, gdyby miała zemdleć.

- Sięgnęli po Dziecko Chrystusowe jeszcze w łonie - wytrzeszczone oczy Jacka Christophera błyszczały, a ledwie widoczne usta poruszały się. - Szatan poraził mizerne dziecię, nasienie diabła dostało się do łona i skaziło je. Jest już za późno na

**interwencje, zostałem tylko ja. Trzeba natychmiast
począć inne**

dziecko. Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy, wypełniam tylko wolę Boską.

- Trzymaj się ode mnie z dala - cofnęła się kilka kroków, podchodząc do łóżka, na które omal nie upadła. - Jak śmiesz mnie dotykać, ty plugawy zbrojeńcu!

Wyciągnął po nią rękę, ale rozpaczliwie kopnęła go stopą w udo. Zatoczył się i wtedy Suzannah rzuciła się do drzwi. Nie doceniła go jednak, gdyż chwycił ją i zacisnął palce na jej ramieniu przyciągając do siebie. Czula na twarzy jego oddech, gorący i nieświeży. W wylupiastych oczach ujrziała oszalałą żądzę.

Jack rzeczywiście wpadł w szal, jego fanatyczna wiara skruszyła się i szukał teraz zadośćuczynienia za katastrofalną stratę.

Drugą ręką chwycił ją za włosy, odchylając głowę tak, że ich usta niemal się dotykały.

- Kobieto, zostałeś wybrana przez Ojca Wszchemogącego, żeby urodzić Mu syna. Połóż się ze mną i stań się święta!

Ogarnięta paniką, Suzannah walczyła zapamiętała i znów uniosła kolano czując, że trafiła w cel. Jego pożądliva twarz wykrzywiła się z bólu a kiedy uścisk na jej ramieniu osłabł wyrwała się i rzuciła na oślep do drzwi.

Wydostała się na zalany księżycowym blaskiem korytarz i pobięła w kierunku schodów ledwo utrzymując równowagę na śliskiej podłodze. Słyszała za sobą ciężki oddech Jacka. Dobięła do pierwszego

stopnia, gdy złapał ją. Wyglądał jak dziki ogier.

Przyparł ją udami do balustrady, zacisnął ręce na nadgarstkach i omal nie przełamał jej do tyłu. Woląta skoczyć i oddać się śmierci anizeli jemu.

Nie mogła zrozumieć jak to się stało, ale jej przeciwnik prześlizgnął się po jej spoconym ciele i poleciał w dół. Spadał na niższe piętra coraz szybciej, wydając głuchy łomot, aż uderzył w podłogę w suterenie.

Poczuła jak jego dusza gwałtownie wyrwała się z martwego ciała i przemknęła obok niej.

Suzannah czym prędzej zbiegła na dół. Sparaliżował ją strach z powodu tego, co się jej przytrafiło, ale bardziej niepokoiło ją zaginięcie Rose. Nagle w srebrzystym świetle na schodach dojrzała Owaina, trzymał na rękach Rose znów zjawiając się jak rycerz - wybawca.

- Suzie - zawołał, nic ci się nie stało? - Jednocześnie dziękowała niebiosom za to, że ją odnalazł.

- Owain, Rose! Pośpieszyła do nich płacząc ze szczęścia. - Och, dzięki Bogu, wszystko już dobrze.

- Co się stało? - zapytał bojąc się usłyszeć odpowiedź.

- To Jack Christopher - wyszeptala. Roztrzaskał się spadając ze schodów. Myślę, że ten obłąkany człowiek spoczywa już w pokoju.

Rozdział szesnasty

- Nie żyje - oznajmił George Clements, z nieukrywaną radością. - Głowę ma roztrzaskaną tak, że ledwo go można poznać.

- Kto? - Brenda Clements spojrzała znad łóżeczka.

- „Jezus Chrystus” we własnej osobie. Musiał spaść ze schodów.

Przyjrzała się dziecku, George mógł dosłyszeć jego sapiący oddech, grzechot i bulgot flegmy w drobnych płucach.

- George - cichy głos Brendy drżał z przerażenia. - Myślę... że Elspeth umiera!

'Oszłomiło go to, co mu powiedziała. Zakolysał się i przytrzymał krzesła, żeby nie upaść. Wysunął głowę do przodu.

- Nie, to niemożliwe... ona nie może umrzeć... jest nieśmiertelna.

- Chodź i zobacz - pochyliła się. - Potrzebujemy lekarza, George.

- Żaden doktor nie będzie badał naszego dziecka. Elspeth nie potrzebuje lekarzy. Będzie dobrze. - Zbliżył się przerażony i przewyciężając strach spojrział do łóżeczka.

Twarz dziecka była sina z wysiłku. Przy każdym oddechu z ust i nosa wypływał gęsty śluz. George spojrział w otwarte oczy dziecka, które zdawało

się widzieć i wszystko rozumieć. Mówiło mu, że jest to dla nich rodzaj sprawdzianu, próba, w której mieli wykazać się wiarą w Mistrza Ciemności. Oczy nowo narodzonego płonęły jak węgle i zdawały się mówić: „Ojczy, dotknij mnie”.

George. aż skurczył się, ale tamte oczy go nie opuszczały. Komenda została wydana! Z trudem wysunął drżącą dłoń. Przypominał człowieka, któremu rzucono wezwanie, aby pogłaskał odrażającego gada. Wyciągnął palce. Oczekiwał ciepła ciała rozgorączkowanego dziecka, spoconego od wysokiej temperatury. Zamiast tego poczuł zimne, wręcz lodowate ciepło, które mogło już teraz być trupem.

George Clements szybkim ruchem cofnął rękę, ale nie był w stanie odwrócić wzroku od oczu dziecka. Jego spojrzenie kpilo z niego wołając: „Umieram, ojczy!”

- Co zrobimy, Mamo? - zapytał bezradnie.

- Nie wiem - nie podniosła wzroku. - Możemy jedynie trzymać ją w ciepłe i czekać.

- Ten pokój zamarza - odsunął się i dotknął staroświeckiego grzejnika. Był ciepły, ale podobnie jak w pokoju Harrego nie rozchodziło się od niego ciepło. Elspeth nie może umrzeć, po tym, jak jego widzenie stało się rzeczywistością. Mistrz po prostu poddawał ich próbie. Powinni coś zrobić, ale naprawdę nie wiedział co.

Na dworze wzmógł się wiatr, wyjąc na polach za domem. Ale poza dzieckiem zrodzonym z nasienia

**Szatana i kobiety, która je urodziła, nic nie miało
znaczenia.**

- Wiem - przyszła mu do głowy pewna myśl. -
Przyprowadzę matkę.

- Ja jestem jego matką - zabrzmiała posępna
odpowiedź.

- Tak, tak - odrzekł pospiesznie, jak gdyby
bojąc się urazić niewidzialną moc, która mogła ich
słyszeć.

- Mam na myśli dziewczynę, która urodziła dla
nas Elspeth. Ona mogłaby wiedzieć, co robić. Może
mleko z jej piersi...

Brenda nie odpowiedziała, chyba nawet nie do-
słyszała go. Odezwał się zdławiony głos dziecka,
które jakby usiłowało wypluć płuca. Jego oddech
stawał się coraz słabszy, więc George szybkim kro-
kiem skierował się do drzwi. Potrzebowali pomocy i
Alison mogła im ją okazać. Postanowił nawet zmu-
sić ją, gdyby nie zechciała przyjść. Szybko wchodził
po schodach przytrzymując się poręczy. Znow przy-
pomniał sobie roztrzaskane ciało Jacka
Christophera, leżące w suterenie. A więc Mistrz
unicestwienia swoich wrogów i następcy Chrystusa,
bez względu na stan swojego umysłu zostaną
wypędzeni ze świątyni ciemności. Dlatego Elspeth
nie umrze. Musiał jednak coś dla niej uczynić,
oczekiwano tego od niego.

Ahson Darke-Smith spała, kiedy George wtarg-
nął do jej pokoju. Światło wciąż paliło się, więc mógł
wyraźnie dojrzeć jej twarz. Poród pozostawił na
niej wyraźne ślady.

- Obudź się dziewczyno, szybko - potrząsnął nią
brutalnie i ściągnął pościel, pod którą leżała

**zupełnie naga. Na przemoczonym łóżku widniały
plamy.**

- Obudź się, do cholery! - zacisnął pięść, by uderzyć ją, gdyby natychmiast nie otworzyła oczu. Spojrzała na niego, skuliła się i przyłgnęła do poduszki. Zamrugowała szeroko otwartymi, niebieskimi oczami i wróciła pamięcią do wydarzeń ostatnich kilku godzin.

- Wstawaj, jesteś potrzebna.

- Odejdź.

- Głupia suko! Dziecko jest chore, musisz nam pomóc..

- Nie! Nie zbliżę się nawet do niego! Nienawidzę go, mam nadzieję, że umrze.

- Jeśli Elspeth umrze - teraz strach połączył się z wściekłością, chwycił ją za nagie ramię i zatopił paznokcie w miękkim ciele, aż zawyla z bólu - wtedy ty także umrzesz. Przysięgam. No już, chodź ze mną.

Alison cała się trzęsła. Clements wyciągnął ją z łóżka i gdyby nie trzymał jej mocno z pewnością by się przewróciła.

Zajęczała, kiedy dostrzegła świeżą krew wewnątrz ud. Dla Georga nie miało znaczenia to, co się z nią działo, miała jedynie ratować dziecko. Zdołał objąć ją ramieniem i postawić na nogi.

- Jestem chora - wykrzyknęła, kiedy razem staczali się ze schodów. - Umieram, czuję to!

- Jeszcze nie teraz - wysapał - jeszcze nie. Dopóki dziecku nie polepszy się nie możesz umrzeć.

Łatwiej mu było spychać ją ze schodów, gdyż jej okrągłe pośladki ześlizgiwały się stopień po stopniu. Ściągnął ją z pierwszego piętra na parter, pomógł

wstać i powlókł za sobą w stronę uchylonych drzwi. Zobaczył Mamę pochyloną nad kołyską.

Pchnął Alison przed siebie i nachylił się nad dzieckiem. Powstrzymał się, żeby nie kopnąć jej w otyłe pośladki, na których właśnie pojawiły się ślady siniaków i otarć.

- No już, nakarm dziecko!

Alison wpatrywała się z przerażeniem w potworną twarz niemowlęcia. Chciała odsunąć się od tego bezrękiego potwora jak najdalej, jednakże George stał za nią i popychał ku dziecku.

Gdy okropne zaślinione usta wydęły się, zacisnęły na sutku i zaczęły ją ssać, wzdrygnęła się. Mrozące usta zakleszczyły się jakby chcąc zadać jej ból. Zapłakała, ponieważ tępy ból rozchodził się z jej łona na resztę ciała i otworzyły się blizny po diabelskim dziecku.

Ramię dziecka zboczyło się i szturchnęło ją odrażającą, zdeformowaną protezą. Na pewno gest ten nie" wyrażał miłości, był raczej oznaką nienawiści. Każde lodowate dotknięcie, zamiast nakłaniać do karmienia, przyprawiało ją o dreszcze. Próbowala się wyrwać, ale usta ciągnęły ją w swoją stronę.

Krzyk grzęł jej w spieczonym od żółci gardle. Na plecach Alison czuła obłąkane spojrzenia rozgorączkowanych Clementsów. Ich usta poruszały się bezgłośnie, jak w modlitwie o życie dla dziecka do nieznanego, straszego bóstwa.

Stopniowo zaczęła uświadamiać sobie straszliwą prawdę. Dziecko przestało ssać, jego wargi ledwo

dotykały obolalego sutka i stały się jeszcze zimniejsze niż dotychczas. Zdeformowana kończyzna opadła i leżała teraz na poduszce. Oczy straciły blask, zdawały się nie widzieć. Aż w końcu główka oderwała się od niej i opadła na poduszkę. W tym momencie oddech zamilkł i zapadła cisza. Słychać było jedynie wycie wiatru za oknem, zawodzącego lamencie, jakby z wnętrza piekiel dobywał się żalobny jęk.

Alison stanęła z wysiłkiem na nogach. Clementsowie trwali w oszłomieniu, nie wierząc w to, co się stało, ich drżące wyciągnięte do dziecka ręce zatrzęśły posłaniem.

Dziewczyna chciała uciec, lecz zabrakło jej sił. Ból w łonie stał się prawie nie do zniesienia, przenikało ją zimno, którego doznała wcześniej tylko raz, kilka godzin przedtem, kiedy cień ręki, ohydny i nieomal namacalny, zaczął rozszarpywać ją od wewnątrz.

Patrzyła osłupiała jak Brenda Clements podniosła dziecko, które zwisało bezwładnie w powietrzu w jej rękach. Kobieta potrząsnęła nim i zaczęła błagalnie nawoływać niezrozumiałymi słowami. Trzymała je prosto, lecz główka opadała w dół, więc Alison nie mogła dostrzec jego wrogiej twarzy, która zachowała wyraz wcielonego zła.

- Nakarm je! - George chwycił Alison i ścisnął jej pierś.

- To nic nie da - poczuła nagle w sercu ulgę, była wolna, chciało jej się śmiać. - To już nic nie da. Dziecko umarło.

Vera Brown stała przez chwilę na ganku, spo-

glądając na rozciągające się wokół pustkowie. Otoczenie, tak bardzo jej znane, stało się teraz nierozpoznawalne. Laurowe krzewy wzdłuż podjazdu ginęły pod nierówną pokrywą zamarznętego śniegu, tworząc upiorne kształty, które mogły znieśc sięgnąć po nią.

Nie miała jednak zamiaru wracać. Ślady stóp wiodły zapewne do szosy, zatem po nich powinna pójść. Spojrzała w niebo. Za chmurami, pędzonymi przez wiatr, księżyc przybrał tajemniczy kształt. Wzmagający się wichur był ponuro i żalobnie. Ostrzegala by wracała do „domu śmierci i zła” zanim nie będzie za późno.

Zmuszała się do wyjścia w tę ciemną noc z coraz to słabnącym przekonaniem. Naciągnęła płaszcz na twarz, jak nalożnica próbująca ucieczki z haremu. Opuściła głowę i toczyła wewnętrzną walkę z siłami zmuszającymi ją do powrotu.

Czuła jak miękki, śnieżny pył kłuje ją w twarz. Wiatr rozwiewał jedne zaspy, żeby wznosić następne. Natura była najwyraźniej krytyczna wobec swoich dokonań.

Verze zdawało się, że jest w alejce. Trudno było przekonać się o tym, gdyż ślady zniknęły, a przed nią rozciągała się bezkresna dal. Zatrzymała się, zwróciła plecami do wiatru i czekała na odpowiedni moment, żeby złapać oddech, a wiatr wciąż wołał: „Wracaj do domu póki jeszcze czas.”

Księżyc zniknął. Za przewodnika miała teraz jedynie śnieżną biel, lecz nawet tę trudno było dojrzeć

zza zamarzniętych płatków, oblepiających twarz. Śnieg zdążył już przemoczyć jej ubranie.

Gdyby tylko Fred z nią szedł, wszystko byłoby dobrze. Wołała go zziębniętymi ustami, lecz kiedy udało się jej wydobyć z siebie głos, wiatr porywał go w siną dal.

Grzęzła w miękkim śniegu, zatapiała się w nim po szyję, po czym wygrzebywała.

Była już pewna, że nie szła alejką, ponieważ brakowało stromych poboczy, których mogła się trzymać. Zgubiła się w tej bezkresnej pustyni.

Kiedy już traciła nadzieję, zaczęła odnosić wrażenie, że nie jest sama. Dwukrotnie przystanąła i obejrzała się za siebie, ale wszędzie był tylko śnieg, coraz więcej śniegu. W ciemnościach zbliżały się i oddalały jakieś kształty, poczuła czyjaś obecność. Najwyraźniej ktoś szedł za nią.

Miała nadzieję, że to Fred. To musiał być on, ponieważ nikt oprócz niego nie znał jej planów. Na pewno przyszedł zabrać ją z powrotem, ale ona nie miała zamiaru wracać.

Odgłosy nagle umilkły. Spróbowała zawołać jeszcze raz, ale na próżno. Pomyślała, że nie ma sensu zatrzymywać się, bo wkrótce i tak ją dogoni. Strach, który jej dokuczał przez kilka minut, minął gdyż wiedziała już, że nie jest sama.

Myśli jej biegły w szaleńczej gonitwie, od pani Clements i Jacka Christophera do Alison.

Wciąż pragnęła, żeby dziecko umarło, to zrobiliby dobrze im wszystkim. Jack, George i Barbara

Withernshaw będą je oplakiwać, a ona czułaby się tam zupełnie zbyteczna. Chciała, żeby ten potwór umarł. Ta myśl stała się jej obsesją, pozwoliła zapomnieć o panującym chłodzie i śniegu. Jeśli zostałaby tam, pewnie zabiłaby je sama i to przy pierwszej nadarzającej się okazji. Może wyróciłaby kołyskę, aby dziecko z niej wypadło albo włożyłaby jego małą główkę do klozetu.

Poczuła pociągnięcie za rękaw. Nie było jej łatwo odwrócić się, lecz kiedy to w końcu zrobiła, nie zobaczyła nikogo. Oczywiście, pomyślała o Fredzie i starała się o tym przekonać samą siebie, co jednak nie przychodziło łatwo, bez względu na to, jak bardzo tego chciała.

Wypatrywała Freda usilnie aż oczy zaczęły jej łzawić, a wtedy wokół siebie widziała już tylko wodnistą ciemność. Świszczący wiatr zrywał jej ubranie, jakby chcąc obnażyć ją do naga.

Nagle lodowate palce wdarły się pod uniesiony przez wiatr płaszcz. Niewidzialny cień ręki pojawił się w zimowej scenerii i znowu sięgał po nią.

Po chwili nieokreślony kształt oddalił się. Jednak ręka znowu dotknęła jej karku, co przecież nie było możliwe przez grubą warstwę rzeczy, jakie miała na sobie. Oszolomiona, z przerażenia napięła mięśnie, by ją odeprzeć, ale poczuła uderzenie w twarz i usiłowała krzyknąć.

- Wujku Fredzie, przestań ze mną igrzać. Wiem, że to ty - krzyczała.

Starala się siebie przekonać, że to tylko pijany

Fred Ainslow zabawia się jej kosztem. Ale sama w to już nie bardzo wierzyła. Winiała go za wszystko, bo gdyby jej towarzyszył, nie wpadłaby w tarapaty.

- Ciociu Barb - krzyknęła - Ciociu Barb! - Ale wiatr porwał jej słowa.

Cofała się przerażona za każdym razem, gdy poczuła mrozący dotyk. Zwolniła kroku z wyczerpania i strachu, błędziła, a próbując ucieczki grzęzła coraz bardziej w śniegu.

Naraz ręka pchnęła ją mocno w zaspę. Ugrzęzła w niej całkowicie, z trudem chwytając oddech. Jakaś siła nie pozwalała jej wydostać się stamtąd, chcąc ją zadusić.

Niespodziewanie siła ustąpiła i Verze udało się jakoś wygrzebać z zasy. Ciągle jednak czuła zagrożające jej niebezpieczeństwo.

Zaniosła się łzami. Straciła całkowicie nadzieję i pragnęła, żeby nadszedł wreszcie koniec. Zaczęła żałować, że tak bardzo pragnęła śmierci dziecka zrodzonego z nasienia Szatana. I wtedy spostrzegła, iż wiatr przestał wyć. Zawirował w ostatnim podmuchu i zapadła cisza. Vera rozejrzała się wokół lecz w ciemności nie dostrzegła niczego.

Zrozumiała, że tajemnicza siła odeszła i zostawiła ją samą, żeby mogła umrzeć w spokoju.

Rozdział siedemnasty

Alison oszolomiona wyszła z mieszkania Clementsów, powlokła się hallem i instynktownie skierowała na schody. Czula wewnątrz tępy ból. Będąc na granicy wytrzymałości otrząsnęła się jak zwierzak, próbując odzyskać trzeźwość umysłu. Właściwie nie wierzyła, że to, co tam widziała zdarzyło się naprawdę. Nie wiedziała nic prócz tego, że dziecko nie żyło, i że tak było najlepiej. Mimo wszystko nie chciała wracać do swego pokoju.

Szła wolno po schodach, zatrzymując się co chwilę dla odpoczynku. Usiłowała zdecydować, co ma robić i dokąd pójść. Na pewno musi trzymać się jak najdalej od Georga i Brendy Clementsów, lecz nie pozostawiało jej to dużego wyboru. Nie mogła pozostać na parterze, gdyż któreś z nich mogło nieoczekiwanie wynurzyć się, ze swojego chlewu, występując wobec niej z szalonymi żądaniem.

W suterenie leżały dwa trupy, zatem tam iść nie mogła. Nagle spłynęło na nią olśnienie - zaczęła iść pewniej. Zawsze kiedy miała kłopoty, zwracała się do Barbary Withernshaw. Barbara niezmiennie miała w zanadrzu jakieś rady. Jeśli jakaś wydała się niewiele warta, można z niej było nie skorzystać, ale przynajmniej miała coś do zaproponowania. Wiedziała, że nie może tu dłużej zostać, ohydna ręka mogła znów się pojawić. Teraz wszystko było możliwe, choć

przysięgała na Boga, że była dziewicą, tak przynajmniej myślała. Owszem, umysł miała niezrównoważony, ale nigdy nie pozwoliłaby żadnemu mężczyźnie pójść na całość. Niewątpliwie pozwalała na pieszczoty jednemu albo drugiemu podczas różnych pogawędek w swoim pokoju. Georgowi i Harremu, raz chyba Jackowi, ale nie była pewna. Nie protestowała, gdyż bała się tego, co mogli jej zrobić, gdyby odmówiła. Musiała być dziewicą, bo - jak twierdziła - nie miała nikogo, zatem nie mogła się mylić.

Zapukała cicho do drzwi Barbary Withernshaw. Nie było odpowiedzi. Zastukała ponownie, tym razem bardziej stanowczo. Barbara życzyła sobie, żeby zawsze pukać i czekać. Kiedyś ostro zbesztala Alison za to, że weszła bez uprzedzenia. Można by myśleć, że Barbara miała coś do ukrycia.

W dalszym ciągu nie było odpowiedzi. Alison popatrzyła w górę i w dół schodów, potem obróciła gałkę i pchnęła drzwi.

Światło co prawda paliło się, ale pokój był pusty, łóżko było starannie zaścielone. Przy ścianie stał rząd walizek, z których wystawały książki i rozrzucone chaotycznie ubrania. Barbara trzymała swoje rzeczy w walizkach, nie w szafie, albowiem ciągle nosiła się z zamiarem wyprowadzki, którego zresztą jak dotąd nie spełniła. Z całą pewnością starszej pani nie było w pokoju. Alison myślała, że Barbara mogła wyjść na chwilę i zaraz wrócić. Mimo to odniosła wrażenie, że Barbary nie było już przez dłuższy czas.

Stala więc w drzwiach, gdyż bała się
reprimendy

za wejście do wewnątrz. Drżała i dopiero teraz uświadomiła sobie, że jest naga. Spojrzała po sobie i z zakłopotaniem stwierdziła obecność na nogach strużek zaschniętej krwi. Znow poczuła się obolała, niewątpliwie powinna odpocząć, lecz Barbary nie było, a do własnego pokoju bała się wrócić.

Wówczas przypomniała sobie nieznanym ludzi, którzy pojawili się dwie noce wcześniej, w czasie śnieżnej zawieruchy; mężczyzna i tamta kobieta z dzieckiem. Oni mogli jej pomóc. Mężczyzna podczas ich spotkania przy porodzie wydał się Alison dosyć sympatyczny. Pomyślała, żeby najpierw wrócić i coś na siebie włożyć, ale zrezygnowała. Nie, nie pójdzie tam więcej. Przecież mężczyzna i tak widział ją już nagą.

Usiłowała odgadnąć, który pokój zajmował. Musiał to być ostatni lub przedostatni na drugim piętrze, ponieważ pozostałe były zajęte. Powędrowała korytarzem, zatrzymawszy się przy pierwszym pokoju nadsluchiwała przez chwilę. W środku była cisza, zaniepokoiła się, przeczuwając ich nieobecność. Gdy już miała wracać, dosłyszała ściszone głosy dochodzące z pokoju obok. Poznała głos mężczyzny, to z pewnością był on.

Ahson zapukała, rozmowy ucichły. Po chwili padło pytanie:

- Kto tam?
- Ja - wyszeptała i poczuła jak waha jej serce.
- Kto ja? - ton był niecierpliwy, mówiący niemalże „odejdz”.

- Alison.

Ktoś przeszedł przez pokój. Alison omal nie uciekła ze straciu, a kiedy drzwi otworzyły się, rozpoznała Owaina Puga. Był potargany. Widać było, że spał w ubraniu. Patrzyli na siebie, aż w końcu powiedział:

- Myślę, że lepiej będzie jak wejdiesz do środka.

Stała w pokoju, rękoma starając się przykryć swoją nagość, i wpatrywała się w podłogę. Ciemnowłosa kobieta siedziała na łóżku u boku śpiącego dziecka. Suzannah Mitchell wyglądała na roztrzęsioną i spoglądała na Alison podejrzliwie.

- Potrzebny ci lekarz - zauważył Owain Pugh - ale to w tej chwili jest niemożliwe. Powinnaś przynajmniej położyć się i wypocząć. - Wskazał na prowizoryczne łóżko na podłodze.

- To wszystko, co mogę ci zaoferować, Alison.

Z wdzięcznością położyła się na materacu i przykryła kołdrą. Tak było znacznie lepiej; zamknęła na chwilę oczy.

- Dziś w nocy zmarł mężczyzna - oznajmił Owain cicho, aby nie zbudzić śpiącego dziecka.

- Jack Christopher - odparła Alison. - Nikt nie zamierza go oplakiwać.

- Chyba powinnaś opowiedzieć nam swoją historię - powiedział Owain. Usiadł na krześle i popatrzył na Suzannah jakby chciał jej powiedzieć: „Ta dziewczyna jest pomyłona, więc nie przerażaj się”.

Alison dokładnie opowiedziała o wszystkim, roz-

glądając się przy tym po pokoju, jakby w obawie przed mogącym wyłonić się w każdej chwili złowróżbnym cieniem. Opisując to, do czego zmuszali ją Clementsowie podczas epizodu z dzieckiem, pobladła.

Owain znowu spojrzął na Suzannali, była przerażona, tak jak i on. Muszę wreszcie to logicznie wyjaśnić. Tylko Rose nie może znać prawdy. Psychi- ka dziewczynki poniosłaby bez wątpienia nieodwracalny uszczerbek. Na szczęście Rose ciągle spała.

- Połowy z tego się domyślałem, ale wydawało mi się to zbyt nieprawdopodobne - powiedział Owain. Teraz kiedy znamy przeciwnika, wiemy już czego się spodziewać. Chociaż to niewielka pociecha.

- A czego możemy się spodziewać? - zapytała Suzannah.

- Wciąż wielu rzeczy domyślam się tylko, ale jeśli chcesz, mogę spróbować złożyć te fragmenty w całość, mimo że brak tu jakiejś logiki. Alison miała dziecko; nie pamięta jednak, aby w ogóle odbyła stosunek płciowy, więc serwuje się jej jako wyjaśnienie dwie teorie: Powtórnego Przybycia i Antychrysta we wcieleniu dawno zmarłej córki Clementsów. Kiedy Harry umiera, odsycha mu ręka - w gangrenie, jak sędzę. Wtedy pojawia się cień, który, według Alison, wstąpił w jej łono. Niezależnie od tego kim miało być dziecko, stało się zdeformowaną istotą, którą zabrali Clementsowie. Gdy spostrzegli, że dziecko umiera,

**Alison miała je ustrzec od śmierci. Zatem, widzę to
tak: zło, opuściwszy ciało Harrego**

Clementsa, posiadało dziecko w łonie Alison, a teraz... po domu nieustannie krąży szatański duch w poszukiwaniu następnych ofiar, co tłumaczyłoby postępowanie Christophera w stosunku do ciebie, Suzie!

Suzannah pobladła; oparła się o wezglowie łóżka otaczając ramieniem śpiącą Rose.

- Chyba dałeś się nieco ponieść fantazji, Owainie - powiedziała wreszcie. - Nie uważasz, że powinienes wziąć pod uwagę to, że tutaj wszyscy są kompletnie pomyleni?

- Alison, wybacz moją bezpośredniość, kochana, ale pod tym względem możecie sobie wszyscy podać rękę. Wyczulem zło od samego początku - ciągnął dalej Owain - chociaż wówczas nie rozpoznałem jeszcze go. Weź pod uwagę zimną, wilgotną atmosferę tego ohydneho środowiska. Gdzież znaleźć lepsze miejsce, jeśli, oczywiście, ująć to w metaforę, dla diabelskiego nasienia? Oblęd i zło. Zbyt dużo już się wydarzyło, aby nie móc uwierzyć w tę teorię.

- Więc, co zrobimy? - Suzannah popatrzyła na zegarek. Druga trzydzieści. Zostało pięć lub sześć godzin ciemności, co nie nastrajało ich optymistycznie.

- Obawiam się, że nic. Możemy jedynie przesiadzieć tu resztę nocy. - Wsluchał się w wycie wiatru, przywołał w wyobraźni widok nawianego z pół śniegu, spiętrzonego w alejce, zalegającego w zaspach na szosie. Widział podobieństwo w zawiei zesłanej z

**niebios; śnieg był śniegiem, ale blokował każdą
drogę ucieczki.**

- Myślisz... że zdołamy stąd ruszyć jak się rozjaśni? - Czula, że musi mu zadać to pytanie, nawet jeśli bała się odpowiedzi.

- Czekaj nas dobra droga - odrzekł z taką dozą pewności, na jaką go tylko teraz było stać.

W myślach Owain łączył zdarzenia kilku godzin: narodziny dziecka, obłąd i śmierć Jacka Christophera, zwabienie Rose do pokoju Clementsów. To ostatnie miało najbardziej złowróżbną wymowę. Była im do czegoś potrzebna, a teraz, gdy zdeformowane dziecko nie żyło, trudno było przewidzieć ich następny krok. Doprawdy żałował, że nie ma broni.

George i Brenda Clementsowie siedzieli nad martwym dzieckiem w smutku i przerażeniu. W smutku, ponieważ zaledwie kilka godzin przyszło im cieszyć się zwróconym dzieckiem. A teraz drżeli z przerażenia, że zawiedli Mistrza - bali się, zemsty i kary.

Drobne, martwe ciało leżało na podłodze; oczy dziecka w nie widzącym spojrzeniu zwrócone były do góry, nozdrza zatkane gęstym żółtym śluzem. Oboje na próżno oczekiwali oznak życia, chociażby bulgotu tej wstrętnej substancji, który oznaczałby, że płuca znów pracują ze świstem. Czekali na jakikolwiek znak. Ale nie pojawił się żaden. Dziecko nie żyło, jakby było „ludzkim” dzieckiem i poddało się niszczącej sile zapalenia płuc.

- Musimy z powrotem przenieść Elspeth tam, skąd przyszła - odezwał się w końcu George Clements. - Gdy podniósł się, krzesło zatrzeszczało.

**Jego żona zapatrzyla się w niego. Miała
trudności**

z wypowiedzeniem słów, tak samo jak po ataku. Na wykrzywionych ustach pojawiła się ślina.

- Ależ nie możemy jej włożyć z powrotem do łona - wyseplenila.

- Glupia! - zaclirypiał. Nie to miałem na myśli. Trzeba zwrócić ją Mistrzowi. Może wtedy znów da jej życie i odda ją nam. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- A jak ją zwrócimy? - Brenda zdawała się wychodzić z odrętwienia.

- Jest tylko jeden sposób - odpowiedział jej mąż. Przerzął go jednak pomysł, który wyklął mu się w głowie, może pod dyktando Mistrza. Musi strawić ją ogień, a wtedy dusza jej ponownie znajdzie się w piekle, gdzie przyobleką ją w nowe ciało.

- Chcesz... spalić ją? - była zaskoczona, lecz nie za bardzo, jakby i ona o tym myślała.

- Dokładnie tak. - Pochylił się i uniósł ciało, tuląc je czule w ramionach. - Kremacja beżużytecznej ludzkiej powłoki, z okazaniem należytej czci, będzie najlepszym wyjściem. Duch odszedł. Czyż nie czuć pustki w tej kruchej istocie? Ten duch będzie wędrował dopóty, dopóki nie zazna spokoju, tak jak opuścił ciało Haxrego i udał się na poszukiwanie ciała dla naszej ukochanej Elspeth. Najpierw udręczona dusza sięgnęła po Verę, lecz szybko dostrzegła, że jej łono nie kryje zarodka. Znalazła je za to u Alison. Święte dziecko, jeżeli to, co mówił Jack, było prawdą, zatem

**musiała się pozbyć istniejącej w nim duszy. Patrz,
ręka jest świadectwem tej bitwy, ostatnim**

przekleństwem Chrystusowego Dziecka. Jednakże walka zebrała swoje żniwo, zabrała część sił nowo narodzonemu. Życie cielesne musi zacząć się od nowa. Trzeba ubłagać Mistrza, żeby zwrócił nam Elspeth, tak jak to obiecał.

- Masz rację - wstała zgięta, jakby artretyzm dotknął jej ciała. - Więc, gdzie, Geroge, gdzie?

- W piecu, w kotłowni - odparł bez wahania. - Niech ogień strawi to ciało, aby Elspeth znów mogła żyć.

Barbara Withernshaw udala się na poszukiwanie Freda Ainslowa. Ten stary dureń na pewno kłamał gdzieś w kotłowni; powinna była zostawić go w tamtej ruderze przy torach kolejowych w Lampeter, gdyż najzupełniej nie doceniał swojego pokoju, ze wszystkimi jego wygodami. Na próżno tylko traciła pieniądze, to tak, jakby rzuciła perły wieprzom. Fred potrzebny jej był do pilnowania Very w czasie, gdy ona zajmowała się Alison. Obie dziewczyny znajdowały się w niebezpieczeństwie, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Zbyt długo starała się chować głowę w piasek, patrząc na wszystko przez palce. Powinna była wcześniej rozpoznać, kim zawładnął zły duch. Harry był tego klasycznym przykładem, a ona po prostu zaliczyła go do ekscentryków. Słyszała też jak Jack Christopher mówił w pokoju do siebie, jak gdyby prowadził z kimś rozmowę. Mógł wtedy ktoś z nim być, ale wątpiła w to. Istniała cienka granica pomiędzy obłędem a

**opętaniem, a ona zdecydowała się ją ignorować.
Teraz już mogło być za późno.**

Vera odeszła, natomiast Alison spała i potrzebna jej była opieka lekarza. Żal jej się zrobiło tych obcych, którzy znaleźli tutaj schronienie przed burzą śnieżną. Da Bóg, żeby ich w to wszystko nie mieszać, szczególnie dziecka, takiej ślicznej dziewczynki.

Przed wszystkim musiała porozmawiać z Fredem. Niewątpliwie był pijany, ale spotykała go w tym stanie już wcześniej. Czasem po pijaku bywał bardziej niezawodny niż w trzeźwości.

Już dawno mógł naprawić te drzwi. Musiała użyć całej siły, aby je otworzyć.

Kotłownia była oświetlona jedynie blaskiem płomienia z otwartych drzwiczek pieca. Wystarczyło jej to do rozpoznania zwiniętego kształtu na ziemi, którym był Fred przykryty starym płaszczem. „Ty pieprzony świniarzu” - pomyślała i dała mu mocnego kopniaka.

Fred, zamruczał, poruszył się, wymamrotał coś niezrozumiałego i jeszcze mocniej owinął się płaszczem.

- Fred obudź się! - Barbara znowu kopnęła go swoim srebrzystym bucikiem.

- Co jest? Kto do diabła... ach to ty, Barbs.

- Barbara - odparowała szorstko - chcę z tobą porozmawiać, Fred, więc wstań. Boże, śmierdzisz jak browar!

- Tylko kropelkę, żeby lepiej spać. - Uśmiechnął się w półmroku - Chryste, myślałem, że to Vera wróciła.

- Wróciła? Skąd? - poczuła laskotanie w brzuchu, a potem mdłości.

- Z cholernego śniegu. Durna suka, zgubi się i zamrze na śmierć. Mówiłem jej, do cholery...

- O, mój Boże - Barbarą wpadła w panikę. - Co ty wygadujesz? Jak mogłeś ją wypuścić? Ty głupku, ona może już nie żyć!

Gapił się na nią. Kiedy świadomość wzięła górę nad pijackim oszołomieniem, uśmiech zamarł mu na ustach.

- Przykro mi Barbs. Nie sądziłem, że pójdzie. Ale czy pewna jesteś, że poszła? Może jest w swoim pokoju.

- Może - zaraz sprawdzę - powiedziała. - Jeśli jej tam nie ma, będę musiała wyjść w tę straszną noc i próbować ją znaleźć.

- Chcesz żebym z tobą poszedł? - zapytał w nadziei, że nie zechce. Musiał jednak jej to zaproponować, bo inaczej nigdy by mu nie wybaczyła. Zresztą prawdopodobnie i tak mu nie wybaczy.

- Tego mi tylko brakowało, żeby jeszcze ciebie szukać gdzieś w śniegu. Idź spać staruchu - wyszła majestatycznie, lecz tak szybko, jak na to pozwalała jej tusza, i długimi krokami podążyła do schodów, przeczuwając, że Very Brown nie ma w swoim pokoju. Wszystko właściwie już był przesądzone; pomyślała nawet, żeby zwrócić się do Owaina Puga z proś-

by jej towarzyszył, ale zrezygnowała. Ta kobieta i dziewczynka potrzebowały go. Bezpieczniej będzie pozostawić ich razem.

Fred zamknął za nią drzwi. W pewien sposób odgradzał się od Barbary i Very. Nie chciał więcej

myśleć o nich. Skierował się po omacku do kąta, gdzie odnalazł brudną pakę po pomidorach, i drżącą ręką wyłowił z niej puszkę. Znajdował jedynie rozwiązanie dla obecnego problemu; oderwał blaszkę i pociągnął długi łyk musującego płynu, który pociekł mu na koszulę. Odbiło mu się i od razu poczuł się lepiej.

- „Chryste, wracała!” - pomyślał. Nie bardzo pamiętał, jak długo nie było Barbary Withernshaw. Może dziesięć minut, może pół godziny. Miał słabe rozeznanie w czasie w godzinach nocnych. Rozeszły się kroki, ktoś mocował się z drzwiami. W chwili paniki Fred odstawił puszkę, lecz ta zaraz przewróciła się. Klnąc próbował uratować zdwartość, aż w końcu dał jej potoczyć się w ciemny kąt. Pierdolić ją!

Na tle światła z sutereny bynajmniej nie rysowała się sylwetka Barbary. Był to George i ta cholera. Matka.

„Czego, do diabła, tu chcą?” - zastanawiał się Fred przyglądając się czemuś na rękach Georga.

- Musimy służyć Mistrzowi - powiedział George Clements z nosową intonacją. Pomimo że od pieca biło ciepło, chłód przeniknął przez wątłe ciało Freda. - Elspeth, trzeba zwrócić jej ojcu, ty musisz nam dopomóc.

- Hej, to przecież dziecko! - Fred odskoczył i omal nie upadł. - Co to, krwawa zabawa? Ono jest martwe!

- Ono jedynie czeka na nowe życie - Clements

wysunął zwłoki dziecka tak, że blask ognia oświetlał jego nieruchome, straszliwe wręcz rysy twarzy. - Roznieć ogień, daj mu płonąć i nie pozwól nam zwlekać z rozpoczęciem rytuału.

- Co... co wy chcecie zrobić? - wyszeptał Fred.

- Głupiec! - oczy Georga błyszczały wściekle w blasku ognia. - Nie rozumiesz, imbecyłu? Musimy dokonać pochówku, jaki przystoi dziecku samego Mistrza. Te święte zwłoki muszą spłonąć, muszą zostać strawione przez ogień!

Rozdział osiemnasty

Zaraz po wyjściu z domu Barbara Withernshaw poczuła, że daremnie poszukuje. Very Brown. Zaciął porywisty wiatr, nawiewając sypki śnieg od stromy pół i żywopłotów. Schowana pod kapturem bajowego płaszcza musiała odwracać co chwila głowę, by załapać oddech. Jej mała latarka okazała się bezużyteczna, słabe żółte światełko odbijało się jedynie od śniegu.

- Głupia dziwka - klęła sama do siebie. - A ja muszę być równie pomyłona, żeby jej szukać. Gdzie, do diabła, chciała pójść? Najprawdopodobniej nawet się nad tym nie zastanawiała.

Nagle ciemne moce, przyczajone w Donnington w ostatnich kilku miesiącach, skupiły w sobie całą energię zła. Chrystusowe Dziecko, a raczej to diabelskie wcielenie, które nie miało szans na przetrwanie, sprawiło, że Barbara czuła się zagubiona w tym wszystkim.

Przystanęła, by złapać oddech u początku podjazdu, który w tym miejscu łączył się z alejką. Jeżeli Vera doszła aż tak daleko, to musiała potem skrócić w lewo, gdyż przeciwna droga kończyła się sto metrów dalej ślepym zaułkiem. Barbara krzyknęła, lecz wiatr rozwiał jej słowa.

Szukała argumentów usprawiedliwiających jej powrót. Nie mogła przecież narażać Alison na niebezpieczeństwo porodu, pozostawiając ją na łasce Jacka

Christophera i Clementsów. Jeżeli Vera chciała obrazić się, była to jej sprawa. Zresztą Vera nieraz już straszyla ją samobójstwem i dlatego starsza pani wydzielala jej proszki nasenne, zapisane przez doktora Gidmana. Ale istniało przecież sto innych sposobów, żeby skończyć ze sobą, jeśli naprawdę tego się chciało.

Barbara przywiązała się do tej biednej dziewczyny. Robiła dla niej, co mogła, co uchroniloby ją przed resztą świata. Vera była raczej głupkowata, anizeli pomyłona i na pewno spragniona uczucia, natomiast mężczyźni jedynie wykorzystywali jej niezaspokojone potrzeby seksualne. Doznania tego rodzaju były prawdopodobnie jej jedyną przyjemnością w życiu i doprawdy, trudno było zakazać jej masturbacji, mimo że ostatnio dziewczyna zupełnie nie kontrolowała swojego popędu. Ale w Donnington nie miało to żadnego znaczenia. Jack stawał się niebezpieczny tylko podczas swoich dziwnych nastrojów. Był fanatykiem religijnym, który w jednej minucie uważał się za Jezusa Chrystusa, podczas gdy w następnej obnażał się z lubością. Barbara przypomniała sobie, że kiedyś widok nagiego Jacka wytrącił starą Brendę z równowagi. Chwyciła za kuchenny nóż i gonila go po schodach, docierając aż na drugie piętro. Jack zamknął się w swoim pokoju, podstawiając ponadto krzesło pod klamkę. Brenda waliła w drzwi przez dobre pół godziny i bardzo soczystym językiem

**niedwuznacznie wyjaśniła, co mu zrobi, kiedy tylko
go dostanie. Jack nie wyszedł, pozostał**

w pokoju przez większą część dnia, dopóki głód nie wypędził go stamtąd do jadalni. Lecz do tego czasu Mama zdążyła zapomnieć już o tym epizodzie.

Barbara ugrzęzła w zaspie i dopiero po chwili wygrzebała się z niej. Pomyślała, że traci tylko czas i postanowiła poszukać Very jak przyjdą roztopy. Jej podopieczni ostatnio sprawiali jej zawód. Walter Gull też zwiął, wprawdzie z powodu Georga i Brendy, ale Barbara uznała to również za swoją porażkę osobistą. Może powinna była traktować go z większym współczuciem, gdy tak leżał cierpiąc w swoim pokoju jak w celi więziennej.

Teraz pozostał jej tylko Fred, lecz bała się, że nie na długo. Pił na umór i palił, a sądząc po tym, co zostało z jego ciała, nie pociągnie długo. Na szczęście przynajmniej on miał na tyle rozumu, żeby nie iść w tę stronę z Verą. Jednocześnie nie mogła mu wybaczyć, że nie przyszedł jej ostrzec.

Barbara uważała, że było wiele zaniedbań, z którymi należało coś zrobić. Po części uważała za rozmyślną politykę rządu, polegającą na masowym dodawaniu szkodliwych substancji do żywności, by w ten sposób trzymać społeczeństwo ,w ryzach. Otępiali w ten sposób ludzkie umysły i redukowali populację. Ludziom sztywniały arterie od tłustego jedzenia, słabły serca od nadmiaru alkoholu i tytoniu. Było to znacznie łatwiejsze niż uśmiercanie ich kosztowną bronią i w komorach gazowych. To dlatego nikt nie zechciał opublikować książki Barbary. Jeden wydawca przekonał ją, iż zgubił maszynopis, nato-

miast inny kłamał upierając się, że nigdy go nie dostał. Z tego właśnie powodu wykonała szereg odbitek. Nie udało się im zniszczyć jej pracy. Jedna kopia leżała bezpiecznie w sejfie banku, a drugą miał w posiadaniu jej prawnik. Potrzebowała jedynie roztumnego i śmiałego wydawcy. Zarobilby na tym fortunę, natomiast ona nie dbała o honoraria. Zależało jej tylko na tym, żeby społeczeństwo dowiedziało się o tych praktykach, zanim nie będzie za późno. Często myślała, że już jest za późno, bo ludzie wciąż się tym nie przejmowali, jakby wszyscy padli ofiarą diabelskiego spisku. W końcu musiała pogodzić się z myślą, że nie odnajdzie Very. Z poczuciem winy odwróciła się plecami do wiatru i zaczęła stąpać po swoich śladach. Wówczas zaczęło ją coś dokuczliwie nękać, co odsunęło postać Very Brown na drugi plan. Przeczuwała, że Alison w żadnym razie nie powinna była zostać sama, bo mogą i do niej się dobrać.

Przyspieszyła kroku. Brnąc przez zasy upadła kilkakrotnie, lecz szła dalej, popychana świadomością, że sprawa nie cierpi zwłoki. Była potrzebna Alison, ponieważ dziewczyna nie miała nikogo poza nią. Potrzebny był jej również lekarz, ale dzisiejszej nocy to było niemożliwe. George i Brenda lub Jack Christopher mogli jej już nie dawać spokoju. Starła się nie myśleć o tym do czego ci pomyleńcy byli zdolni.

Spieszyła się, ale latarka rzucała jedynie słaby punkcik światła i była raczej psychicznym niż rzeczywistym wsparciem. Choć bez niej byłaby całkowicie

zdana na łaskę ciemności. Dzięki zrządzeniu losu odnalazła wejście, skręciła w prawo i w taki oto sposób znalazła się na drodze podjazdowej. Zbłądziła nieco na zakręcie, aż wreszcie ujrzała światła w górnych oknach domu. Błagała niebiosa o spokój, o to, żeby przynajmniej było tak, jak wtedy, gdy opuszczała owo przeklęte miejsce.

Vera nie żyła, co do tego nie miała już złudzeń. Biedne dziecko, do tej pory musiała już zamarznąć, a śnieg zapewne przykrył jej ciało. Martwym nie mogła już pomóc, ale teraz musiała zebrać swe siły dla żywych. Mocno pchnęła frontowe drzwi, a zamknąwszy je za sobą stała w korytarzu nasłuchując. Żadnych odgłosów nie usłyszała, jedynie słaby zapach rozchodził się wokół. Pomyślała, że ktoś coś gotował, chyba ta zwariowana starucha przygotowywała nocny posilek. Pomyślała, że skoro Brenda zdecydowała, się podawać tłuste potrawy z dużą zawartością cholesterolu, to już jej zmartwienie.

Barbara zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna najpierw zajrzeć do sutereny. Ale nie miało to większego sensu, gdyż pewnie Fred leżał tam w pijackim otępieniu, a zatem nie mogła na niego liczyć. Alison była teraz najważniejsza dla niej.

Zło narastało, z każdą sekundą nabierało mocy. Poczula coś dziwnego gdy zaczęła wspinać się po schodach, a przenikliwy ziąb, przenikał ją do głębi. Wydawało jej się, że niewidzialne demony wyciągają ku niej lodowate palce.

Jeszcze przed otwarciem drzwi wiedziała, że za-

stanie pokój Alison pusty. Aura samotności i rozpacz unosiła się znad łóżka, wywołując w niej dreszcze. Rzuciła okiem na oświetlone wnętrze i rozgrzebane łóżko, z przemoczoną, wyplamioną od krwi pościelą, właściwie nie miała po co wchodzić do pokoju. Zaczęła więc sprawdzać sąsiednie pomieszczenia. Był to jednak próżny trud. Jej własny pokój, pokoje Jacka Christophera i Very - wszystkie były puste, jak gdyby ich właściciele odeszli, nie zamierzając już więcej powracać. Czuło się atmosferę końca, jak w ograbionym i opustoszałym domostwie, kiedy się stoi z zamkniętymi oczami i usiłuje sobie wmówić, że po otwarciu ich wszystko będzie jak dawniej.

Pozostawało zaledwie kilka miejsc do sprawdzenia, ale nie zamierzała zbliżyć się do mieszkania Georga i Brendy - ich na pewno nie życzyła sobie widzieć. Może Fred również czmychnął ze swojej nory - pomyślała zaniepokojona. Jeszcze zostały dwa pokoje, tych obcych...

Stała naprzeciw drugiego pokoju od końca korytarza. Spostrzegła palące się światło i usłyszała stłumione głosy. Głęboko wciągnęła powietrze, podniosła zaciśniętą dłoń i głośno zastukała w drewniane drzwi.

Głosy natychmiast zamilkły, wreszcie po chwili . napiętej ciszy mężczyzna zapytał:

- Kto tam?
- Barbara Withernshaw.

Barbarze wydawało się, że głos jej dochodzi z daleka. Nie rozpoznawała go, jak gdyby nie należał do niej.

w otwartych drzwiach stanął Owain Pugh. Światło zza pleców rysowało kontur jego sylwetki.

- Niech pani wejdzie do środka i dołączy do nas - starał się zabrzmieć swobodnie i wesoło, choć był niewątpliwie u kresu sił.

- Dziękuję. - Weszła chlupocząc przemoczonymi butami.

- Szukam... Alison!

- Uważam, że powinna pani wiedzieć o dwóch rzeczach, pani Withernshaw - oznajmił Owain i opowiedział jej jak Clementsowie uprowadzili Rose i jak zabił się Jack Christopher oraz do czego Clementsowie zmusili Alison. Na końcu poinformował ją o śmierci dziecka. - Czekamy więc świtu - zakończył Owain. - Dopiero wówczas możemy się stąd wydostać. Rose potrzebny jest lekarz, tak samo Alison. Nie wątpię, że i policję zaciekawia te wszystkie zdarzenia.

- Wątpię, żeby policja się tu na coś przydała

- odparła stanowczo Barbara. Siedziała na krześle i myślała o zdjęciu butów, ale zrezygnowała. - Tutejsze zło nie jest namacalne, nie można go po prostu zamknąć w celi więziennej. George i Brenda to jedynie pionki, obłęd zasiało tutaj coś, co jest poza naszym zasięgiem. Powinniśmy rozrysować pięciobok na podłodze i schronić się w nim, tyle tylko, że nikt z nas nie zna się na czarnej magii i nic nam z tego zapewne nie wyjdzie. W tej sytuacji musimy gromadzić energię, nie tracić nadziei i modhć się.

- Cit! - Owain spostrzegł, że Rose poruszyła się

niespokojnie. Odetchnął z ulgą gdy stwierdził, że się nie obudziła.

- To wisiało w powietrzu już od dłuższego czasu
- Barbara mówiła wpatrzona w podłogę. - Czułam to, lecz wmawiałam sobie, że to tylko moja wyobraźnia, że wszyscy tutaj są obłąkani. A teraz szaleństwo stało się faktem, my zaś znaleźliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Sądzę, że Jack Christopher zginął, ponieważ był prawdziwym chrześcijaninem. Jasne więc, że musieli go usunąć. Jednak nie śmiem zgadywać, czego chcieli od Rose. - Czyżby jej dziecięcej niewinności? Dziewictwo jest potężną ofiarą! Także Verę złożono w ofierze Naturze.

- Jest czwarta - Owain popatrzył na zegarek.
- Przed nami jeszcze trzy godziny nocy, a nawet cztery, jeśli ranek będzie pochmurny, a wówczas możemy próbować uciec.

- Nigdy nie wydostaniemy się stąd pieszo - wyszeptwała Barbara. - Byłam na dworze. Wiatr wciąż nawiewa śnieg z pól, zasypał nawet całą alejkę. W tym tempie do rana wyrosną trzymetrowe zasy.

- Nie będzie źle - odparł Owain. - Jeśli to się okaże konieczne, wydostanę się stąd sam i sprowadzę pomoc, łącznie z helikopterem, używają przecież pogotowia lotniczego w tej części świata.

- Kiedyś była tu mała, opustoszała wioska w dole
- weszła mu w słowo starsza kobieta. - Mieszkańcy wyjechali, gdyż brak było pracy, a młodsze pokolenie ciągnęło do miasta. Domy wystawiono na sprzedaż ale nie znaleźli się chętni. To prawie tak, jak gdyby

diabeł wybrał to miejsce, aby powrócić na ziemię.

- Niech pani nie będzie tak diabelnie pogodna - Owain złapał się na tym, że patrzy na drzwi. Spostrzegł, jak kruche było krzesło, którym zaklino-
wał od dołu klamkę. Mogło powstrzymać od wejścia Georga i Brendę Clementsów, lecz oni byli jedynie małymi ludzkimi marionetkami w tym diabelskim przedsięwzięciu.

- Zna pani jakieś rytuały czarnej magii, które mogłyby nam pomóc przezwyciężyć zło?

- Nie. I wątpię, żeby nam się udało coś takiego, powiedziała ze smutkiem. Już długo odczuwam potrzebę opuszczenia tego domu i zrobiłabym to, gdyby nie Vera i Fred. Nie mogę tak zwyczajnie odejść bez nich. Czy nie mam racji?

- Tak, myślę, że ma pani rację. Podziwiam panią za...

Zgrzyt metalu po zewnętrznej stronie drzwi przerwał mu w połowie zdania. Wszyscy słyszeli ten dźwięk i wiedzieli, co on oznaczał. Spoglądali przerażonymi oczami na odrapane z farby drzwi. Suzannah otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale pozostawiła to innym. No, niechże ktoś wreszcie wypowie tę okrutną prawdę.

- Przypuszczam, że to jest to - Owain spuścił wzrok. Nie miał odwagi spojrzeć na kobiety. - Zdaje się, że nigdzie stąd nie pójdziemy. Ani teraz, ani o świcie. Ktoś zatrzasnął nas od zewnątrz. Jesteśmy uwięzieni!

Rozdział dziewiętnasty

- Rozpal piec - zażądał George Clements. Twarz miał jak zaślinioną maskę oświetloną dogorywającym ogniem. - Rozrząż go aż do białości!

Fred Ainslow odsunął się. Nie mógł oderwać oczu od rzeczy wyglądającej jak sztywna, plastikowa lalka, którą Brenda Clements przyciskała do piersi. Było to dziecko, a raczej jego zwłoki. Wydawało się, że śni jakiś koszmar. Niemożliwe, by to była prawda. Mieli zamiar spalić to biedne, małe ścierwo, dokonać kremacji?

„Obudź się, na miłość boską, obudź się!” - Usiłował wydostać się z tego makabrycznego snu, lecz kiedy George nim potrząsnął, Fred pojął w końcu, że to rzeczywistość.

- Nie możecie... - zaczął

- Rozpal ogień, mówię. Jeśli nie usłuchasz mnie niech Bóg ma cię w swojej opiece!

Fred zabrał się do pracy. Grzebał w stosie węgla, wywołując lawinę czarnych bryłek. Nabrał pełną szufłę, ale większa część węgla spadła z niej odbijając się o ziemię.

- Szybciej! - popędzał go Clements.

Trząsł się tak mocno, że ledwie utrzymywał szufłę. Wydawało mu się, że zdoła wrzucić resztę węgla do otwartego pieca. Gnany strachem pracował zawzięcie, wiedział bardzo dobrze, iż zrobią mu coś

straszego, jeśli ich nie posłucha. Dorzucił węgla do żaru, dodał do niego benzyny i odsunął zasuwę komina, przez który poszedł gęsty dym.

- Musimy trochę poczekać - powiedział.

- Jak długo? - w głosie Georga znać było rozpaczliwy pośpiech.

- Pięć minut, może dziesięć. Kociol jest stary, nie można go tak od razu rozpać. Może wysiąść.

Ostrzeżenie przeszło niezauważone. Czekali. Starsza kobieta zawodziła zmarłemu dziecku, a jej mąż mlaskał językiem ze zniecierpliwienia, przez cały czas rozglądając się, jakby spodziewał się ujrzeć jakieś monstrum ukryte w ciemnościach. Ogień zasyczał, pojawił się odblask głębokiej czerwieni, cienki język płomienia wysunął się do rozlanego paliwa i zlizywał je żarłocznie.

Fred poczuł, że może zemdleć; oparł się o łopatę. Chciał usiąść, ale bał się, że rozzłości 'Georga Clementsa. Starał się nie patrzeć na dziecko. „Najlepiej gdyby wpadła tu Barbara” - pomyślał. - „Zawsze w czymś przeszkadzała, więc i tym razem mogłaby przerwać ten cholerny nonsens. Jednakże nie było nawet śladu Barbary Withernshaw. Poszła w śnieżycę szukać Very i pewnie już obie zginęły, zamarły na śmierć. Fred nie mógł tego dłużej wytrzymać. Szperał w kieszeniach, aż jego powykręcane palce znalazły wymięty kawałek papierosa.

Skrył go w drżących dłoniach, zapalił zapalną, wciągnął głęboko dym do płuc i zaniósł się kaszlem.

- **Przestań!** - histeryczny wrzask Brendy jeszcze

zaognił spazmatyczny kaszel. - Nie będzie żadnego palenia w tym domu. Natychmiast wyrzuć tego papierosa!

Zareagował instynktownie, jak zwykle, gdy Brenda łapała go na potajnym paleniu. Papieros trafił do palącego się węgla, w morzu iskier stracił go z oczu. Spojrzał na nią z przestachem, lecz ona pochylała się nad dzieckiem i całowała jego martwe, brzydkie usta.

Ogień rozpalal się na dobre. Fred przyglądał się i zaczął rozmyślać o przestarzałym systemie ogrzewczym. Jeśli rozpalilo się za mocno, przewody zapychały się i piec stawał się czerwony. Mógł łatwo wtedy eksplodować jak bomba. George Clements natomiast bacznie obserwował ogień. Stos pogrzebowy musiał być idealnie przygotowany na przyjęcie zwłok dziecka.

Było coraz bardziej gorąco, palenisko w niezaspokojonym głodzie ryczało o więcej strawy, a paszcza zdawała się rozwierać coraz bardziej jakby mówiła: „Dajcie mi dziecko, dajcie mi ludzkie ciało”.

- Gotowe - George wyprostował się i odwrócił do Brendy. - Złożmy ofiarę naszemu Mistrzowi i błagajmy go o to, by zwrócił nam naszą Elspeth raz jeszcze. Chrystusowe Dziecko zostanie unicestwione, może tym zdołamy go oblaskawić.

Brenda Clements przytuliła nieruchomą i sztywną istotę do łona i zawahała się. Poruszyła ustami. Jej słów nie sposób było dosłyszeć, lecz twarz wyrażała opór przed rozstaniem ze swoim zmarłym dzieckiem.

- Nie... George, nie możemy... nie Elspeth... pochowajmy ją jak przedtem, przy kościele. - Błagała ochryplym głosem, uniosła rękę, jakby zasłaniając się nią przed mężem.

- Czyś ty zwariowała? - wykrzywił twarz z wściekłości i zbliżał się do niej powolnym krokiem, wysunąwszy przed siebie rękę.

- Mistrz zniszczy wszystkich za takie bluźnierstwo. Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że dziecko jest tak samo jego jak i nasze i że musimy zwrócić mu ciało? A po tym czeka nas jeszcze jedna ofiara, żeby go przebłagać?

Nie odpowiedziała, lecz jeszcze mocniej otoczyła dziecko ramionami.

George chwycił ją, siłą rozwarł jej uścisk, wyrwał dziecko i trzymał je za kostkę u nogi, tak że główka opierała się o podłogę. Brenda rzuciła się na niego z wrzaskiem, wbijając mu w kark swoje połamane, brudne paznokcie. Krzyknął z bólu. Zachwiał się i omal nie upadł; starał się wyrwać, lecz bezskutecznie. Teraz ona trzymała kurczowo cienkie, dziecięce ramionko, nie pozwalając wrzucić zwłok do ognia. Zmagali się, zlorzecząc sobie nawzajem. Noga Georga pośliznęła się na kawałku węgla; zachwiał się i upadł, pociągając za sobą żonę. Piekielny ciężar wymknął im się z uścisku.

Fred Ainslow wpatrywał się zdumiony. Był jak zahipnotyzowany tą dziwną sceną, do tego stopnia, że nawet zapomniał o ucieczce.

George wpadł w szal. Dziecko upadło z hukiem

na podłogę; leżało tam z roztrzaskaną czaszką. Nie było potrzeby atakowania Mamy, lecz palce Georga otoczyły jej szyję, ściszając krzyk do zduszonych jęków przerażenia. Światło płomieni błyszczało w jej wytrzeszczonych oczach, które niemal wyskakiwały z oczodołów. Próbowwała jeszcze kopać i bić go zaciśniętymi pięściami, ale on na to nie zważał. Usiłował zdławić w niej życie. Walił jej głową o ziemię, ściskając jednocześnie za gardło.

Wystraszone spojrzeniem prosiła: „Pomóż mi Fred, on mnie zabije!”

Przebudziło się w nim sumienie, rozejrzał się wokoło. Fred pomyślał, że gdyby była tu Barbara na pewno przerwałaby ten cały koszmar. Nie mógł pomóc, był tylko starym człowiekiem i nigdy się do niczego nie wtrącał.

Brenda opadła bez życia, a George szukał po omacku dziecka. Podniósł je, a kiedy dojrzał Freda, po twarzy przemknął mu złowieszczy uśmiech.

- Fred, jesteś z nami albo przeciwko nam - zapytał ciężko dysząc. - Z kim więc jesteś, człowieku? Mów głośniejsze, bo Mistrz słucha.

Ainslow głośnie przełknął ślinę.

- Jestem... z wami, panie Clements. - Ponieważ w przeciwnym razie mnie też zabijesz.

- Świetnie, to właśnie chciałem usłyszeć. - Ton jego głosu napelniał Freda lodowatym chłodem, ale było już za późno na ucieczkę.

George trzymał dziecko przed sobą, jakby ofiarując je komuś.

Fred cofnął się czując jak piwo napływa mu do gardła. Odwrócił głowę, by je z siebie wyrzucić. Musiał jednak wyciągnąć ręce po dziecko. Czuł jego zimno i sztywność; było przecież martwe.

- Spal je w imię Szatana, naszego Mistrza.

Głos Georga Clementsa uspokoił się nagle. Już nie walczył. Zachowywał się jak dokonujący pochówku wikary.

- Módl się, żeby nas oszczędzono, kiedy Mistrz powróci na ziemię w ludzkim kształcie - powiedział do Freda.

Fred postępował posłusznie jak automat kontrolowany przez niewidzialne siły. Wewnętrznie buntował się, ale niczego to nie mogło zmienić. Odwrócił się, świadomy bliskości Georga. Miał teraz przed sobą kwadrat ognia, a piec rozgrzewał się do czerwoności. Fred czuł własny, nieświeży oddech. Zrobił krok, potem następny, nachylił się i chłodno ocenił, iż dziecko można było nawet postawić i zacząć kremację od stóp.

Ogień odsunął się, jakby robiąc miejsce w żarłocznym geście. Fred chwycił dziecko za ramię i rzucił je przed siebie. Wpadło prosto do ognia, lecz straciło równowagę i przez jedną straszną sekundę wydawało się, że wypadnie z powrotem. Potem przechyliło się w tył, znajdując dla siebie wygodną pozycję. Wyglądało niemal na odpoczywające z wyprostowanymi rękami i nogami. Na swój własny sposób oddawało cześć Mistrzowi.

Fred poczuł kwaśny smak w ustach, splunął.

omal nie zwymiotował. Dziecko przyglądało się mu, twarz miało jak maska nienawiści i bólu. Usta wykrzywione były w rzuconym na niego przekleństwie: „Głupcze, nie wiesz, że jestem Chrystusowym Dzieckiem, zbeszczeszczonym jeszcze w matczynym łonie, a teraz palonym dla zaspokojenia ludzkiej niegodziwości?”

Płomienie lizaly ciało, które zaczęło topić się jak gigantyczna, ociekająca lojem świeca. Wydzielał się przy tym potworny odór, zwęglała się biała skóra i ciemniała z sekundy na sekundę, jak ofiara składana bogom starości. Usta wyśpiewywały własne modlitwy, oczy zamknęły się. Fred zapragnął zatrzaskać żelazne drzwi z wiarą, że nic takiego się nigdy nie zdarzyło. Ale musiał to wszystko świadomie znieść do końca.

Zwłoki rozpadały się, kurczyły się pod wpływem gorąca, zmieniały w spaloną, prawie nierozpoznawalną, śmierdzącą masę. Smród był obezwładniający, odór spalenizny wypełnił pokój i sączył się na zewnątrz. Fred zakaszlał, nie mogąc opanować torsji zgiał się wpół. Jego obolałe oczy oszczędziły mu widoku ostatecznej agonii rozpadającego się ciała.

George mrucał nic nie znaczące zaklęcia, w których błagał o łaskę i powrót Elspeth.

Fred wzdrygnął się. Coś w pobhżu poruszyło się na podłodze. Wydał zdławiony krzyk, spodziewał się ujrzeć spalony kształt dziecka, które w konwulsjach pelzało ku niemu, błagając o wybaczenie. Zobaczył jednak postać znacznie większą, wręcz gigantyczną

w porównaniu z tą, której oczekiwał, siwą, pomarszczoną, w gumowych butach na nogach.

- Mama! - George Clements obrócił się i splunął na pelzającą masę bez kształtu.

- Więc wciąż żyjesz, ty, która okazałaś się zdrajcą w naszej godzinie ciemności. Omal nie ściągnęłaś na nas oburzenia i pogardy Pana naszego i Mistrza. Dla ciebie nie ma już litości - krzyknął.

Fred Ainslow skulił się. Wiedział, co tamten zamierza zrobić, podnosząc wykrzywioną łopatę. Wyszczerbione i ciężkie jak siekiera ostrze zawisło w powietrzu. Wydał niemy krzyk.

Kobieta podniosła głowę i niczym na egzekucyjnym szafocie wyciągnęła koścista szyję. Płomień ognia zaiskrzył się na spuszczonej szyi, a śmiertelna błyskawica rzuciła się w pogoni za przewodnikiem i znalazła go. Narzędzie wbiło się głęboko, przecinając zwiędłe ciało i roztrzaskując kości. Usta rozchyliły się w ostatnim krzyku agonii, ale struny głosowe zostały już zerwane. Głowa gwałtownie drgnęła i opadła do tyłu; niewątpliwie potoczyłaby się, gdyby nie elastyczne ścięgno, na którym zawisła. Ciało zatrzęsło się, runęło w przód i trwało w skurczach. Zaczęła tryskać krew.

George Clements wydał wrzask żądz i zemsty, nienawiści i żalu. Łopata podniosła się ponownie. Przypominał robotnika wymachując kilofem, łupał i ciał, dopóki nie oderwał ostatniego ścięgna, a wtedy głowa nareszcie potoczyła się po nierównej, pochylej

**podłodze. Gdzieś w ciemnościach trąciła brzęcząca
puszkę po piwie i zastygła w bezruchu.**

Cisza, która nastąpiła, mogła dla Freda być równie dobrze początkiem nieskończoności. Odrętwiały zobaczył opartego o łopatę Georga, kiwającego głową w uśmiechu. To wszystko, co zdarzyło się dzisiejszej nocy, było zamierzone, więc nie było tutaj winnych.

Wszystko zdawało się mówić: „Ci, którzy nie są z nami, są przeciwko nam. Nawet Mama”.

W końcu George odrzucił szufłę na bok i zbliżył się do Freda. Chwycił go za rękaw i w nagłym geście przysunął swoją spoconą twarz.

- Potrzebny mi teraz jesteś, Fred - powiedział rozkazującym i jednocześnie błagalnym głosem.

- Wrogowie otaczają nas zewsząd. Niektórzy są już martwi, lecz inni jeszcze nie. Zanim nadejdzie świt musimy jeszcze wiele zrobić.

Opór Freda Ainslowa, jeśli taki w ogóle kiedykolwiek był, zniknął już dawno. Zrobi tak, jak George każe, gdyż karą będzie tylko śmierć w najokrutniejszej formie.

- Dobrze! - George zacierał ręce, jakby mył je w mydlinach, wysiłkiem usuwając z nich czarny pył i krew. Elspeth została zwrócona ojcu ciemności w nadziei, że ponownie odrodzi się. Jednakże Mistrz, zanim okaże nam łaskę, żąda następnej ofiary. Pamiętaj dziewczynkę, która zjawiła się tu ze swoją matką w tamtą zamięć śnieżną...

Fredowi zrobiło się ponownie niedobrze.

- Jej czysta i niewinna krew - ciągnął Clements

- stanie się najlepszym winem dla Mistrza. Ale
- ostrzegam - nie będzie to łatwe, ponieważ jej matka

i ten mężczyzna, Pugh, są z nią. Wszyscy są w jednym pokoju - uśmiechnął się - tym lepiej dla nas. Chcą wyruszyć stąd o świcie, na co my nie możemy pozwolić. Trzeba ich tu zatrzymać za wszelką cenę i w tym właśnie pomożesz mi, Fred.

- Co mam zrobić? - zapytał Fred, wiedząc z góry, że na wszystko się zgodzi.

- Coś zupełnie prostego, nawet ty z tym sobie poradzisz - George prowadził Freda do drzwi. - Podpełnij cicho na drugie piętro. Znajdziesz ich w przedostatnim pokoju na lewo. Na zewnątrz drzwi znajduje się zasuwka, pochodząca z czasów, kiedy była tu klinika. Zatrzaśnij ją, a wtedy już na pewno nie wyjdą!

Fred Ainslow skinął głową.

- Niepokoi mnie jedna rzecz... - George Clements jakby mówił do siebie, wyrażając najskrytsze obawy. - „Cień, ręka - myślał Gdzie ona jest? Opuściła tego nieszczęśnika Harrego, wstąpiła w Elspeth, która umarła, a zatem znów została zmuszona do poszukiwania ciała dla siebie. Gdzieś tutaj pewnie była, bo czuł jej obecność. Myślał już z przestraczem, że mógł zostać wybrany, lecz nie tknęła go dotychczas. Jeśli znalazła już kogoś, mieli pod wspólnym dachem stronnika Szatana, potężniejszego od niego. Był jedynie narzędziem i służył Mistrzowi, a jednak lękał się tego, którego posiadał cień.

Fred był posłuszny. Wychodząc z suterenu zaniósł się kaszlem i omal nie potknął o roztrzaskane ciało Jacka Christophera. Ruszył do schodów i zaczął się

skradać, tak jak mu raz kazano. Bez zarzutów wypełnił rozkaz Georga.

- Och, mój Boże, co teraz zrobimy? - Suzannah starała się ukryć, że wpada w liisterię.

- Musimy wyważyć drzwi. - Owain Pugli spostrzegł, że mała Rose porusza się w łóżku; żeby tylko biedactwo zdołało to przespać. - Nie róbmy jednak przypadkiem czegoś nierozważnego. Dlaczego nas tu zamknięto? Ponieważ moglibyśmy zobaczyć albo nawet przeszkodzić czemuś, co dzieje się na dole. Zastanówmy się: przeciwnik nie jest zbyt silny, Clementsowie i stary Fred.

- W normalnych warunkach nie mielibyśmy się czego obawiać, powiedziała Barbara Withernshaw.

- Ale to nie są normalne warunki. Harry, Jack, Vera, wszyscy oni nie żyją...

- Mamusiu, co tu się dzieje? - Rose przebudziła się i natychmiast ścisnęła rękę Suzannah na wspomnienie wypadków ostatnich kilku godzin.

- Wszystko dobrze, kochanie, jesteś bezpieczna

- Suzannah uspokajała córkę.

- Wszyscy jesteśmy razem, nikt cię nie skrzywdzi.

- Jak wydostaniemy się stąd, zrobię sanki

- oznajmił Owain. Z tyłu domu muszą być jakieś kawałki drewna, a jeśli nie, to połamię meble; na początek pójdą stoły z jadalni. W ten sposób można będzie przewieźć Rose i Alison.

- Znakomity pomysł - zauważyła Barbara.

- Wiecie kiedy byłem skautką...

Chciała opowiedzieć jakąś anegdotę, lecz zamilkła

nagle, gdyż pokój pogrążył się w ciemności. Żarówka zamigotała i zgasła. Zewsząd rozległy się westchnienia, każdy miał nadzieję, że światło pojawi się za sekundę, tak jak często zdarzało się podczas silnych wiatrów, kiedy odpowiedzialne za przerwę w dopływie prądu władze bezzwłocznie uruchamiały następny przekaźnik.

Oczekiwali w ciszy. Wzrok przyzwyczajał się powoli do półmroku, upiornej ciemności, rozświetlonej tylko z zewnątrz blaskiem śniegu. Sylwetki rysowały się niewyraźnie; przyglądali się sobie w napięciu, czekając na zbawczy błysk żarówki. Lecz światła w dalszym ciągu nie było.

Bali się odezwać, bali się potwierdzenia swoich najgorszych obaw. Skupili się na drobiazgach obserwując krzyżowy wzór ramy okiennej, ścianę, cień lampy przy łóżku.

Nagle Alison Darke-Smith krzyknęła i wskazała drżącą dłonią na migocący ślad na suficie, kształt, który starał się ukryć w ciemności. - Patrzcie... ręka! - zawołała.

Wszyscy unieśli głowy i zobaczyli coś, co pomknęło szybko jakby wiedziało, że zostało zauważone.

Mogło to być tylko przewidzenie. Ale wszyscy równocześnie czuli to. Było zimno, a wokół wznosiła się obecność zła.

- To ręka, wiem, że tu była - Alison usiadła na posłaniu; wyraźnie drżała w przypływie ogarniającej ją hysterii.

- To mogło być coś niegroźnego - Owain starał się mówić spokojnym i niewzruszonym głosem. - Może wiatr kołysał gałąź za oknem, a my widzieliśmy jej cień na ścianie.

„Kłamię, kłamię głównie ze względu na Rose. Biedne dziecko, ma już dosyć na dzisiaj. Będziemy musieli zaraz wyrwać się stąd, nie możemy czekać nawet do świtu.” - pomyślał.

Znów rozległ się wrzask, głośny, wręcz ogłuszający. Każdy wzdrygnął się, skulił, przylgnął do najbliższej mu osoby. Mistrz wybrał już swoją ofiarę. Barbara Withernshaw spadła z krzesła; mocowała się w spazmach i konwulsjach z niewidzialnym agresorem, dopóki jej zdławiony krzyk nie zamarł zupełnie. A wówczas znów zapanowała przeraźliwa cisza.

Rozdział dwudziesty

Budynek poruszał się i drżał, jakby ziemię zaczęły właśnie nękać wstrząsy. Podłogi wibrowały, • okna brzęczały, grożąc rozbiciem szyb. Nieznana siła, zamknięta w kruchej konstrukcji z cegieł, gotowa była zdmuchnąć ją w każdej chwili, niczym domek z kart.

- Jeśli się tak stanie, to znaczy, że taka była wola Mistrza. - George Clements zdawał się być niewzruszony trzęsieniem. Znaleźli się z powrotem w zaniedbanym mieszkaniu, które latami dzielił z Matką.

Zegar na gzymsie wskazywał czwartą czterdzieści, zwykle nie mylił się więcej niż dziesięć minut. Kończyła się noc, a pozostał jeszcze do wykonania ważny czyn, jeśli przedtem nie spadnie na nich zupełna klęska.

- Dobrze ci poszło, Fred, bardzo dobrze - powiedział.

Ainslow uśmiechnął się nieznacznie na te słowa uznania, pomimo ich złowróbnego tonu.

- Staralem się, zamknąłem te gnidy na dobre. Nie wydostaną się. Drzwi są stare, ale mocne. Dzisiaj już takich nie robią. Wystarczy porównać z tymi nowymi, które wstawiałem w bielizniarce, tymi z dziurką w środku, co pan zamówił ubiegłego lata. Mówią na nie drzwi wewnętrzne. Dobrze, że nie ma takich na górze, bo wtedy... - mówił Fred.

- No właśnie - George ponownie stracił cierpliwość. - Ale mam dla ciebie następną pracę.

- Tak? - starzec poruszył się - Ale musi mi pan znaleźć latarkę, bo wszystkie światła wysiadły. Cholernie to dziwne, zgasło jak tylko zatrzasnąłem drzwi i byłem na drodze na dół...

- To ja wyłączyłem bezpieczniki. Niech posiedzą w ciemnościach. W głowach im się przewraca, jeśli znów zaczną myśleć o ucieczce. A poza tym - Clements łypnął okiem i zbliżył twarz do Freda - ciemność nam sprzyja. Jesteśmy sługami ciemności.

- Co muszę zrobić?

- Nic wielkiego. Lubisz palić, prawda?

- To mój nałóg - odparł ostrożnie Fred Ainslow. Mama, kiedy tylko poczuła od niego zapach nikotyny, pieklila się tak bardzo, że mąż musiał ją uspokajać. Czyżby to był jakiś podstęp?

- Możesz więc palić z moim błogosławieństwem i pewien jestem, że przy takiej okazji Mama, gdziekolwiek teraz jest, udzieli ci swojego - oznajmił George bez zająknięcia, spoglądając na niego zza przymrużonych oczu. - Lecz najpierw coś musi zostać zrobione. W szafie w hallu znajdziesz stare gazety, te które bierzesz rano do rozpalania kotła.. Zanieś na drugie piętro, zgnieć i ulóż w stos. Dorzuć do niego jakieś kawałki mebli - mogą być krzesła i pościel z pustych pokoi. Rozumiesz?

- To znaczy... mam zrobić na piętrze cholerne ognisko?

- Chwyciłeś pomysł, Fred. Jak już wszystko skończysz, możesz sobie zapalić, a jeśli będziesz trochę nieostrożny, rzucisz rozpaloną zapalną...

- Hej! - Fred znów zaczął drżeć; zobaczył zamazane światło, bijące od świecy stojącej na środku stołu. - Pan mi mówi, żebym popełnił morderstwo!

- To nie morderstwo, ale ofiara, Fred. Nie rozumiesz, więc pozwól, że ci wytłumaczę. Elspeth została oddana płomieniom po to, by mogła powrócić do ojca. Mistrza. Teraz Mistrz żąda kolejnej ofiary, najlepiej młodej dziewicy. Mamy dziewczynkę, ale jej ochrona stwarza nam problem. Wykonałeś już kawał świetnej roboty, zamykając ją wspólnie z jej stróżami w jednym pokoju. Ale nie ma sposobu na oddzielenie ich od ofiary, więc... Wyprostował się. - Możemy ją złożyć w ofierze przez ogień i pozostałych. Rozumiesz?

Fred Ainslow rozumiał aż zbyt dobrze. Cały drżał, ale zdołał skinąć głową, wiedząc, że i tak to zrobi, gdyż z jakiejś straszliwej i nie wyjaśnionej przyczyny nie miał siły odmówić. Mógł przecież już wcześniej wyjść z pokoju i skierować się do frontowych drzwi, tak jak Vera Brown, ale nawet wtedy nie zdołałby uciec. Zdawało mu się, jakby niewidoczne istoty kontrolowały każde jego posunięcie; czuł je, czuł ich skupione cienie, podążające w ślad za nim. Wiedział, gdyby spróbował zawieść Georga, zdolne były do ukarania go czymś straszniejszym jeszcze niż śmierć. Wykonywał wszystkie ich polecenia i teraz Mistrz nie był już dlań tylko częścią wyobraźni Georga. Jakaś okrutna siła zabiła Harrego i Jacka, posłała Verę i Barbs na śmierć. Potężne zło jego też pochwyliło. Spełni każdy ich rozkaz.

- Pojmuję - wymamrotał i odwrócił się.
- Zostaniesz sownie wynagrodzony - wyszeptał George - jeśli nie w tym życiu, to w wiecznym, gdy spotkasz się twarzą w twarz z Szatanem. Ale strzeż się, cień pozostaje wciąż nie rozpoznany. Mimo że trzyma naszą stronę, jest niebezpieczny... może mieć własne plany.

Fred podniósł gumową latarkę z krzesła przy drzwiach i sprawdził jej światło w ciemnym hallu. George wyrażał się tak zagadkowo, że aż skóra cierpła, bardziej nawet niż wtedy, gdyby rozumiał.

Pochylając się nad Barbarą Withernshaw Owain poczuł się zupełnie bezradny. Gdy oświetlił ją mizernym światłem latarki, ujrzał bladą twarz i wyciągnięte bezwładnie ciało. Po jego prawej stronie leżała skulona Alison - chyba uciekłaby gdyby było dokąd, lecz znalazłszy się teraz w potrzasku próbowała szczelnie owinać się kołdrą.

Suzannah starała się uspokoić Rose, szeptała coś do drżącego dziecka. Och, Boże, pomyślał Owain. Tego mi tylko brakowało! Starsza kobieta nie mogła nie żyć albo zapaść w śpiączkę w ataku serca, udarze czy szoku wywołanym cieniem, którego nikt naprawdę nie widział. Ulotny kształt mógł być czymkolwiek. Co, do diabła, mam zrobić? Zdaje się, że jestem lekarzem i grabarzem w jednej osobie. Próbował odgadnąć: masaż serca czy pocałunek życia?

- Ona nie żyje! - zaczęła zawodzić Alison, popadłszy niemal w histerię.

- Zamknij się - huknął. - Siedź cicho i pozwól mi przyjrzeć się jej.

Dziewczyna zamilkła. Owain słyszał cicho płaczącą Rose. Z trudem zwalniał zapięcia przemoczonego płaszcza kobiety; zdolawszy odpiąć trzy górne natrafił na gruby, robiony na drutach, wciągany przez głowę sweter. Nie mógł go zdjąć, więc podciągnął od dołu. Jezu, pod spodem miała gruby, wełniany stanik; poczuł miękkość jej ogromnych piersi, które wypełniały olbrzymi biustonosz wygładzając walki nadmiernego tłuszczu, które były jak fale rozbijające się o brzег. Piersi przelewały mu się pod palcami niczym morze w przyplwyie i odpływie, i gdzieś tam pod nimi znajdowało się to diabelskie niezdrowe serce, mimo że sama tak bardzo walczyła ze złem cholesterolu.

Był prawie pewny, że nie żyła i już miał prosić Suzannę o lusterko, kiedy Barbara zajęczała wydając dźwięk z głębi swojego potężnego ciała, który zawibrował mu w palcach, wciąż penetrujących miejsce, gdzie musiało być serce. Był wstrząśnięty, aczkolwiek przyjął to z ulgą; spłoszony wyrwał rękę, jak kochanek cudzołóżnik, zaskoczony przez zazdrosnego męża. Odetchnął, po czym skierował światło latarki na twarz Barbary; zobaczył jak powoli otwierała oczy, które wyrażały oszłomienie, a potem strach.

Żyła. Przyjrzał się jej bacznie. Wracala do przytomności, próbowała coś powiedzieć. Usłyszał jakiś nieartykułowany dźwięk, lecz po chwili odpoczynku jeszcze raz spróbowała.

- Już wszystko dobrze. - Tylko na tyle było go stać. - Po prostu zemdlala pani - wymyślił chytrze, jak tylko zauważył, że nic jej się nie stało. „Chyba zresztą naprawdę nie było to nic poważnego”

- pomyślał.

- Ręka... - jej oczy rozbiegły się; odwróciła głowę, jak gdyby w poszukiwaniu cieni, spodziewając się dojrzeć w kącie makabryczny, przyczajony kształt, przypominający opasłego pająka. - To... dotknęło mnie. Takie... zimne.

- Nerwy wzięły górę nad nami wszystkimi - powiedział, co z pewnością było prawdą. - Jeśli to nawet ta cholerna ręka, to już jej nie ma - zakreślił wątlm światłem latarki pełny okrąg i skupił je z powrotem na Barbarze. - Widzi pani? Niczego tu nie ma.

Usiadła z wysiłkiem, odepchnęła jego powstrzymującą rękę. - Już dobrze, panie Owain, nie musi pan mnie rozpieszczać. Nie mam zamiaru się poddawać. Ta ręka dotknęła mnie... tutaj! - przyłożyła dłoń do szyi. - Tylko dotyk, nic więcej. Miejmy nadzieję, że nie mnie właśnie szukała.

- Oczywiście, że nie.

- Musi pani przez chwilę odpocząć - powiedział Pugh.

- Tylko chwilkę - uśmiechnęła się wymuszenie.

- Nie traćmy czasu. Czy myślał już pan, Owainie, jak włamać drzwi?

Podniósł się i przeszedł po pokoju, poszukując czegoś, co mogło posłużyć za taran. Była tam jedynie

dębowa toaletka, mebel na rolkach z lustrem wystającym niby żagiel na nieruchomym statku. Obejrzał go, potarł podbródek; mebel był krótki i ciężki, lustro za bardzo sterczało, ale rolki pomogły mu uderzyć w drzwi. Metoda była prymitywna i prowizoryczna, ale musiał się nią zadowolić.

- Mam zamiar posłużyć się tym - wręczył latarkę Barbarze.

- Niech pani świeci, muszę choć trochę widzieć. Owain odsunął mebel od ściany, przetoczył go na przeciwną stronę, przykucnął na nim i sprawdził jego ruchliwość. Okazał się nieporęczny, jak duże wózki w supermarketach, w których przewozi się zakupy na parking; zawsze miał kłopot z manewrowaniem, gdyż trudno było w drodze do samochodu nie zahaczyć o cudzy wóz. Mebel nie poruszał się lekko, Owain musiał zebrać wszystkie siły.

- Dobrze. - Jego słowa nie miały konkretnego adresata. - Zaraz ruszam. Odejdźcie - cokolwiek się stanie, będzie potężny huk.

Naprężył się i odbił mocno od ściany. Kółka obracając się wydawały zgrzytliwy łoskot, powoh nabierały rozpędu. Z całych sił parł do przodu, przymierzając się do uderzenia. Miało nastąpić w każdej sekundzie, teraz! Trwało to wieczność, jak gdyby pchał ten mebel na długości dwudziestu, a nie czterech metrów, gromadząc moce jak kiedyś Wikingowie u bram oblężonego zamczyska. Nastąpił wstrząs, trzask łamanego i rozłupywanego

**drewna. Owaina odrzuciło do tyłu z siłą, którą
poczuł każdym**

mięśniami ciała. Rozległ się hałas rozbijanego z brzękiem szkła. Spróbował dojrzeć efekt swojego uderzenia.

Mały okrąg żółtawego światła zaspokoił jego ciekawość. Toaletka przechyliła się na prawo, jedna z wystających części złamała się, z otwartych szuflad rozchodził się silny zapach naftaliny. Po lustrze pozostał jedynie srebrzysty ślad, odpryski szkła migotały w świetle, drwiąc z niego. Stał wpatrzony we własne dzieło i czuł, że traci nadzieję. Drzwi pozostały nienaruszone, zaledwie trochę obtłuczone, natomiast toaletka przechyliła się na stronę, gdzie brakowało teraz rolki, przez co następna próba z góry skazana była na niepowodzenie. Połamany wrak z roztrzaskanym lustrem przypominał mały samochód po upadku, z którego zbiegł kierowca.

Owain podszedł bliżej, chcąc obejrzeć uszkodzenia. - No cóż. - Odsunął butem rozbite szkło pod ścianę. Jeśli ktoś ma inne pomysły, to proszę. Albo się przymknijcie, do cholery. Możemy mieć z tego najwyżej siedem lat nieszczęścia - próbował żartować.

- Słuchajcie! Co to? - Barbara Withernshaw stanęła na nogi i uniosła rękę, nakazując ciszę.

Owain nadśluchiwał, ale słyszał jedynie szum w uszach; serce waliło mu z wysiłku. Podłoga zdawała się drżeć, drgania poprzez stopy wędrowały w górę fiata Trzęsło, jakby przebywało się na chodniku, nieopodal rolnika pracującego wiertarką. Dudniło i brzęczało, echo wibracji dochodziło aż do mózgu.

- Słyszysz pan? - Barbara wykrzyknęła jeszcze raz. - Jakby... początek trzęsienia ziemi.

- Niech pani nie mówi głupstw - musiał zaprowadzić spokój, w świetle latarki dojrzał trzy blade i przerażone twarze.

- To może być zaginiony w śniegu pług, który podjechał aż do drzwi wejściowych.

- Ja wiem, co to jest! - Barbara rozpoznała hałas starego grzejnika, podobne wstrząsy słyszała już raz w tym domu kilka lat temu.

- Bojler został zapchany - powiedziała ze strachem Barbara. - Zdarzyło się to już parę lat temu i wszyscy myśleliśmy, że wysadzi nas w powietrze. Zakładam się o ostatniego dolara, że wiem, co się dzieje. To ten cholerny dureń Fred. Musimy się stąd wydostać, panie Pugh, i to szybko, ten dom jest jak mina!

- Okay, niech pani coś wymyśli - Owain oparł się o ścianę i splótł ręce. - Może nie traciłaby pani tyle czasu, gdyby miała pani trochę pomysłów.

- Bezczelny! - odwróciła się do niego, wymachując latarką jak maczugą. - Jest pan największym egoistą jakiego spotkałam. Do tego zarozumiałym. Tylko dlatego, że się panu nie udało, zwała pan winę na mnie.

- Uważam, że jest pani bardzo niesprawiedliwa, pani Withernshaw - odezwała się Suzannah ze złością, tuląc mocno do siebie córkę.

- Pan Pugh był absolutnie wspaniały. Drzwi okazały się po prostu mocniejsze niż toaletka, ale to nie

jego wina. Ona ma rację, a pani za wiele mówi.

- Świetnie. Zatem nie odezwę się już więcej
- usiadła na łóżku, trzymając latarkę z daleka od Owaina.

Właśnie wówczas usłyszeli hałas tuż przy drzwiach. Coś szeleściło i chrobotalo, ktoś się poruszał w korytarzu, najwyraźniej taszcząc ze sobą coś ciężkiego. Owain poczuł zapach dymu z papierosa i usłyszał kaszel. Odgłosy na chwilę zamilkły, po czym znów rozległy się posuwiste kroki, zakończone głuchym łoskotem naprzeciw drzwi sypialni. Ponownie dał się słyszeć szelest. Owain zidentyfikował go: to były rozpościerane i gniecione gazety. Woń papierosa stawała się coraz bardziej natarczywa.

- To Fred - Barbara zapomniała o swojej obietnicy i wyszeptala - Do czego on może być zdolny?

Niech pani go zapyta - odparł Owain. - Myślałem, że to pani pupil. Może pani powie.

Wstała i podeszła do drzwi.

- Fred? - podniosła głos do chrapliwego krzyku.
- Fred, czy to ty? Szelest gazet ucichł. Nastala cisza; ten ktoś odszedł, pozostał tylko sączący się pod drzwiami dym z papierosa.

- Fred, wiem, że tam jesteś. Powiedz, co masz zamiar zrobić?

Znów rozległ się kaszel, po czym cichł powoli do ciężkiego oddechu, jak u cierpiącego na astmę.

- Fred, przestań strugać durnia i powiedz mi, do cholery, co tam się dzieje? Przyznaj sam, czy nie płaciłam na twoje utrzymanie przez cały ten

czas? Gdyby nie ja, wciąż gnilbyś w tej ruderze w Lampeter. Pomyśl tylko, jak wiele dla ciebie zrobiłam; mógłbyś przecież już nie żyć. No już, żądam, żebyś mi powiedział, co robisz?

- Proszę, nie pytaj, Barbs - wyjęczał unizonym tonem.

Owain wyobraził sobie udręczony wyraz twarzy starca, lękającego się kobiety, która zdominowała jego życie przez ostatnie parę lat i nadzorowała go dla jego dobra.

- Pytam ciebie, Fred. Skończ ten nonsens i po prostu powiedz mi albo się na ciebie pogniewam. Odbiorę ci całą pensję i poczujesz to wtedy, kiedy nie będziesz miał za co pić i palić.

- To nie moja wina, Barbs. Nic nie mogę poradzić. To pan Clements. Najpierw kazał mi spalić dziecko, a potem sam odrąbał głowę Mamie!

- Boże Wszechmogący! - zawołała Barbara i chwyciła za rękę. Nawet przez sekundę nie wątpiła w prawdziwość tego, co mówił Fred Ainslow. Wiedziała, że bywał niekiedy kłamczuchem, ale teraz nie miał powodu, by kłamać. Wyczuła również, że znów mogła przejąć nad nim władzę, mimo że dzieliły ich zamknięte drzwi.

- Możesz za to długo posiedzieć, Fred - oznajmiła. Postanowiła postępować z nim surowo, lecz ze współczuciem. Metoda była sprawdzona. - Pytam cię po raz ostatni, co tam robisz? No już, chcę wiedzieć, inaczej postaram się, żebyś miał dużo kłopotów.

- Robię ognisko, Barbs, jak kazał Georges. Z papieru i mebli, a potem rozpalę je.

Owainowi zaparło oddech w piersi; poczuł, że kobiety skuliły się z przerażenia. Ale Barbara znów miała nad nim władzę i zapomniała o strachu. Stanęli w obliczu prawdziwego, ogromnego niebezpieczeństwa, a nie ledwie widocznego cienia, którego równie dobrze wcale mogło nie być.

- To bardzo głupie, co robisz, Fred. Jeśli George kazałby ci wsadzić palec do ognia, to przypuszczam, że też byś to zrobił.

- Teraz, w tej sytuacji muszę, Barbs. On jest diabłem, został także dotknięty przez diabła. Dlatego musiałem spalić dziecko, a Mama straciła głowę. Próbowala się mu przeciwstawić. Rozumiesz, Barbs?

- Słabo - trzęsła się cała, raczej z wściekłości niż z przerażenia. - Przecież to nie wyjaśnia powodów, dla których miałbyś nas wszystkich spalić, Fred.

- Ponieważ... - zawahał się, jego drżący głos stał się tak cichy, że w pokoju trudno go było dosłyszeć. Zdawał się szukać w pamięci powodu, dla którego miał ich spalić.

To przez tę małą dziewczynkę. On mówi, że trzeba złożyć następną ofiarę, jeżeli dziecko ma znowu powrócić i że musi to być dziewczynka. Poza tym sądzi, że odda większą cześć Mistrzowi, jeżeli przy okazji wszyscy spalicie się.

- Cudownie! - Barbara Withernshaw niewiele mówiła. Czula ogromną chęć wydostania się stąd, a to musiało być dobrze rozegrane. Rzuciła przynętę.

na którą się starzec złapał, ale wciąż trzeba go było wyciągać.

- A czy zdajesz sobie sprawę z tego, że zapchałeś bojler i że możemy eksplodować w każdej chwili, wszyscy, razem z tobą?

Słychać było wrzącą wodę w rurach centralnego ogrzewania, rozsadzającą rozgrzane do granic wytrzymałości stare przewody. Coś stuknęło i zachrobotalo, zaczęła się nowa fala wstrząsów.

- Clements kazał mi go naładować, Barbs.

- On jest pomyłony. - Jak wszyscy w tym przeklętym domu.

- Tylko jedno może cię uratować, Fred. Otwórz drzwi i wypuść nas!

Nastąpiła chwila ciszy. Rose cicho lkała, a Alison schowała się w pościeli leżącej na podłodze.

- Fred, to twoja ostatnia szansa. Otwórz drzwi. Inaczej powiadomię policję i dopilnuję, żebyś już nigdy nie dostał ani jednego szluga i ani jednej kropli piwa. Nigdy. No już, otwieraj!

Powolnym krokiem przeszedł po szeleszczącym papierze, ręka Freda zachrobotala przy drzwiach. Zaczepił powietrze i chrząknął, mocując się z zasuwą. Zwolnił ją, a Barbara w tym czasie chwyciła za klamkę i pchnęła drzwi; ich stróż mógł jeszcze się rozmyślić.

- Dzięki Bogu! - Owain chwiejnym krokiem wy dostał się na posępny, ciemny korytarz. Starł się nie patrzeć na porozrzucone papiery, stos krzesel, złamany stolik do kawy, który zwykle stał pod oknem pod

przeciwległą ścianą. Widział jedynie starego mężczyznę w wyświechtanym płaszczu, postać, która jakby przybyła ze śnieżnych pól po ciepło, nierozumną istotę, rozglądającą się teraz w zaskoczeniu.

- Nareszcie wolni. - Zawrócił, czekając na Suzanne, która właśnie pojawiła się w drzwiach z Rose. Za nimi szła Alison, z ciągnącym się po podłodze kocem.

- Wyjdźmy stąd jak najszybciej.

Cały dom wydawał się drżeć pod naporem starego kotła, także klepki podłogi pod ich stopami drżały.

- Niech pan poczeka - Barbara Withernshaw złapała go za ramię.

- Trzeba pojmać Georga.

- Do diabła z Georgiem, my...

- On jest złem - zniżyła głos do szeptu, usta niemal przycisnęła do jego ucha. - Może mieć w zanadrzu jakieś szatańskie pomysły. Fred mógł być częścią jego podstępного planu.

- Pani chyba zwariowała, Niech pani szuka Georga, jeśli chce, ja zabieram stąd dziewczyny i wychodzę jak najprędzej.

Przez chwilę jej twarz skrzywiła się z wściekłości, ale potem skinęła głową.

- W porządku, niech pan robi jak chce i...

Nagle Fred Ainslow zeszywniał, wygiął się w pałąk, a następnie wyciągnął na piętach i runął do tyłu pod ścianę. Załedwie przez moment utrzymywał równowagę, potem wolno skulił się i padł na ziemię.

Plaszcz rozchylił się, obnażając jego chudą postać, odzianą jedynie w podziurawiony podkoszulec i przetarte długie kalesony. Jego twarz przypominała białą maskę pokrytą szczecinią i wągrami, usta usiłowały powiedzieć coś jeszcze.

Barbara uklękła, wsunęła pod niego rękę i spojrziała na Owaina.

- Biedaczysko. To było ponad jego siły.

- Nie rozumiem - rozległ się urywany półszepc, jednakże w szaleństwie Freda Ainslowa Owain dostrzegł błysk przytomności. Było to ostrzeżenie, które starzec usiłował z wielkim trudem z siebie wydobyć. - Ręka musi być w pobliżu... George mówi, że to jest ręka Szatana... i że zło przyniesie...

Fred Ainslow uciął w pół słowa. Jego oczy zaszły mgłą, głowa powoli opadła. Barbara pozostała jeszcze przy nim na kolanach.

Lecz Owain nie czekał. Wziął za ręce Suzannę i Rose, sprawdził czy Alison idzie za nimi. Zaczęli schodzić po schodach. Jeżeli Barbara zdecydowała się pozostać, była to wyłącznie jej sprawa.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Hall był pusty. Stwarzał wrażenie przedsionka grobowca, ich kroki dudniły. Na ścianach upiorną bielą odbijał się śnieg, którego światłem skrzyła się noc. Drzwi frontowe zdawały się wabić ich szyderczo: cokolwiek wybieriecie, czeka was śmierć. W ogniu albo w śniegu.

Kociół pracował coraz głośniejszy, jakby demony ożyły pod ich stopami. Pulsujące wściekłością monstrum chciało dźwignąć podłogę, żeby się do nich dostać; unosząc się i opadając tworzyło muzykę na garnki i sztućce, rozlegającą się z brudnej kuchni.

Czuli, że zło przybrało na sile. Uciekali przed nim jak w makabrycznej zabawie w kotka i myszkę. Rzucili się do drzwi, lecz nie na wiele im to się zdało. Wciąż pojawiała się niewidzialna bariera, która to ustępowała, to znów wyrastała. Na zewnątrz budynku słyszeli skowyt wiatru, który usypywał zaspy, działając w przymierzu z ciemnymi siłami w Donnington.

Owain ponownie poczuł niemoc, nieomal klęskę. Musiał ją przezwyciężyć ze względu na Suzannah i Rose. A także Alison. Musiał walczyć dla nich.

Czas wydłużał się w nieskończoność. Świadom obecności trzech istot za plecami Owain chciał odwrócić się i kazać im odejść, gdyż nie chciał pokazywać im tego, co działo się na dworze. Chwycił starą

galkę u drzwi, zamknął na sekundę oczy... sam też nie chciał widzieć. Puszczaly mu nerwy. Wiatr napierał jak niewidzialny taran. Owain czuł jego moc; wyteżył siły, aby zatrzymać drzwi, które rozwarły się z trzaskiem, omal nie uderzając w ścianę. Owain zawisł na nich; śnieg sypnął jak pierze w białym huraganie, rozrzucając po drodze biały puch. Wiatr wyl tryumfalnie wdarłszy się w końcu do wewnątrz i klinując drzwi śniegiem, by nie zamknęły się znowu. Wiatr zajęczał, porwał koronkową zasłonkę w hallu i uniósł ją w stronę schodów.

- O Boże! - Suzannali widząc, co się dzieje, przygarnęła Rose i odwróciła się mając dosyć tego widoku. Przerazona Alison patrzyła w milczeniu, chyba nie rozumiejąc do końca.

Owain mocował się z drzwiami; wykopał butem zalegający śnieg i zdołał je zamknąć, jednakże zapadka nie zaskoczyła. Pchnął zasuwę. Teraz śnieg znajdował wejście przez szparę u dołu drzwi, po czym sunął po podłodze na skos. Zamknął jeszcze raz oczy, lękał się spojrzeć w twarz Suzannie. Nigdzie już stąd nie pójda. Krew w skroniach pulsowała mu równomiernie z uderzeniami wody w najbliższym grzejniku. Nie mieli innego wyboru poza tym, żeby tu zostać i zginąć.

Suzannah nie pytała, co mają robić; wiedziała doskonale, że nic im już nie pozostawało. Dziękował jej po cichu za to, że nie obarczała go odpowiedzialnością.

**„Kocham cię Suzie i chciałbym mieć tyle odwagi,
żeby ci to wyznać jeszcze przed śmiercią" - myślał
Pugh.**

Wreszcie odwrócił się do niej i zobaczył jej słaby uśmiech. - Przypuszczam, że to koniec ucieczki - powiedziała.

Skinął głową; dojrzał Barbarę Withernshaw, znikającą na schodach sutereny. Nie miał pojęcia, czego tam szukała, zresztą było mu wszystko jedno. Wyglądało, że bardzo jej się spieszy, jej korpulentna postać poruszała się zadziwiająco szybko.

- Chodźmy do kuchni - zaproponował. - Może napijemy się herbaty? W końcu gorącej wody mamy pod dostatkiem. Pośrodku sosnowego stołu stała na wpół wypalona świeca; gdy otworzyli drzwi jej płomień zamigotał w przeciągu. Powitał ich zapach palonego łoju. Być może George Clements wcześniej ukrył się tutaj. Owain miał nadzieję, że tamten już tu nie wróci.

- No cóż, popatrzymy, co tutaj mamy... - rozejrzał się i zobaczył parujący czajnik w schowku na piecu. - Jest wrzątek, zaraz będzie herbata.

- A co z bojlerem? - zapytała Suzannah.

- Może się sam ochłodzi - stać go było przynajmniej na trochę optymizmu. - Te stare bojlerki są bardzo wytrzymałe. Przez wiele lat były przeciążane, a mimo to działają nadal. - Aż w końcu nie wytrzymają. Zalał wodą kilka torebek herbaty i starał się odwrócić uwagę od zawodzenia wiatru i brzęku przewodów z gorącą wodą.

- Co to, mamusiu? - wyszeptala Rose ściskając Suzannę za ramię.

- Co, kochanie?

Wszyscy nasłuchiwali. Rozlegający się z dołu hałas brzmiał jak ludzki głos, okrzyk wściekłości lub strachu. Owain poruszył się, chwycił ciężki pogrzebacz i trzymał go mocno.

- Możliwe, że to Barbara - rzekl. Nie może to być nikt inny poza nią lub Georgem, bo oprócz nich wszyscy są już martwi. Nawet Vera. Z takiej zamieci nikt nie uchodzi z życiem.

Rozlewał herbatę do kubków, wciąż nasłuchując. Napelnił dodatkową filiżankę dla Barbary na wypadek, gdyby do nich dołączyła.

- Diabli by ją wzięli, jeśli zdecydowała się postępować po swojemu, to w końcu jej sprawa - pomyślał.

Alison usnęła na krześle wyczerpana bólem. Powinna leżeć, pomyślał Owain. Właściwie mógłby poszukać dla niej jakiegoś łóżka i przynieść je tutaj. Jednak za wszelką cenę musieli się trzymać razem. Ta odrobina bezpieczeństwa, jaka im pozostała, tkwiła w gromadzie.

- Ktoś idzie - Rose skuliła się i przytuliła się do matki; szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w drzwi. Po chwili i oni usłyszeli miękkie kroki, po których poznali Barbarę, zanim jeszcze otworzyła drzwi. Zamknęła je za sobą i oparła się o nie, jak gdyby odgradzając się od prześladowcy.

- To George - powiedziała w końcu.

Owain Pugh poczuł przenikliwy chłód.

- Nie żyje?

- Nie - spojrzała na niego spokojnie. - Ale Fred

miał rację: to Brenda. George odrąbał jej głowę w kotłowni. On...

- Wystarczy. Proszę nam tego oszczędzić - przerwał jej Owain. - Czekaj na panią kubek herbaty.

- Bardzo dobrze się stało, że poszłam poszukać Georga. Tamta ręka, wie pan, cień, który mnie dotknął na górze. No cóż, znalazła w końcu tego, kogo szukała... Georga Clementsa. On jest opętany i nie ma co do tego wątpliwości. Znalazłam go na dole z... No cóż, wiecie z czym go znalazłam, i ten szubrawiec omal mnie nie pochwyił. Na szczęście byłam dla niego za szybka. A także zbyt silna. Wyrwałam mu z ręki szufłę i tak zdobyłam przewagę. Nie mogłam mu pozwolić na spacer po domu, chyba mnie rozumiecie?

- Więc co... co pani z nim zrobiła? - zapytał Owain i zaraz zaczął tego żałować, ze względu na Rose.

- Zamknęłam go na klucz w pokoju Harrego - uśmiechnęła się. - To najlepsze, co można było zrobić. Na zewnątrz jest mocny zamek, ponieważ zwykli często zamykać tego biednego starego, czasem nawet na wiele dni. Miał ataki epilepsji, rozumie pan. Zatem George jest tam i dotrzymuje towarzystwa zwłokom brata. W końcu nie mamy dokąd pójść, a jak długo on żyje, nic nam nie grozi. Dopiero gdy umrze, jego cholerny duch znów uda się na poszukiwanie ciała.

- Rozumiem - Owain upił łyk herbaty. Wcale nie rozumiał, ale wystarczyło mu to, że George Clements

pozostawał w zamknięciu. Stamtąd nie mógł nikomu zaszkodzić.

- Zaciągnęłam również zasuwę w bojlerze - poinformowała Barbara. - Jeśli dopisze nam szczęście, to w końcu się uciszy. Chryste, nabili go po brzegi...

- Czy to oznacza, że jesteśmy bezpieczni? - zapytał wreszcie Owain.

- Na razie tak - odparła. - Wszyscy, którzy nam zagrażali, zostali wyeliminowani, więc jeżeli bojler nie eksploduje - a nie sądzę, żeby nastąpił wybuch - do pokonania pozostaje nam jedynie śnieg.

- Rose i Alison potrzebny jest lekarz. Tak czy inaczej musimy stąd się wydostać, Barbaro. Jak tylko się rozjaśni zobaczymy, co się da zrobić - rzekł Owain.

- Nigdy nie przedostaniecie się przez te zasy - powiedziała - są ogromne. Gdy nadejdą roztopy odnajdą was, razem z Verą. Mnie jedynie dzięki łasce Boskiej udało się nie stracić życia w zadymce śnieżnej.

Napięcie spadło. Była to noc pełna przeżyć, lecz na szczęście wszyscy szaleńcy schodzili im z drogi. Owain wędrował wzrokiem po pokoju szukając krzesel i skrzynki z narzędziami.

- Wciąż zastanawiam się, czy nie można by zbudować sanek - zastanawiał się. Była to nieskomplikowana stolarka, nic szczególnego, kilka kawalków drewna i trochę gwoździ.

- Chyba pan zwariował - odrzekła Barbara - ale niech pan spróbuje, jeśli to pana uszczęśliwi. Tyle

tylko, że ta kuchnia nie wydaje mi się do tego zbyt odpowiednia, nieprawdaż?

- Co pani ma na myśli? - oczy Owaina zwięzły się.

- Pokój Georga i Brendy jest znacznie wygodniejszy, przy tym równie ciepły jak kuchnia i jest w nim łóżko.

- Nie! - krzyknęła Rose. - Mamusiu, nie chcę tam iść.

- I nie pójdziesz - odparła stanowczo Suzannah. Rzuciła Barbarze pełne oburzenia spojrzenie.

- Niechże pani myśli. Rose nie pójdzie tam po tym...

- Dobrze już, dobrze, zapomnijcie o tym, co powiedziałam - Barbara odwróciła się. - W takim razie decyzję pozostawiam wam. Róbcie swoje sanki i śpijcie na tych twardej krzesłach, róbcie do cholery, co chcecie. - Wyszła z pokoju trzaskając drzwiami.

- Jak widać, bardzo łatwo obrazić Barbarę - spróbował zażartować Owain. - Zachowuje się tak, jakby zmieniła zdanie i chciała teraz tu zostać. - Gdy to przemyślał, zaniepokoiło go. Być może myślała niechętnie o opuszczeniu domu ze względu na leżącą gdzieś w śniegu Verę. Nie miała sumienia jej tak zostawić, nawet jeśli była już martwa. Ani Very, ani Freda. A jednak to żywi potrzebowali pomocy, a najbardziej Rose i Alison.

Wykonanie sanek nie okazało się tak proste, jak się mu początkowo zdawało. Pracował przy świetle świecy, a z narzędzi dysponował jedynie młotkiem.

parą kombinerek i garścią gwoździ, z których większość była zardzewiała i wcześniej już używana. Jako materiał posłużyły mu proste, przedwojenne krzesła, wykonane z twardego drewna, w które gwoździe nie chciały wchodzić.

Po chwili poszukiwań znalazł piłkę do metalu i zaczął odcinać siedzenia, co naprawdę nie było łatwe: ręczka ugrzęzła w przepiłowanej szczelinie, więc musiał ją stamtąd wydobyć. Ostrze w każdej sekundzie groziło złamaniem.

Cudem jednak nie pękło i w jakiś czas później Owain trzymał w rękach niezbyt równy kwadrat drewna, od góry zakończony formicą, do którego zaczął przybijać płozy z oparcia. Musiał tu gdzieś leżeć kawałek sznura, ale poszuka go później.

- Teraz doceniam prowizoryczne konstrukcje jeńców wojennych - powiedział do siebie. Zrobił przerwę na herbatę i po raz pierwszy poczuł, że był spocony.

- Jak zamierzasz to ciągnąć? - Suzannah nie była zbyt uszczęśliwiona pomysłem wiezienia córki przez zasy śnieżne na czymś takim.

- Ja będę się przedzierał przez śnieg - odparł - podczas gdy ona będzie całkiem bezpieczna na sankach. Jakoś sobie poradzimy.

- Czy nie byłoby prościej pójść po pomoc?

- Może tak, a może nie. Sanki zabiorą je obie, Alison i Rose, mogą się przy tym nawzajem trzymać.

- Idę z wami - oznajmiła. Chryste, chyba nie sądzisz, że sama tutaj zostanę?

- Zgoda. Wyniosę je na tył domu i zobaczę, czy uda mi się gdzieś znaleźć kawałek sznura. Nie zostanę długo.

Przeniósł nieporęczne, sklecone domowym sposobem sanki przez drzwi. Znalazszy się w hallu skierował się do tylnego wyjścia. Latarka wystarczająco oświetlała mu drogę. Przynajmniej wiatr nie zaciął w tylne drzwi.

Owain dostrzegł małą szafkę po lewej stronie; zatrzymał się i zajrzał do niej. W ciemnej wnęce zobaczył kłębowisko połamanych skrzynek po wazywach, przeznaczonych na podpalkę, spłaszczone kartony, puste słoiki i... jego palce zacisnęły się na kawałku nylonowego sznurka. Zaczął rozwijać go.

- Eureka! - zamanifestował głośno swój tryumf.
- Mam wszystko, co trzeba, będzie go ponad metr.

Przywiązał sznur do przodu sanek i oparł je o drzwi. Czekał na zadanie ponownie roznieciło słabnący zapal. Przynajmniej znów miał nadzieję.

Wrócił do kuchni. Z suterenu dochodził słaby łomot, jak gdyby wężle pięści uderzały w odporne drzwi. Dźwiękom towarzyszyły stłumione przekleństwa. Owain starał się o tym zapomnieć.

- Znalazłem nawet sznurek, więc wszyscy możemy ruszać skoro świt - oznajmił.

Rose znowu spała na ramieniu Suzannali, a i Alison wyglądała na pogrążoną we śnie. Tylko ich dwoje, on i Suzannah. Właściwie, pod pewnym względem wolałby jeszcze tu zostać.

- Musimy ustalić datę twojej wizyty u mnie - powiedział nie patrząc na nią.

- Tak - głos Suzannali zabrzmiał szczerze. - Muszę przyznać, że ostatnio prowadzę raczej nudny tryb życia. Nie licząc oczywiście, ostatnich dwu dni - uśmiechnęła się blado. - Po odejściu męża znalazłam się w próżni, można powiedzieć, że jakbym nie żyła. Gdyby nie Rose, nie wydaje mi się, bym to mogła dłużej znieść.

- Może teraz twoje życie zmieni się? - podniósł głowę i ich oczy spotkały się nagle, dostrzegł błysk, którego dotąd w jej oczach nie widział. - Wiesz, kiedy się dzieje coraz gorzej i sięgasz samego dna, masz tylko jedną możliwą drogę, w górę.

- Miejmy nadzieję - Owainowi zdawało się, że Suzannah zarumieniła się lekko.

Nastąpiła cisza. Nawet wiatr ustał, z dołu nie dochodził żaden stukot, woda w przewodach ucichła. Wyglądało na to, że ich kłopoty mają się ku końcowi.

Owain poddał się zmęczeniu i zapadł w drzemkę. Czekał ich wielki wysiłek, dzięki któremu wrócą jednak do świata cywilizacji i spróbują zapomnieć o tutejszym koszmarze. Zwisając z niewygodnego krzesła, pogrążył się w błogim śnie.

- Owain... Owain - ktoś dechkatnie potrząsał nim. Poderwał się z głębokiego snu i ujrzał na tle okna postać Suzanny. Świeca się już wypaliła, ale pokój wypełniało blade światło, sączące się przez zalepioną śniegiem szybę.

- Owain... już jest dzień!

- Ach... to wspaniale! Podnosząc się powoli stwierdził, że jest cały sztywny. Rose zbudziła się

także. Alison stała owinięta kocem w niewygodnej raczej pozycji, zapewne zwalczając ból.

- Wypijmy herbatę i...

- Wszystko gotowe - powiedziała rześko Suzannah. - Herbata i tosty.

Pospiesznie jedli i pili. Pragnęli czym prędzej odejść, lecz z drugiej strony zdawali sobie sprawę z tego, że czeka ich ciężka walka z przyrodą.

- Ciągle żadnych śladów Barbary - rzekł Owain. - Chyba wróciła do swojego pokoju i zaraz zasnęła.

- I nikt nie ma zamiaru jej szukać - zreplikowała Suzannah - nie zawołamy jej nawet. - Ponieważ w takim miejscu jak to, nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć. - Szczerze mówiąc gwizdź na to.

Przypomniała sobie przyczynę wyjazdu: pani Blo- wer i ta przekłeta próba. Gdyby Rose nie była tak uparta, nie skończyłyby w Hotelu Donnington. Czego - tu spojrziała zalotnie na Owaina Puga - trochę by żalowała, pomimo tego wszystkiego, co się tu wydarzyło. Postanowiła nie zwlekać z obejrzeniem jego kolekcji książek.

- Chodźmy więc - Owain wstał i popatrzył na nie. - Alison i Rose posadzimy na sanki, które będziemy ciągnąć z całych sił. Ruszamy.

Na jego zegarku była ósma czterdzieści pięć. Światło dzienne zaczęło wypełniać hall, zimny i szary, tak złowrogi jak ciemność minionej nocy. Rozejrzeli się wokół, dostrzegając schody wiodące do straszliwych podziemi, na których dnie leżały

roztrzaskane zwłoki Jacka Christophera, a w
kotłowni pozbawio-

na głowy stara kobieta, zwana Matką. W suterenie, w okropnym pokoju, znajdował się trup z uschniętym i nadgniłym ramieniem bez dłoni, któremu towarzystwa dotrzymywał jego obłąkany brat.

Widok schodów przypominał im starca, który skonał w korytarzu drugiego piętra, a przedtem nosił się z zamiarem spalenia ich wszystkich, ponieważ kazano mu złożyć Rose na ofiarę bogom ciemności. Natomiast Barbara, dziwna kobieta o władczym charakterze, mogła być gdzieś tam, pogrążona w smutku spowodowanym niemożnością odnalezienia szalonej dziewczyny w śnieżnej zawiei. Byli tu wszyscy razem, martwi i żywi, ale ci, którzy pozostali przy zdrowych zmysłach musieli stąd uciekać póki czas.

Znowu poczuli obecność zła, wyciągniętych w ich kierunku zimnych, niewidzialnych rąk. Trzeba uciekać, dopóki nie jest za późno.

Owain skierował się do ciemnego przejścia bez okien. Otwarte drzwi szafki kołysały się, skrzypiąc w przeciągu; rozwarły się szeroko, jak gdyby chcąc przeszkodzić im w ucieczce.

Owain zamknął je pchnięciem i przeszedł obok; wpatrywał się chwilę w posępną ciemność, a potem wyciągnął rękę po sanki oparte o drzwi wejściowe.

Coś było nie tak. Wyczuł to zanim palce dotknęły stosu szorstkiego drewna, które nie było, jak wcześniej, mocno zbite gwoździami. Z jego sanek został stos chropowatego drewna nadającego się na opał,

**ostre kanty i wystające gwoździe ranily mu dłonie.
Przez ciało przemknęły mu lodowate strużki.**

Trudno było uwierzyć, może mógł jeszcze ocalić resztę. Podniósł konstrukcję, ale usłyszał tylko spadające szczapy drewna. Niektóre z nich wciąż trzymały się razem.

- Co jest? - Suzannah usiłowała przecisnąć się obok.

- Co się stało?

Głęboko wciągnął powietrze; nie miał odwagi powiedzieć, lecz nie sposób było zataić prawdę. Same mogły zobaczyć stertę drzazg, oderwane, połamane oparcie oraz bezużyteczny sznur, zwinięty jak martwy wąż. Teraz ta resztką sań mogła się im jedynie przydać do rozpalenia w kuchennym piecu.

- Sanki... - zamknął oczy. Otworzył je po chwili, wiedząc już, co powiedzieć. - Sanki są połamane... roztrzaskane. Ktoś je zniszczył, żeby nas tu zatrzymać!

Rozdział dwudziesty drugi

– Kto... do diabła, mógł zrobić coś takiego? - Suzannah wpatrywała się w rzuconą na ziemię kupkę drewna i wiedziała już, że musi uwierzyć w to, co się stało.

– Tylko jedna osoba mogła to zrobić, prawda? - rzekł Owain. - Wszyscy pozostali są martwi, a jedna osoba uwięziona. To Barbara jest sprawcą, lecz dlaczego to zrobiła? Nie ulega wątpliwości, że nie chce, byśmy stąd odeszli. Wróćmy lepiej do kuchni. Nie mamy tu czego szukać.

Owain odprowadził kobiety z powrotem, spoglądając na mijane schody, jakby spodziewał się ujrzeć tam Barbarę Withernshaw. Lecz nie było po niej śladu. Znaleźli się ponownie w kuchni; czajnik parował jeszcze w schowku na piecu, a w powietrzu unosił się nikły zapach tostów. Usiedli i spoglądali po sobie, nic nie mówiąc. Wciąż oswajali się z doznanym zawodem.

– Muszę pójść sam, nie mamy wyboru - odezwał się wreszcie Owain.

– Wy trzy musicie natomiast pozostać, trzymać się razem i pod żadnym pozorem nie opuszczać kuchni. Miejcie pod ręką pogrzebacz i jeśli zjawi się Barbara, przegońcie ją. Trzeba jednak przyznać, że jest równie obłąkana jak cała reszta.

– *Obłąd* czyżło... istniała jakaś różnica? - za-

stanowił się. Czy to wszystko mogło odbyć się tylko dlatego, że przebywali w domu samych maniaków? Czy zło nie było przypadkiem jedynie przykrywką? A może na odwrót? Nie miał sposobu, by się tego dowiedzieć. Był pewien, iż wisiało nad nim niebezpieczeństwo.

- Idę zanim coś się zdarzy. - Wstał, lecz w tym momencie rury grzejnika ponownie zaczęły wibrować i drzeć.

- Boże Wszchemogący. W przewodach się znowu gotuje. - Powiedział Pugh.

- To niemożliwe - odparła Suzannah.

- Możliwe, jeżeli stary kocioł jeszcze raz został naładowany - wymamrotał Owain - i tylko jedna osoba mogła to zrobić. Jaśnie pani. Połamała nam sanki, a teraz chce nas wysadzić w powietrze. Szlag by ją trafił. Zejdę na dół i zobaczę, co ta diablina tam robi! - Mówiąc to chwycił za pogrzebacz.

- Zostańcie tutaj, zaraz wracam.

Cicho podszedł do drzwi suterenu. W przyćmionym świetle spostrzegł ciało Jacka Christophera, przez które musiał przejść. Z wysiłkiem otworzył drzwi kotłowni...

Odcięta głowa Mamy spoczywała na samej tylko szyi, wpatrywała się w niego martwym wzrokiem, szeroko otwarte usta mogły teraz wypowiadać równie dobrze przekleństwo, jak i ostrzeżenie.

Za nią leżało powykręcane ciało, jak odrzucona, bezużyteczna powłoka; blask ognia, ryczącego zza otwartych, żelaznych drzwiczek rozświetlał brudne

pomieszczenie. Spojrzał i przekonał się, że wewnątrz nie było nikogo, w każdym razie nikogo żywego.

Pustka wypełniająca piwnicę okazała się najstraszliwsza. Nie sposób było dostrzec zła, lecz czuć je było gamą przeróżnych woni. W ciężkiej atmosferze rozchodził się fetor śmierci i palonego ludzkiego ciała. Owain omal nie wpadł w panikę. Potknął się i z trudem utrzymał równowagę. Musiał być wariatem, żeby tu w ogóle przyjść. Przecież nie było po co, jeśli nie liczyć Barbary Withernshaw, której i tak nie znalazł.

Ślaniając się na nogach minął drzwi, odwracając oczy od widoku makabrycznej masakry. Biedny Jack, był jedną z ich ofiar, po prostu bezużytecznym pionkiem, który wypadł z gry. Tak samo jak pozostali.

- Pomocy!

Słaby krzyk zmroził Owaina. Gwałtownie uniósł rękę w obronie przed atakiem, gotowy jednak odkrzyknąć, gdyby wołanie powtórzyło się. Po chwili wiedział już - ten głos mógł należeć tylko do Georga Clementsa, który błagał o pomoc w swoich, trwających od wielu lat koszmarach.

- Nie, nie chcę ciebie słuchać - powiedział Owain.

- Proszę mi pomóc - błagał go Clements.

Lodowate palce objęły mu brzuch i ścisnęły go jak

piłkę. Omal nie zwymiotował. Oparł się o ścianę, wbijając wzrok w zaryglowane drzwi. Po drugiej stronie był również z Georgem Harry.

Słychać było skrobanie paznokci o drewno. Konająca bestia w klatce podjęła ostateczną, choć zdaną

na klęskę próbę ucieczki. Rozległ się przeciągły loskot, jakby George padł na kolana, wciąż drapiąc w drzwi.

- Nie mogę ci pomóc George. - Mówił prawdę.

- Nie śmiem wpuścić cię teraz, kiedy już wiem.

Chciał, aby jego lęk przerodził się we wściekłość i przypomniał sobie, jak uratował Rose z jego diabelskich szponów.

- Pamiętasz małą, George? Jak zjawi się tu policja, będziesz siedzieć do końca życia.

- Musi pan... mnie wysłuchać, panie Pugh. - Trudno go było dosłyszeć. Być może George dostał ataku serca lub udaru, jak Harry?

- Boże, nie pozwól mu umrzeć, dopóki wciąż jesteśmy tutaj. Nie pozwól tej okrutnej duszy znów pozostać bez ciała - modlił się Owain.

- Niech mnie pan posłucha... panie Pugh, nie tylko wasze życie jest zagrożone. Wasze dusze także!

- prosił Clements.

Owain niechętnie podkradł się do drzwi. Nieodparte, przeraźliwe słowa przyciągały. Ale nie zamierzał otwierać.

- Nie uwolnię cię. Odnajdą cię ludzie, którzy tu nadejdą z zewnątrz - powiedział.

- Czy pan mnie słyszy... panie Pugh? - Wydawało mu się, że George miał nudności, kaszel zmienił się w belkot.

- Owszem, słyszę, ale niech się pan pośpieszy.
Wszystko o tobie wiem, Georgu Clementsie, wiem
kim jesteś i co chciałeś z nami uczynić. Teraz już

jesteś bezradny. A kiedy ten cholerny kociół wyleci w powietrze, upieczesz się w swoim własnym piekle tutaj, na dole.

- To nieprawda. Jestem jedynie słabą, śmiertelną istotą. To Mistrz pchnął mnie w to nieszczęście, tak jak innych ukarał. Cień... ręka... odeszła i znalazła dla siebie nową istotę, najgroźniejszą ze wszystkich!

- Kłamiesz, to ty jesteś opętany, George - odrzekł Owain.

- Nie, przysięgam. Uwierz mi, proszę. Możesz mnie nie uwalniać, ale wysłuchaj mnie. Szatan jest w tej chwili między wami w ludzkiej postaci, więc wszyscy zginiecie!

Kociół zasyczał i zatrzęsł się, odchodzące od niego przewody zagrzechotały. Palił się jak lont, jak dużo czasu jeszcze im pozostało? I kto znowu napalił w piecu?

- Co chcesz przez to powiedzieć, George? - spytał Pugh. - Nie mam ochoty tego słuchać, nie chcę tego wiedzieć, lecz muszę, przez wzgląd na nas wszystkich.

- To ona - zniżył głos do szeptu, pełnego obawy przed tym, że ktoś mógł ich podsłuchać. - To Barbara Withernshaw!

Owain wzdrygnął się, jego odrętwiały umysł odmawiał przyjęcia tej nowiny.

- Barbara? Nie ! Choć wszystko tu pasowało, cień w pokoju, jej wrzask i upadek, i... Tylko ona mogła rozpalić kociół do białości i połamać sanki.

Żeby ich tutaj zatrzymać. Ale dlaczego, na miłość boską, dlaczego? - zastanawiał się.

- Ona ma zamiar złożyć w ofierze tę małą - George Clements mówił szybko, jakby uciekał mu czas.
- I was wszystkich. Jedyne ucieczka może nas uratować. Powiedziała mi to, wyśmiewała się ze mnie przez drzwi. Mnie także mogła zabić, ale chce, abym tak cierpiał, jak wy, i spalił się żywcem. Dla mnie nie ma już nadziei, lecz ty idź i spróbuj uchronić pozostałych.

Owain odwrócił się i chwiejnym krokiem wydostał na schody, świadom teraz swojej niemocy.

- Suka, bawiła się nimi, sprzyjały jej nawet siły przyrody. Tylko żeby im na górze nic się nie stało!

- pomyślał.

Ujrzał wszystko jak na filmie, wyświetlanym w zwolnionym tempie, gdzie grał główną rolę. Wlókł się po schodach w lęku, że już mogło być za późno, lecz nie był w stanie przyspieszyć. A może właśnie się spieszył.. Szukał po omacku drzwi. Wreszcie wtargnął do wewnątrz, otwierając je pchnięciem. Pokój był pusty. Spodziewał się zastać tu Barbarę. Skierował się do kuchni; przystanął na chwilę, nasłuchiwał.

Ktoś lkał. Pomyślał, że to Suzannah - niski, tłumiony szloch cierpienia. Poczul na czole krople zimnego potu.

Kopnął drzwi i wpadł do wewnątrz. Patrzył przez-razony na widok, który był spełnieniem jego najgorszych przeczuć. Była tam Barbara Withernshaw. Jej rozczochrane, siwe włosy sterczały na wszystkie strony. Toczyła wokół

dzikim wzrokiem. W końcu zobaczyła Owaina.
Zawarczała jak drapieżne zwierzę.

które dopadło wreszcie swojej ofiary. Jej twarz była maską obłędu i zła.

W jej uniesionej ręce widniał rzeźniczy topór, wiszący nad głową Rose, która na gardle miała ząbkowany kuchenny nóż. Rose zamknęła oczy, była śmiertelnie blada; może nawet zemdląła.

Suzannah siedziała na krześle naprzeciwko i bezgłośnie poruszała ustami, prosząc o litość. Alison była obok, lecz zdawało się, że nic do niej nie dociera. Wystarczył jeden ruch nożem lub toporem, a dziecko straciłoby życie.

- Czekamy na pana, panie Pugh - głos Barbary był zmieniony, głęboki i maniackalny; podczas mówienia śliniła się. - Wasze mizerne wysiłki spęzły na niczym, a teraz nadszedł już czas waszego końca. Dziecko musi odejść do Mistrza, wy zresztą również. Słyszycie ryk ognia z piekieł? Oznajmia właśnie gotowość pochłonięcia swoich ostatnich ofiar.

Bojler mógł eksplodować lada moment, w to Owain nie wątpił. Poprzednie palenie osłabiło jego wytrzymałość i po raz drugi nie zniesie takiego naporu. Suzannah lekko poruszyła głową i ich spojrzenia spotkały się. W jej oczach Pugh odczytał pytanie:

- Owain, nie możesz czegoś zrobić?
- Przykro mi, Suzie - powiedział. - Chciało mu się płakać, dać upust dławionemu przerażeniu i traconym nadziejom.
- Powinienem z wami pozostać.

- Nie zrobiliby to większej różnicy - zarechotała

Barbara. - I tak czekamy na pana. Ofiara jest już gotowa.

- Rozmawiałem z Georgem - powiedział. Musiał coś powiedzieć, po prostu podtrzymać rozmowę i odwlec wykonanie wyroku.

- Mogłeś się nie trudzić. Tym razem to ja zostałam wybrana i z pewnością nie zawiodę naszego Pana, jak to zrobiły te ofermy. Spartaczyli robotę. Nie umieli nawet złożyć ofiary z dziewicy, ale teraz wszystko w moich rękach.

- Pani jest szalona - stwierdził Owain. Ale jego słowa nie miały teraz znaczenia. Zawisły w powietrzu zagłuszane przez łomot wrzátku w rurach i grzejnikach, przypominający groźne dudnienie indiańskich bębnów.

- Wszyscy jesteśmy szaleni. - Zaśmiał się. - Nawet pan, panie Pugh. Wszyscy w Donnington są obłąkani, ponieważ Mistrz tak chce. Pan, ci ludzie tutaj, nawet to dziecko straciło rozum, wyczuwam pustkę w jej głowie.

Wciąż trzymała topór nad czołem Rose.

Nasz Mistrz jest czasami litościwy, zaoszczędził dziecku cierpień.

Suzannah krzyknęła i opadła na krzesło. Owain zastanawiał się, czy nie zdołałby doskoczyć do Barbary, gdyby znalazł odpowiedni moment. Nie miał szans. Ostrze spoczywało na gardle Rose, ale dopóki Rose żyła, dopóty była nadzieja, choć z każdą sekundą bardziej nikła.

Podłoga drżała, pusty półmisek spadł z suszarki

i rozbił się z brzękiem. Barbara przymknęła oczy. Zbielały kostki na jej omdlełej ręce trzymającej nóż. Nadszedł czas ofiary.

- Chwileczkę! - zatrzymał ją Owain.

I wtedy wyraz jej twarzy zmienił się nagle. Słaby dźwięk przeniknął ściany nękanego wstrząsami domu. Coś poruszyło się w hallu, z dołu dobiegało stukanie drzwi, jak gdyby wiatr zerwał wiekową zasuwę i walił drzwiami w ścianę...

„- Nie zatrzymacie mnie, idę do Was!” - zdawał się wyć przeciąg biegnący przez pomieszczenia domu.

- Co to jest? - w głosie Barbary brzmiał strach.

- To tylko wiatr otworzył frontowe drzwi - odpowiedział natychmiast Owain, ale zaraz zreflektował się: nie należało szukać prostych wyjaśnień.

Kobieta wydawała się być przerażona, dzięki temu zyskiwali kilka następnych sekund. Gdyby tylko można było zdjąć ten nóż z gardła Rose!

Niewątpliwie ktoś musiał być w hallu. Owain i Suzannah, widocznie powodowani tym samym przeświadczeniem, odwrócili głowy w stronę drzwi, prowadzących do jadalni. Alison patrzyła nadal bezmyślnie przed siebie. Rose nie otwierała oczu.

- Kto... to... jest? - zapytała chrapliwie Barbara, ale nie doczekała się odpowiedzi.

„Musi to być George Clements”- pomyślał Owain. „Wydostał się ze swego więzienia”. Tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia.

**Odwracalo uwage, lecz nie moglo miec wplywu na
los Rose, poniewaz**

George usiłował zrobić z nią to samo kilka godzin wcześniej. Tyle że wówczas Owain zdążył na czas.

Drzwi z hallu do jadalni otworzyły się. Poczuli przeciąg, jakby zmierzał do nich jakiś demoniczny odźwierny, chcąc zaanonsować tajemniczego gościa.

Przybysz stał w jadalni, charczał, walcząc o oddech. Być może padnie za drzwiami i skona. Wtedy Rose zostanie złożona w ofierze i cały dom eksploduje. Nigdy się nie dowiedzą, kto był po tamtej stronie drzwi.

- Kim jesteś!? - Barbara wydała z siebie wrzask wściekłości i strachu, jednakże nóż na gardle dziewczynki nie zmienił położenia. Owain wiedział, że wystarczy chwila paniki i będzie po wszystkim. Bał się.

Usłyszeli znów szelest i kroki, świst powietrza wciągane w płuca z ogromnym wysiłkiem. Klamka w drzwiach opadła, ale tajemniczy przybysz zawahał się przed wejściem.

- Wejź! Chce cię ujrzeć! - na czole Barbary nabrzmiały żyły, blade policzki zarumieniły się. - Wejź! Ja kapłanka Pana Ciemności rozkazuję ci!

Drzwi otworzyły się. Owain jęknął, Suzannah wydała zdławiony okrzyk, nawet Alison zareagowała szybszym oddechem. Barbara zaszlochala. W jej szlochu słychać było lęk, pomieszany ze zdumieniem.

W drzwiach stała naga Vera Brown, trzymając ciągnące się po podłodze przemoczone ubranie.

**Mrugała oczyma, jakby oślepiąa światłem dnia.
Zmieszala się.**

- Ciociu Barb - słabe oczy Very miały kłopoty z rozpoznaniem osób znajdujących się w kuchni. - Wołałaś mnie, ciociu Barb. Przyszłam najszybciej jak mogłam. Zajęło mi to dużo czasu. Bo śnieg jest bardzo głęboki. Słyszałam jak mnie wołałaś. Przysięgam, że jestem dziewicą, której ci potrzeba. Naprawdę. Przysięgam, że jestem. Wierzysz mi, ciociu Barb?

Rozdział dwudziesty trzeci

- Ty!?! - wyszeptała Barbara. - To niemożliwe... Ty... ty nie żyjesz! Wybałuszyła oczy. Ręka, w której trzymała nóż, niebezpiecznie zadrżała. Zdawała się mieć trudności z utrzymaniem rękojeści, jej palce były skurczone, jakby dotknięte artretyzmem.

- To ja, ciociu Barb - odezwała się Vera piskliwym głosem. Wysunęła się do przodu, kołysząc się lekko. Jestem cała, naprawdę. Przemokłam do suchej nitki, więc zdjęłam ubranie. Chyba nie masz mi tego za złe, prawda?

- Nie powinnaś była przychodzić. Nie chciałam cię tu widzieć. Vero. Lepiej byłoby, gdybyś umarła.

- Ale wołałaś mnie, ciociu Barb. Nie przyszłabym, gdybyś mnie nie wołała. Myślałam, że już umieram i wtedy wezwałaś mnie. Pytałaś mnie czy jestem dziewczyną, ponieważ taka byłam ci potrzebna. Prawda?

- Tak. - Ostrze noża odsunęło się nieco od szyi dziecka, lecz rękojeść nadal drżała w zdeformowanych palcach, jakby Barbara chciała upuścić narzędzie. - Chcę cię. Vero, ale wolałabym, żebyś tu nie przechodziła. Mistrz czasami potrafi być okrutny.

- Nic nie rozumiem. Chcesz mnie i nie chcesz jednocześnie. To niemądre. Przecież kochasz mnie, ciociu Barb, prawda?

- Tak, kocham cię. Vero - Barbara na moment

zamknęła oczy i opuściła nóż. Topór w drugiej ręce zachwiał się i powoli zaczął opadać, zatrzymując się na ramieniu Rose. - Kocham cię tak bardzo. Vero, że nie mogę znieść tego, co muszę zrobić.

- Co się dzieje, ciociu Barb? - Vera zbliżyła się i rzucając się na jej szyję zaczęła szlochać.

W tym momencie Owain jednym susem pokonał odległość dzielącą go od Barbary Withernshaw, chwycił Rose i przytulił ją mocno do siebie osłaniając własnym ciałem.

Barbara Withernshaw krzyknęła groźnie. Zamierzyła się toporem i zaczęła wymachiwać nożem. Owain kopnięciem wytrącił jej z ręki broń i rzucił w nią krzesłem. Trafił ją w kolano. Barbara zajęczała z bólu. Vera chwyciła swoją towarzyszkę, przeszkadzając jej w ataku na Owaina.

- Za mną! - Krzyknął Owain do Suzannah - mam Rose. Uciekamy. Ty też, Alison.

Suzannah chwyciła Alison za rękę.

- Uciekaj z nami, jeśli teraz nie uciekniesz, zginiesz! Owain skoczył do drzwi i na ułamek sekundy zatrzymał się w hallu. Drzwi frontowe były szeroko otwarte, zaskry zdawały się sięgać dwóch metrów. Jeśli Vera stamtąd przyszła to i oni mogli skorzystać z jej drogi. Czas naglił. Barbara mogła ich ścigać. Pugh nie miał już ochoty z nią walczyć, tym bardziej iż słyszał, że obłąkani mają dwa razy tyle siły, co ludzie o zdrowych zmysłach. Barbara była jeszcze do tego uzbrojona, Pugh nie chciał podejmować ryzyka.

Suzannah szła tuż za nim, Alison wlokła się

z tyłu. W jej stanie, z wilgotnym kocem. który był jej jedynym odzieniem nie miała większych szans

n

a

przeżycie. Pozostawienie jej tutaj oznaczałoby dla niej wyrok śmierci.

- Pomocy! - zawołał ktoś za nimi.

Żaloszny krzyk zagłuszyło dudnienie, przypominające odgłos lokomotywy ruszającej z peronu. Musieli jednak zignorować ostatnie błaganie Georga o pomoc. Owain znów przypomniał sobie scenę z Rose, która rozegrała się kilka godzin wcześniej w mieszkaniu Clementsów.

„Teraz czas na ciebie, George” - pomyślał.

Kocioł ryczał jak oszalały, wytwarzając coraz większe ciśnienie. Wstrząsy rur i grzejników udzielały się podłodze. Wyglądało to tak, jakby przebudziło się nagle jakieś podziemne monstrum i chciało opuścić swą podziemną pieczarę.

Rozchodził się smród palonej farby i fale gorącego powietrza.

Owain próbował poszerzyć przejście przez zaspę, to samo, przez które wcześniej przecisnęła się Vera. Na piegowatej twarzy Alison znowu pojawił się ból.

„Jeśli zemdleje, co z nią zrobimy?” - zastanawiał się.

„Trzeba ją będzie zostawić. Nie można ryzykować życia Rose i Suzannah” - zdecydował w myśli.

**Śnieg przestał prószyć, wiatr ustał. Zapanowała
złowroga cisza.**

**Nie było śladu Barbary Whithershaw. Owain
przystanął w połowie podjazdu. Suzannah wzięła
Rose za**

rękę. Alison znaczyła swą drogę krwawymi kroplami.

Owain szukał śladów Very. Sądził, że jeśli pójdą po nich, unikną najgroźniejszych zasp. Po przejściu z gorącego, dusznego hotelu na otwartą przestrzeń pola poczuł przenikliwy chłód. Nigdzie nie było widać śladów Very. „Wiatr musiał je zasypać” - myślał Owain. Nie wiedział, kiedy Vera wróciła do domu. Przez ostatnie kilka godzin mogła zresztą ukrywać się gdzieś w hotelu.

- Alison nigdy nie zdoła przejść tej drogi - dysząc ciężko powiedziała Suzannah. - Popatrz na nią, za chwilę upadnie.

Pugh odwrócił się i zobaczył jak Alison opiera się o zaspę, która pod jej ciężarem rozsypała się. Nie mogli jej tu zostawić, ale Pugh wiedział, że nie zdoła jej nieść na rękach.

„Byłbym na pewno spokojniejszy, gdybym wiedział, gdzie w tej chwili znajduje się Barbara” - pomyślał.

Barbarę ujrzał w kilka sekund później. W oknie domu coś poruszyło się. Balkonowe drzwi na pierwszym piętrze otwarły się i pojawiła się w nich naga dziewczyna o jasnych, długich włosach. Tuż za nią wyrosła postać Barbary Withernshaw, która niby zapaśnik ujmowała Verę w pasie. Barbara miała w ręku nóż kuchenny, który połyskiwał w promieniach słońca.

**Barbara i Vera pochyliły się nad ośnieżonym
parapetem. Ciepło z rozgrzanego kotła topiło śnieg
na oknach.**

- Wracajcie! - bezsilny wrzask obłąkanej Barbary zawisł w martwym powietrzu. Wracajcie! Nie możecie stąd odejść! Mistrz was potrzebuje!

Wychyliła się i spojrzała przez ramię Very, jak gdyby naprawdę spodziewała się ich powrotu.

- Wariatki - mruknął Owain, nie mogąc oderwać od nich oczu. Przewidywał, co stanie się za chwilę.

- Boże! - Suzannah przytuliła do siebie Rose, tak żeby dziewczynka nie mogła ich zobaczyć.

Vera nadal wisiała, wychylona ponad zaśnieżoną, kamienną balustradę. Na szyi miała ostrze noża.

Oblicze Barbary rozjaśniło się w uśmiechu, poruszała ustami, jakby wymawiając jakąś bluźnierczą modlitwę do swego Mistrza.

Nie chcieli więcej spoglądać na to widowisko, nie mogli jednak oderwać wzroku. Trwali w okrutnej hipnozie. Tak oto stawali się świadkami krwawej ofiary, której Szatan domagał się przez całą poprzednią noc. Ostrze noża cięło powoli. Z otwartej rany na szyi krew sączyła się. Jej krople ściekały po ścianie i rozpryskiwały się szkarłatem na zaśnieżonym dachu nad gankiem. Krew trysnęła na frontowe schody. Ofiara nie broniła się. Barbara śmiała się opętańczo. Wreszcie strumień krwi zmalął i krew utworzyła teraz kałużę na balkonie. Drgające ciało Very, głową w dół, zsunęło się z balkonu.

Suzannah myślała, że zemdleje. Wiedziała, że dzięki łasce Boskiej i Owainowi ciało, które leżało teraz pod murem domu nie było ciałem Rose.

Suzannah i Owain rozejrzeli się, szukając Alison.

Stała wyprostowana, nie reagowała na nic. Postradała zmysły.

- Pójdźmy już - powiedziała Suzanna. Ziemia pod ich stopami zadrżała. Ujrzeni, jak w budynku pękają szyby, tworząc całe kaskady błyszczących w słońcu kryształów, które ginęły w głębokim śniegu.

Spoza zięjących ogniem framug okiennych biła pomarańczowa poświata, jęzory płomieni dosięgły stropu. Hucząca ściana ognia rosła. Było to piekło, które narodziło się w diabelskiej suterenie i nie znało żadnych granic.

Na tle płomieni stała nieruchomo Barbara Whithershaw. Jej ręce zwisały wzdłuż ciała. Jej gruba odzież zajęła się. Płomienie trawiły jej futro wznosząc się w pocałunkach ku siwym włosom. Głowa płonęła w ogniu. Przypominała teraz małpę albo karykaturę narysowaną przez pijanego artystę.

Wreszcie pochyliła się i wraz z pękającą podłogą betonowego balkonu runęła w płomienie.

Owainowi wydawało się, że w trzasku ognia i grzechocie walącego się drewna słyszy krzyk. Jeżeli tak było, to musiał wołać mężczyzna, wystraszony starzec, na próżno błagający o uwolnienie z piwnicznego lochu.

Ale mogło to być tylko powstałe w jego wyobraźni echo.

Rozdział dwudziesty czwarty

Owain Pugh uważał, że Suzannah jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Jej wygląd, postawa, sposób bycia wydawał mu się samą doskonałością. Podczas rozmowy mówił same głupstwa, a mieli tyle ważnych spraw do omówienia. A tylu jeszcze spraw nie potrafił ująć w słowa. Nie powiedział: „Kocham cię, Suzie”, chociaż bardzo chciał jej to wyznać. Bał się, że to może być ich ostatnie spotkanie i nie ujrzy jej już nigdy. Być może nastąpi krótkie spotkanie podczas śledztwa, prowadzonego w związku z odnalezionymi w Donnington ciałami, i ich drogi rozejdą się na zawsze.

- To wszystko bzdura - powiedział do Suzannah - to fikcja. Ma najwyżej wartość literacką. Sztuka dla sztuki niewarta zachodu.

- Musimy żyć tak, jak gdyby się to nigdy nie zdarzyło, nawet, jeżeli nie będziemy w stanie o tym zapomnieć - odpowiedziała i delikatnie dotknęła ramienia Owaina. - W końcu wszystko dobre, co się dobrze kończy. Dobre chociażby dla nas.

Droga przez ośnieżone pola nie była dla nich zbyt trudna. Aleja była głęboko zasypana, lecz zdołali ominąć największe zwały śniegu i nawet Alison trzymała się dzielnie. Gdy byli około stu metrów od szosy usłyszeli szum pracującego pługa, który nadjeżdżał błyskając na powitanie żółtymi światłami. Widać

lokalne władze miały dmuchawy śnieżne i pieniądze dla pracowników za nadgodziny. Wszystkie główne arterie były już odśnieżone, blokady szybko usuwano.

Przewieziono ich lokalną ciężarówką. Rose i Alison znalazły się u lekarza. Alison, która ucierpiała od zimna, przewieziono do szpitala. Rose pojechała z matką do domu.

Nadeszły roztopy, deszcz zmył śniegi.

- Byłeś wspaniały, Owainie. - Twarz Suzannah zbliżyła się do jego twarzy. Owainowi zakręciło się w głowie od zapachu perfum. - Gdyby nie ty nie żyłybyśmy już.

Nie mógł odmówić jej rozchylonym w zaproszeniu ustom i na moment dotknął ich swoimi.

Dzielący ich mur rozpadł się. Pocałował ją i przytulil. Poczul miękkość jej piersi. Przeszli do salonu.

- Przeżyłabym to jeszcze raz tylko po to, żeby być z tobą - powiedziała.

- Proś Boga, żeby coś takiego nigdy cię już nie spotkało - spoważniał nagle Pugh. - Na oblędzie wyrasta zło. Każdy z mieszkańców hotelu, świadomie lub nieświadomie, pożądał zniszczenia. Kiedy jeden z nich umierał, zło przenosiło się na następnego jak zakaźna choroba. Taka jest moja wersja tego, co się zdarzyło i nie sądzę, aby w toku śledztwa doszli do czegoś innego. Zapewne wezmą to za rodzaj manii i dadzą temu jak najbardziej

logiczne wytłumaczenie. Założę się, że gazety będą miały swój dzień.

Roześmieli się. Suzannah popatrzyła na zegarek.

- Muszę odebrać Rose z próby. Przynajmniej dziś nie będzie zasp i przysięgam, że nawet nie spojrzę w stronę tej okropnej alejki, gdy będę tam przejeżdżać.

Owain pocałował ją jeszcze raz w drzwiach.

- Może zjemy razem kolację? Przyjechałbym po ciebie około ósmej.

- Byłoby mi niezmiernie miło - uśmiechnęła się. Poproszę sąsiadkę, panią Ward, żeby posiedziała z Rose.

- Do zobaczenia, tylko jedź ostrożnie!

Patrzył jak odchodziła, słyszał jej odjeżdżający samochód. Gdy wchodził do hallu, powróciła do niego natrętna myśl, którą odpędził od siebie kilka godzin temu. Stojąc w świetle wyciągnął przed siebie lewą rękę i poruszył palcami. Stawy były sztywne. Musiał użyć siły, aby je zgiąć. Czuł przy tym ostry, przenikający do kości, ból.

Teraz miał kłopoty z wyprostowaniem palców. Nie prostowały się zwyczajnie, zginały się, zdeformowane i zasuszone. Kostki mocno wystawały. Przez moment ogarnął go paniczny strach, ale opanował się.

„To chyba artretyzm. Zimno i wilgoć zrobiły swoje” - pomyślał starając się w to uwierzyć”. Nie, na Boga, to nie może być nic innego”.

Chciał znowu spotkać się z Suzannah i zjeść z nią kolację. Tylko to się teraz dla niego liczyło.

HARRY A. KNIGHT MACKI

Z kanałów ściekowych, z rynsztoków, z wnętrza ziemi... Wyszły w poszukiwaniu pożywienia - ludzkiego mięsa. Długie, czarne macki wstrzykujące tajemniczy jad, zbierają swe krwawe żniwo.

GUY N. SMITH WĘŻE

Nieuchwytna, wędrująca śmierć, która wdziera się niepostrzeżenie do domów, garaży, sypialni... Zimne, nieruchome oczy gadów zabijających bez emocji. To wszystko, co składa się na sugestywną i oryginalną wizję współczesnego świata pełnego zagrożeń.

BRIAN LUMLEY NEKROSKOP

Wstrząsająca opowieść o Nekroskopie - człowieku, którego specjalnością jest zdobywanie wiadomości o świecie zmarłych.

Horror i rzeź, w przerażającym nowym wymiarze, gdzie krew jest imieniem gry.

Saga o wampirach, którą czyta się jednym tchem.

w przygotowaniu

GUY N. SMITH SZATAŃSKI

PIERWIOSNEK

W spokojnym zakątku Szwajcarii jedna z ofiar nazistowskiego terroru odnajduje swego kata... jak się okazuje, sprzymierzonego z siłami zła. Wartka akcja oraz niepowtarzalny klimat tej powieści zachwycą każdego czytelnika.

Na rynku księgarskim dostępny jest również inny cykl horrorów Guy'a N. Smith'a:

KRABY

**NOC KRABÓW ZE W KRABÓW
KLESZCZE ŚMIERCI POWRÓT
KRABÓW ODWET**

Wkrótce ukaże się ostatnia część cyklu:

POŚWIĘCENIE

Przerazająca i pełna tajemnic opowieść o walce człowieka z niepokromionymi siłami dzikiej natury. Obraz cywilizacji ludzkiej, która stanęła w obliczu inwazji śmierci.

Najbardziej popularny cykl na Zachodzie! Drukowany w ośmiu krajach w milionach nakładów!